ŚWIATŁO

CZASOPISMO DLA RODZIN POLSKICH.

WYDAWCA I REDAKTOR:

Ks. MARCELI DZIURZYŃSKI

ROCZNIK IV. ZA ROK 1912.

KRAKÓW. – NAKŁADEM WYDAWCY.

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

SPIS RZECZY.

To i owo i **Rozmaitości** w każdym numerze.

Rocznik IV. Kraków 1-go stycznia 1912. (Półrocze I-sze) Nr. 1.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** koron — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Słów kilka o znaczeniu prasy i o potrzebie jej popierania.

Gdy 4-go sierpnia 1904 roku po skończonem conclave zasiadł na Stolicy Piotrowej Papież Pius X., najpierwszą jego, jako Papieża czynnością było własnoręcznie przesłać swoje papieskie błogosławieństwo czasopismom: „Pro famiglia“, w Bergamo, i „Difesa“ w Wenecyi.

I nic dziwnego. Mąż tej miary, co Papież Pius X. zrozumiał w ciągu swej długoletniej pracy na wszystkich stopniach hierarchii kościelnej i przekonał się dowodnie, czem jest i może być prasa, szczególnie w naszych czasach. To też nie długo przed wyborem na Papieża, gdy czasopismu „Difesa“ groziło przesilenie finansowe, oświadczył, jeszcze jako patryarcha wenecki, na odnośnem zgromadzeniu, że chętnie odda nawet swoje pectorale i suknię kardynalską, byle tylko dziennik utrzymać.

Gdy Abd el Kader ujrzał po raz pierwszy maszynę drukarską w ruchu, jak bezustannie wyrzucała jeden arkusz za drugim zadrukowanego papieru, nazwał ją armatą myśli. Oryginalne porównanie, ale trafne. Armat tych ustawiono setki tysięcy i one miotają dzień i noc bezustannie strzałami do tysięcy milionów ludzkich umysłów, a strzały te padają wszędzie: do pałaców magnac-

kich i do chat wieśniaczych i siedzib robotniczych, na miejsca publiczne i do sal na zgromadzenia, a wszędzie wywołują skutki potężne.

Zobaczmyż teraz i przekonajmy się, do jakich obozów te armaty należą. Oto w samej Austryi 112 pism katolickich ma przeciwko sobie przeszło 3.600 pism wrogich, czyli, że na jedno pismo katolickie przypada 31 pism przeciwnych, a o ileż smutniej przedstawia się liczba abonentów, jeżeli zważymy, że każde pismo nieprzyjacielskie ma około dwa tuziny tyle abonentów, ile pismo katolickie.

Mamy więc ogromną przewagę przeciwko sobie, a nieprzyjaciele ci nie znają ustępstw i wypowiedzieli wojnę wszystkim, co dla nas jest świętem i wzniosłem: bluźnią przeciwko nauce wiary, jako obłudzie — odrzucają ją, jako sprzeczną z postępem wiedzy, a z tego zawsze się coś utrzyma.

Opowiada Homer, że Ares, bóg wojny, ryczał, jak dziesięć tysięcy mężów, lecz tysiąc razy potężniej ryczą dzisiaj w zażartej walce duchowej, armaty bezbożnej prasy, a ich krzyk piekielny ogłusza niezliczone masy ludzi i pozbawia je rozsądku i zdrowych zmysłów. „Klerykalizm jest wrogiem“ brzmi milionkrotnie z bezbożnej prasy. Jakkolwiek nikt właściwie nie wie, co to jest ten klerykalizm, jednak czyta to urzędnik, słyszy to obywatel po raz setny i w końcu wierzy, że to musi być prawda, że ten klerykalizm to musi być rzeczywiście jakiś potwór. Mąż zaślepiony przyjmuje dziś z lekceważeniem złamanie wiary małżeńskiej i z uśmiechem opowiada, co to było za pikantne zajście, nie przyjmie tylko zarzutu, że jest klerykałem, owszem chętniej będzie bluźnił przeciwko religii, duchowieństwu, przykazaniom i t. d., aby tylko dowieść, że jest od klerykalizmu daleki.

Jeden z najdoświadczeńszych mężów, Alban Stolz, wyrzekł, że wojna między niebem a piekłem toczy się dzisiaj na papierze przy pomocy liter. Gdy deszcz pada, zwilża ziemię i cała roślinność nabiera wilgoci, tak samo napawa dzisiejsza bezbożna prasa, ducha i serca człowieka,

iż w jego zapatrywaniach, sądach, w usposobieniu i działaniu występuje trucizna, którą przesiąknął.

Człowiek dzisiejszy jest po największej części stworzeniem swego czasopisma. Jak sam Lasalle zauważył, człowiek, który gazety czyta, nie potrzebuje myśleć, bo za niego myśli jego gazeta, jego sąd o osobach, stronnictwach, religii, polityce, gospodarstwie i wypadkach jest tylko sądem jego gazety; na nią przysięga, ona jest jego ewangelią, jego ostatnim argumentem jest zawsze twierdzenie, że to musi być prawdą, bo to jest w gazecie napisane, i przez to straszliwe spustoszenia sprawia prasa bezbożna.

Kto wydarł wiarę i religię z serc niezliczonych tysięcy? bezbożna prasa. Kto zatruł ogromną część młodzieży i uprowadził do nieobyczajności i występku? Bezwstydna prasa naszych czasów.

Kto wznieca wśród ludu robotniczego bezustannie niezadowolenie i prowadzi ten lud z strejku do strejku? Prasa. Kto rozsiał tyle kłamstw i oszczerstw o Kościele i duchowieństwie, kto zohydził wszystko, co w świetle jest i z błotem zmieszał? Prasa bezbożna.

Od niej pochodzi największa część zepsucia, niewiary i nieobyczajności i zatrucia ludu.

W iluż to domach wisi na ścianie krzyż jako znak czci, a pod nim na stole znajduje się gazeta bezbożna, która zwalcza Ukrzyżowanego.

Co to są za żołnierze, którzy ich własną chorągiew tarzają w błocie i zezwalają ją brudzić? Takimi są katolicy, którzy swoją świętość najwyższą pozwalają bezcześcić przez prasę, i za to jeszcze płacą.

Co to są za dzieci, które się spokojnie przypatrują, gdy kto ich rodziców poniewiera i na to jeszcze pieniądze wydają? Takimi są katolicy, którzy pozwalają bezbożnej prasie bezcześcić ich matkę, Kościół święty i za to jeszcze płacą.

Zaiste, zbyt już długo dzierży bezbożna prasa panowanie nad ludnością katolicką; zbyt długo wyśmiewa naukę naszej wiary, bluźni Kościołowi, naszą młodzież prowadzi do nieprzyjacielskiego obozu. Czas zatem zerwać hańbiące nas więzy, które nam bezbożna prasa nałożyła.

Nadszedł czas! To hasło niech się rozniesie po całej naszej Polsce od morza do morza. Nadszedł czas do przebudzenia się. Gdzie tylko bije katolickie serce, gdzie tylko uczuć się daje hańba i niewola, jaką nam żydostwo i jego prasa nałożyła, tam musi zabrzmieć wezwanie do walki z wrogiem.

Do tej walki potrzebujemy jednak broni, a tą jest katolicka prasa.

Bez dobrej katolickiej prasy daremne będą wszelkie nasze wysiłki, wszystko będzie stracone. Postawmy najdzielniejszego żołnierza, lecz bez broni, naprzeciw dobrze uzbrojonego wroga, na nic się nie zda jego waleczność, jedna kula, a żołnierza nie ma. Na nic ofiarność, na nic zapał dla dobrej sprawy, jeżeli nie będziemy popierali katolickiej prasy.

Prawdziwie prorocze słowo o losach Francyi pisał w roku 1877 generalny prezydent Towarzystwa świętego Wincentego à Paulo, Bandon, do szwajcarskiego kanonika ks. Schoderota: „Mojem zdaniem jeszcze zanadto mało poznają wierni, jak ważną jest prasa“. Wznosimy kościoły, zakładamy klasztory, budujemy domy dla sierót i ubogich, są to bezsprzecznie dzieła najpotrzebniejsze, ale zapominamy, e oprócz tej potrzeby istnieje jeszcze inna, ważniejsza od wszystkich, to jest rozszerzanie i popieranie katolickiej prasy.

Jeżeli nie będziemy katolickiej prasy popierać, zagrzewać i jeżeli jej nie postawimy na należnej wysokości, opustoszeją nasze kościoły, o ile się nie staną pastwą płomieni; stowarzyszenia religijne doznają tem większego ucisku, im więcej były dobroczynnemi, nieprzyjaciele wyrzucą religię z zakładów dobroczynnych i szkół, która je założyła.

Przewrót, lub też, czego się jeszcze bardziej obawiać należy, przeciwne religii prawodawstwo zniszczy, albo na inne cele przeznaczy wszystko to, co wierni z trudem wznieśli. Dopóki prasa pozostawać będzie wyłącznie w rękach wrogów katolicyzmu, dotąd wszelkie usiłowania katolików pozostaną bezskuteczne, chyba, że się jaki szczególny cud stanie.

Gdyby byli katolicy francuscy, podtrzymywanie ich prasy uważali za swój pierwszy obowiązek, gdyby byli prasie poświęcili dwa lub trzy miliony franków rocznie, byłoby się położenie bardzo szybko zmieniło, byłaby się wiara wśród tysięcy inteligencyi podniosła, boby się były umysły rozjaśniły".

Tak pisał przed trzydziestu laty wyżej cytowany Bandon. Czyż to się nie spełniło co do joty? to, co on przepowiedział? Rozpędzono zakony, zamknięto ich szkoły, zburzono ołtarze, zbeszczeszczono kościoły, zniesiono niezliczone zakłady dobroczynne i zerwano zupełnie związek Kościoła z państwem. Skąd tyle złego? Stąd, że nie było wielkiej prasy katolickiej, a ta co była, nie była należycie popieraną.

Oby los katolików francuskich, był dla nas przestrogą!

Wszakże i u nas pokazują się już zapowiedzi złowrogie blizkiej burzy przeciw Kościołowi i społeczeństwu, więc póki czas jeszcze uzbrójcie się w prasę katolicką, rozszerzajcie wszystkie pisma katolickie i popierajcie je środkami, na jakie kogo stać.

Do tego wzywają nas wielcy i czcigodni mężowie. Papież Pius IX. nazwał popieranie katolickiej prasy i rozszerzanie jej wśród ludu świętym obowiązkiem każdego katolika. Pełen wdzięczności darował on francuskiemu dziennikarzowi Ludwikowi Veuillotowi złote pióro, ze złotemi słowy: Pan jesteś mi droższy, niż 100 tysięcy mężów.

Papież Leon XIII. mawiał, że katolicy nigdy nie mogą zadość czynić dla swojej prasy; a wielki Biskup Ketteler tłómaczył, że katolik, który katolickiej, prasy z całych sił nie popiera, nie ma prawa nazywać się dobrem dzieckiem Kościoła. Arcybiskup Reylly z Adelaidy w Australii sam się uczył składać i drukować, aby prawdy religijne do ludu patrzeć mogły, a Biskup Norwegii, Fallice wydaje sam tygodnik św. Olaf.

Nie myślmy, że tylko do osób duchownych należy popieranie katolickiej prasy, bo to dziś jest obowiązkiem każdego katolika, i nie może się nazywać katolikiem ten, kto katolickiej prasy nie popiera.

Każdy katolik winien być w obecnych czasach „apostołem prasy“ i domagać się wszędzie pism katolickich: na kolejach, w restauracyach, kawiarniach i t. d.

Nasi ojcowie zrywali się niejednokrotnie do walki z wrogiem, który Ojczyznę najeżdżał, dziś wydał nam wojnę wróg inny, wróg duchowy, to jest żydowizm, który stanął na czele socyalizmu, niedowiarstwa i masoneryi, i uderza w nasze społeczeństwo, w nasz Kościół, z całą siłą za pomocą swej prasy.

Nie zwalczymy tego wroga inną bronią — tylko tą, której on używa, to jest prasą. Skutki złej prasy widzimy we Francyi; jeżeli więc nie chcemy, aby i nasze społeczeństwo spotkała podobna katastrofa, jaka spotkała katolików francuskich, którzy dawali miliony na kościoły, a nie dbali o prasę katolicką — to zabierzmy się jak najrychlej i najenergiczniej do popierania pism katolickich, nie tylko przez prenumeratę tychże, ale i przez składanie osobnych ofiar na cele katolickiej prasy.

Protestancka propaganda wśród Polonii amerykańskiej.

Z Ameryki coraz częściej napływać zaczynają skargi ze strony Polaków tam osiadłych, że Anglicy starają się gwałtem rozwinąć energiczną propagandę nawracania na protestantyzm katolików-Polaków. W ostatnich czasach rozwinęły kościoły anglikańskie swe zakusy, zwłaszcza w Kanadzie, a ponieważ wśród tamtejszych kolonistów polskich mało jest intelgencyi polskiej, propaganda ta znajduje chętny posłuch. Zresztą protestanci angielscy biorą się do niej bardzo zręcznie, a nawiązawszy stosunki z różnemi gminami protestanckiemi tu w Galicyi i na Śląsku, usiłują i tu robić odpowiedni nastrój, przenosząc go potem na grunt amerykański.

W Cieszynie na Śląsku wychodzi po polsku gazetka „Poseł Ewangielicki“. Przeznaczona ona jest głównie do popierania agitacyi protestanckiej nie u nas w Europie,

ale w Ameryce. A drukowanie jej tutaj ma być jeno zachętą, aby Polacy tęskniący za Ojczyzną tem chętniej w Ameryce ją czytali, jako gazetkę ze „starego kraju“.

W Kanadzie praca sprotestantyzowania Polaków rozwinęła się już w całej pełni. Stąd też pochodzi, że tak zwane kościoły narodowe o podkładzie protestanckim wyrastają tam jak grzyby po deszczu, a rozdwajanie i rozbijanie się polskich stowarzyszeń katolickich jest rzeczą bardzo częstą. Wszystko to zaś jest dziełem misyi metodystów i presbiteryanów, którzy grube kwoty łożą na osiągnięcie swych celów,

Postępowanie zaś ich celem zjednania sobie zwolenników, jest bardzo podstępne. Każdy inteligentny polski emigrant przybywający do Kanady zostaje zaraz opasany siecią intryg tych panów.

Zaczyna się od tego, że utrudnia mu się egzystencyę, nie pozwalając bądź znaleść zajęcia, bądź też utrudniając pozostanie w niem.

Oprócz tego nasyłani bywają Polacy, którzy dawno wyrzekli się wiary katolickiej i zangliczeli, a obecnie pracują jako płatni tajni agenci misyi protestanckich. Ludzie tacy bądź zamieszkują obok upatrzonej rodziny emigranta, bądź też stołują się u niej, pilnie baczą na jej stosunki; donosząc swym przełożonym, co robią i jak żyją emigranci. Wkradłszy się w przyjaźń obserwowanych, starają się ci agenci zapoznać ich z rodzinami Anglików, rzekomo przyjaciółmi Polaków, mówiącymi nieraz nawet po polsku, którego to języka nauczyli się oni dla celów propagandy. Tacy Anglicy dla lepszego wyszkolenia się w mowie polskiej starają się utrzymać przyjacielskie stosunki, równocześnie jednak obserwują swe ofiary. Aż kiedy zazwyczaj z powodu złych warunków materyalnych przychodzi na emigranta depresya moralna, ci fałszywi przyjaciele zrzucają maskę i otwarcie proponują przejście na wiarę metodystów lub presbiteryanów, w zamian ofiarując bardzo korzystne posady, zwłaszcza o ile dany emigrant zechciałby zostać misyonarzem metodystów.

Ponieważ ogólnie emigracya polska w Kanadzie składa się z ludzi najniższych warstw o małej odporności moralnej, więc i żniwo protestantów jest bardzo obfite.

Jedną z najwybitniejszych takich działaczek protestanckich jest niejaka Miss Hallen, dyakonisa metodystów, Angielka, umiejąca dosyć dobrze po polsku.

Jej władza przełożona uchwaliła ją na dwa lata wysłać do Krakowa i do Galicyi, aby wykształciła się i poznała stosunki polskie. Także od roku przebywa w Krakowie niejaki Mister Chaubert z Winnipegu w Kanadzie Anglik, wysłany w celach propagandy. On to w marcu bież. roku wygłosił w Cieszynie na Walnem Zgromadzeniu towarzystw ewangielickich, odczyt, w którym niedwuznacznie wskazał na usiłowania, podjęte celem szerzenia protestanckiej propagandy wśród Polaków. Odczyt ten wydrukowany potem przez „Posła Ewangielickiego“ w Cieszynie, został w tysiącach egzemplarzy wysłany do Kanady i rozrzucony między Polakami.

Sprawa przez nas poruszona jest bardzo doniosłego znaczenia. Jak nam bowiem z Kanady piszą, wśród Polonii dzieje się tam źle, a co najmniej trzy czwarte emigrantów jest dla polskości zupełnie straconych. Garstka inteligencyi z trudnością może wpływać na tysiące rodzin robotniczych i włościańskich i podtrzymywać ich religię i patryotyzm. N. p. w Winnipegu na 5.000 Polaków jest zaledwie 14 z osób z inteligencyi polskiej. Cóż to znaczy? Tem bardziej więc należy na fakt ten zwrócić uwagę i przynajmniej nie dopuszczać do tego, aby u nas w kraju wychodziły jakiekolwiek podniety do tej propagandy.

Rozłam wśród socyalistów galicyjskich.

W grudniu zesz. r. obradował we Lwowie doroczny zjazd partyi socyalistycznej galicyjskiej. Był on obrazem wielkiego rozprężenia, jakie coraz bardziej ogarnia szeregi socyalistyczne. Doprowadziło ono do tego, że dzisiaj w Galicyi zamiast jednej partyi socyalistycznej, mamy ich kilka, wrogo z podełba na siebie spoglądających. Dawniejsza „Polska partya socyalistyczna (P. P. S.) z biegiem czasu zaczyna zanikać. Obok niej jako jej samo-

istne odłamy, wyrosły już dzisiaj partya żydowska i partya ruska. Obie one starają się coraz bardziej stać się niezależnemi i odrzucić opiekę P. P. S. Obrady kongresu dobitnie to stwierdziły.

Szeregi socyalistyczne zarówno wskutek ucieczki z pod sztandaru, jak i wskutek wewnętrznej niezgody coraz bardziej topnieją. Stwierdził to w swym referacie tow. dr. Bobrowski, który oświadczył, że organizacya robotników młodocianych zupełnie się rozbiła. Poseł Daszyński zaś mówiąc o Unii górniczej na Śląsku wykazał, iż z 32 tysięcy zorganizowanych, liczba członków spadła na 12 tysięcy. Dowodzi to, iż owe rzekome zwycięstwa podczas wyborów ostatnich do parlamentu były raczej dziełem przypadku lub braku odpowiednich kandydatów, a nie wynikiem siły partyi socyalistycznej. Zresztą wiele do myślenia daje zarzut, podniesiony na kongresie przez socyalistę Haasego, który wręcz oświadczył, iż stanowisko głównego zarządu partyi podczas wyborów wobec ludowców i namiestnikowskich demokratów było niejasne. Co ta niejasność znaczy w praktyce, wiemy z wyników wyborów. Za ową „niejasność“ weszło z Galicyi tylu socyalistów do parlamentu.

Dowiedzieliśmy się także na kongresie, że partya socyalistyczna w Galicyi nie ma zupełnie programu agrarnego, czyli nie ma wcale opracowanych i ustalonych sposobów, jakimi należy iść w pomoc rolnikom-włościanom. Poseł Daszyński przyznał to sam, oświadczając, że programu takiego nie ma wogóle żadna austryacka partya, a włościanom daje się tylko minimum ich żądań, to jest najmniej, ile można.

Może nareszcie to szczere oświadczenie otworzy oczy naszym włościanom i pouczy ich, że w partyi socyalistycznej nie mają co szukać ratunku, bo ona nic im dać nie jest w stanie.

Najtrudniejszą sprawą dla kongresuu była jednak sprawa żydów. Jak wiadomo, dawniej partya galicyjska socyalistów żyła i pracowała za żydowskie pieniądze. W zarządach rej wodzili żydzi tak, że słusznie nazywano ją parobkami żydowskimi.

Póki żydzi mieszki dla partyi mieli otwarte, póty wszystko było dobrze. Ale od roku 1905 coś się zaczyna psuć w tej harmonii. Żydom widocznie sprzykszyło się być tylko dobrodziejami galicyjskiego socyalizmu. Postanowili popróbować interesu na własną rękę i utworzyli osobną partyę żydowską socyalistyczną.

Partya ta z początku była nieliczna. W miarę jednak, jak wśród żydów ruch narodowościowy zaczął się coraz bardziej rozwijać i ta partya zaczęła rosnąć w siłę. Doszło wreszcie do tego, że obecnie żydzi tworzą partyę zupełnie oddzielną, urządzają osobne zjazdy partyjne, słowem nie chcą już słuchać komendy panów Daszyńskich, Bobrowskich i t. p,, ale wolą sami o sobie radzić. Ma się rozumieć, rzeczą menerów partyi jest za wszelką cenę do tego nie dopuścić, gdyż rozłam moralny pociągnąłby za sobą rozłam materyalny, a tem samem nasi polscy towarzysze zostaliby dziadami.

To też kiedy sprawę tę na kongresie poseł Daszyński poruszył, uczynił to delikatnie, a kręcił tak argumentami, że istotnie podziwiać aż należało, jak też bardzo bał się czemkolwiek swych żydowskich przyjaciół dotknąć.

Sprawy rozłamu nie załatwiono. W każdym razie odmówiono żądaniu żydów, aby na międzynarodowe kongresy wysyłali osobnych delegatów i aby mogli w okręgach wyborczych, gdzie żydzi socyaliści mają większość, stawiać swych kandydatów.

Wskutek tego zostało stwierdzone niezbicie, że nawet w tak międzynarodowej partyi, jak socyalistyczna, nastąpił rozłam między żydami a nieżydami. Żydzi stanęli zupełnie osobno, a z chwilą kiedy to uczynili, wystąpili wrogo przeciw wszystkiemu co polskie. Zarówno poseł Daszyński, jak i redaktor Haecker żydowski socyalista, stwierdzili, że na żydowskich zebraniach nie dano im mówić po polsku, że żydzi socyaliści nie chcą mieć nic wspólnego z polskością i polską kulturą.

Wylazło szydło z worka i pokazało się, że nawet socyalizm, który się szczyci braterstwem ludów, nie potrafił zmienić duszy żydowskiej.

Mają polscy socyaliści dosadną nauczkę, do czego doszli, kiedy jak parobcy wysługiwali się swym żydowskim kierownikom.

Kongres ostatni wprowadził galicyjski socyalizm na nowe tory, nie zbyt pomyślne. Szeregi partyi topnieją, a wodzowie zaczynają coraz bardziej tracić grunt pod nogami

Ilu jest Słowian?

Jeden z profesorów rosyjskich, mianowicie T. O. Florinskij taki podaje wykaz liczebny wszystkich Słowian w ogólności, i w szczególności w pojedynczych, różnych krajach.

Na początku 1911 roku było wszystkich Słowian: 159 milionów 420 tysięcy.

Z tego jest:

1)	Wielkorosyan . . .	69	milionów	500	tysięcy
	Rusinów	32	„	100	„
	Białorusinów . . .	7	„	400	„
2)	Polaków	21	„	700	„
3)	Czechów	7	„	500	„
4	Bułgarów	5	„	700	„
5)	Serbochorwatów . .	9	„	773	„
6)	Słoweńców . . .	1	„	500	„
7)	Słowaków	2	„	740	„
8)	Serbów łużyckich . .	—	„	157	„
9)	Kaszubów	—	„	370	„
	Razem .	159	milionów	420	tysięcy

Poszczególne narody słowiańskie zamieszkują następujące państwa.

Wielkorusów mieszka w państwie rosyjskiem 69 milionów 200 tysięcy, Rusinów 28,400.000, Białorusów 7,400.000; w państwie austryackiem Rusinów 4,500.000 i to w Galicyi 3,480.000, w Bukowinie 360.000 i w Węgrzech 660.000. W innych państwach europejskich, w Ameryce i w państwach Azyi Rosyan i Rusinów 500.000.

Bułgarzy mieszkają: w Bułgaryi 3,400.000, w Turcyi (w Macedonii, Rumelii, w Konstantynopolu i w innych krajach tureckich) 1,900.000, w Rumunii 110.000, w Rosyi 226.000, w Austro-Węgrzech 34.000, w innych państwach 39.000. Razem 5,700.000.

Serbochorwaci mieszkają: w królestwie Serbskiem 2,800.000, w Czarnogórzu 260.000, w Austro-Węgrzech 5,855.000. Z liczby tej w Austryi 800.000, w królestwie węgierskiem 3,084.000, w Bośnii i Hercegowinie 1,970.090; w Turcyi (w starej Serbii, Macedonii, w wilajecie skadnerskim) 550.000. w Rosyi 2.000, we Włoszech 6.000, w Ameryce 300.000. Razem 9,773,000.

Słoweńców jest w Austro-Węgrzech 1,325.000, we Włoszech 43.000, w Ameryce 132.000. Razem 1,500.000.

Czechów w Austro-Węgrzech 6,935.000, z liczby tej w Czechach, na Morawie, Śląsku, w Dolnej Austryi 6,865.000, w Węgrzech 60.000, w Bośnii i Hercegowinie 10.000, w Niemczech 126.000, w Rosyi 65.000, w Ameryce 310.000, w innych krajach 64.000. Razem 7,500.000.

Słowacy: w Austro-Węgrzech 2,358.000, z liczby tej w Węgrzcch 2,250.000, na Morawie, w Dolnej Austryi i w Wiedniu 10.800, w Ameryce 280.000, w Rosyi i innych krajach 2.000.

Serbowie łużyccy: w Górnych Łużycach 101.000, w Dolnych 56,000, w królestwie saskiem mieszka z tej liczby 56.000, w Prusach 90.000, w Ameryce, Australii i innych krajach 11.000.

Polaków pod zaborem rosyjskim jest 9 milionów 800 tysięcy, w Austryi 4,900.000, w Niemczech 3,900 000. w innych krajach europejskich 100.000, w Ameryce 3 miliony. Razem 21,700.000.

Kaszubów w Niemczech, prowincyi Zachodnie Prusy i Pomorskiej, 222.000, w Ameryce 118 tysięcy. Razem 370 tysięcy. Trzeba ich dodać do liczby Polaków, za jakich oni wszyscy się uważają.

Stosownie do wyznawanej religii jest prawosławnych 111 milionów 530 tysięcy: Rosyan 100.760, Serbów 5,450 tysięcy, Bułgarów 5,260 tysięcy, innych 60 tysięcy.

Unitów jest 4,222.000, roskolników 3,500.000.

Katolików 37 milionów 300 tysięcy, w liczbie tej Polaków 21,150.000, Czechów 7,250.000, Słowaków 2,060.000, Serbochorwatów 3,450.000, Słoweńców 1,480 tysięcy, Rusinów 1,500.090, Kaszubów 345.000, Bułgarów 50.000, Serbów łużyckich 15.000.

Protestantów Słowian jest 1,640.000, w tej liczbie Słowaków 680.000, Polaków 550.000, Czechów 220.000, Serbów łużyckich 142.000. Kaszubów, 25.000, Słoweńców 21.000, Bułgarów 2.000.

Mahometan Słowian jest 1 milion 230 tysięcy, w liczbie tej Serbów 800.000, Bułgarów 370.000.

Obrazki z wojny włosko-tureckiej.

Walki włosko-tureckie staczane w północnym Trypolisie obfitują w bardzo ciekawe i pełne barwności obrazy. Cywilizacya europejska udoskonaliła już bardzo sposoby wojowania dając ludziom w rękę przemyślne przyrządy zabijania się wzajemnego.

Niejeden z nich po raz pierwszy zawitał na ziemię arabską, gdzie dotychczas nie znane były ani aeroplany, ani karabiny maszynowe i t. p. inne doskonałości wojenne.

Włoski kapitan Piazza był pierwszym, który na aeroplanie Bleriota poszybował nad pustyniami Tripolisu. Wzlot jego stał się dla Arabów tripolitańskich jakiemś nieziemskiem zjawiskiem. Olbrzymi ptak, który nagle ukazał się nad ich głowami zdawał się im zapewne jakimś legendowym orłem z „Tysiąca i jednej nocy“.

Pełni przerażenia i zdumienia patrzyli Arabowie na cicho przez przestworza sunący statek nadpowietrzny, a chyba tylko okrzyki podziwu lub przerażenia wyrywały się z ich ust. Bezradne zdumienie malowało się w obliczach wpatrzonych w niebo synów pustyni. Jedni brali aeroplan za olbrzymi pocisk, który lada chwila spadnie na ziemię, aby wywołać straszną eksplozyę, inni nie patrząc uciekali w popłochu.

Kapitan Piazza obleciał stanowiska nieprzyjaciół i szczęśliwie powrócił do obozu.

Włoskie wojska w Tripolisie pracują bez przerwy dzień i noc. Żołnierze poza walką odłożywszy na bok karabiny chwytają za taczki i łopaty sypiąc szańce i aprosze. A kiedy już rowy i zasieki są gotowe, żołnierze muszą trwać na swych stanowiskach, gdyż nawet w nocy nie dają im Arabowie spokoju. Co parę godzin padają alarmowe strzały, których echo nieraz w noc późną budzi półśpiących żołnierzy, stawia na nogi i wprost odruchowo wciska im w rękę karabin. Spokój mają tylko ci, którzy już nie mogą ująć w martwiejącą rękę broni, którzy...... polegli.

Setkami, ułożeni w długich grobach obok siebie, spoczywają oni w pustynnym piasku, nie czuli już na huk dział ani głosy komendy.

1 listopada ubiegłego roku ustawiono na grobie ofiar padłych w pierwszych walkach prowizoryczny pomnik. Byli to polegli 84 pułku. W miejscu, gdzie krew swą przelali, wśród drzew oliwnych opodal gruzów willi Djemal beja, znalazły te biedne ofiary ludzkich zapasów ostatnie schronienie. Na drugi dzień po bitwie wykopano długi grób i złożono w nim wszystkich poległych, oficerów obok szeregowców i przysypano pustynnym piaskiem.

Z odłamków skał i rumowiska towarzysze broni pomnik im usypali. Wznieśli piramidę dosyć wysoką. Na jej szczycie umieścili złamaną piękną kolumnę rzymską, znalezioną w sąsiednim ogrodzie, a pomnik obwiedli łańcuchami. Na pamiątkę walk stoczonych nanieśli na szczyt piramidy pod kolumnę połamanych resztek broni, rozbitych kul armatnich i szczątków granatów.

Na tablicy marmurowej pod kolumną widnieje ołówkiem wypisany napis: „Siódma kompania 84 pułku piechoty swym towarzyszom-bohaterom, poległym 26 października 1911 roku“. Na drugiej tablicy spisano kolejno imiona i nazwiska tych, których kryje mogiła.

Pomnik budowano nieledwie ukradkiem w przerwach między jedną walką a drugą, a 1 listopada uroczyście go poświęcono. O godzinie 10 rano cała siódma kompa-

nia pod wodzą swego pułkownika Bruscalupiego stanęła w około. Z innych pułków przybyli konno oficerowie.

Na prędce na bębnach ustawiono ołtarz polowy, ale ksiądz nie mógł przybyć, gdyż grożący napad Arabów na to nie pozwalał.

Nad głowami żołnierzy powiał sztandar pułkowy, kulami już poorany. Pułkownik wstąpił w środek czworoboku. Komenda!... sprezentowano broń, a dowódzca drżącym głosem począł czytać listę, ostatni apel tych, którzy już spali snem wiecznym. W ciszy padały nazwiska: „Kapitan Failini, nadporucznik Hombert, porucznik Orsi, porucznik Bellini, Porucznik Solaroli, porucznik Granafoi“ i t. d. Padały nazwiska, coraz nowe i nowe, zdawało się, że lista nie ma końca. Donośny głos pułkownika rozbrzmiewał w ciszy złowieszczo, budząc w sercach słuchających bolesne echo. Gdzieniegdzie tylko zadrżał karabin w ręce wyciągniętego jak struna żołnierza, cicha łza spłynęła z pod pół przymkniętej powieki. Oficerowie starali się utrzymać w surowej powadze. Stary, siwiutki, jak gołąb pułkownik Olivieri zmagał się z sobą przez długą chwilę, wreszcie żal zerwał w nim tamę obojętności, jaką się na zewnątrz opancerzyć usiłował. Wybuchnął głośnem łkaniem i odszedł szybko na bok. Wreszcie padło ostatnie nazwisko, apel umarłych skończony. Krótka, cicha pauza, pułkownik wzniósł błyszczącą szablę ku niebu „W imieniu Boga — zawołał doniosłym głosem — w imieniu króla, w imię tej dalekiej Ojczyzny, w obliczu wroga tu na tym krwią przesyconym szańcu wpisuję wasze nazwiska do pełnej starej księgi historycznej naszego pułku. Niech żyje król!“

Z dale a od oazy dolatuje nagle huk armat, a potem sypie się groch wystrzałów karabinowych. Z rozwianym sztandarem wśród huku pękających granatów kompania rozwija szeregi i idzie... defiluje przed grobem tych, którzy już po bitwie. Oddział po oddziale przeciąga koło kamiennego wzgórka a każdy żołnierz rękę wznosi, jakby na pożegnanie.

W godzinę potem znowu wszyscy byli na stanowiskach.

W pół rozwalonej przydrożnej chałupie pułkownik oglądał sztandar zdobyty na Turkach. W tem przez wywalone drzwi wbiegł młody oficer. Cała postać pokryta kurzem, znać, że daleką przebył drogę. W ręce niósł mały bukiecik kwiatów. Wracał z pogrzebu poległych w 26 pułku piechoty.

Lecz na pożegnanie z grobu oficerów-kolegów wziął tą małą wiązankę. Przynosi ją pułkownikowi Może.... kiedyś w przyszłości te nikłe kwiaty stanowić będą jedyną pamiątkę po kimś drogim i kochanym, dla żony, siostry lub narzeczonej, która została tam.... w Ojczyźnie, a która grobu swego ukochanego już nigdy nie zobaczy.

Obaj żołnierze bez słów spojrzeli sobie w oczy. Pułkownik pochylił głowę i zapłakał cicho. W oczach młodego oficera zamigotały dziwne blaski, przez chwilę walczył ze sobą, potem wyciągając rękę z kwiatami do pułkownika szepnął: „Poszlemy... je... tam... kobietom!"

W tej chwili gdzieś w przestworzach nocy huknął strzał, za nim drugi i trzeci. Pułkownik zerwał się: „Napadają nas!" Chwycił szablę i wybiegł z chałupy.

A na całej linii bojowej już ruch i strzelanina. Huczą basem armaty, trzaskają karabiny, tu i ówdzie reflektory elektryczne rzucają długie smugi światła.

Po chwili wrzawa przycichła. Światła gasną. To fałszywy alarm.

Piekło dziecięce.

Znany pisarz angielski G. Wells opisuje między innemi w swej książce »Przyszłość Ameryki« okropne stosunki, panujące w sferach robotniczych, a przedewszystkiem wśród pracujących dzieci. Autor książki nazywa je najsłabszą i najbrzydszą częścią wspaniałej fasady gmachu amerykańskiego dobrobytu.

I słusznie. W tym najbogatszym dziś kraju pracuje przeszło 1 milion 700 tysięcy dzieci poniżej lat 15 w polach, fabrykach, kopalniach, warsztatach, 80 tysięcy dzieci, przeważnie małych dziewczątek, pracuje przędzalniach.

W południowych Stanach pracuje obecnie 6 razy więcej dzieci, niż przed 20 laty i co roku armia dziecięcych robotników się wzmaga.

Najwięcej dzieci do pracy dostarczają Włosi. Komisaryat wychodźczy w Ellis Island wykazuje, że Włosi przemycają pod rozmaitemi pozorami dzieci do Ameryki, tak, że para małżeńska wiezie często ośmioro swoich dzieci i rozmaite kuzynki, wnuczki, dzieci przyjaciół i t. d.

Małe dzieci nawet 5 do 6 lat zaledwie liczące, stają od rana do 10 — 12-godzinnej pracy, a przyszedłszy wieczorem do domu, rzucają się na pościel śmiertelnie znużone, niechcąc nawet posiłku. Inne partye dzieci pracują w nocy wśród szalonego huku machin i świstu wrzecion, oddychając powietrzem, przesiąkniętem pyłem i brudem; 6-letnie dzieci pracują po 12 godzin dziennie w przędzalniach a 10—11 godzin w kopalniach węgla, gdzie czyszczą węgiel. Mnóstwo dzieci ginie lub wpada w kalectwo, głównie przy obsługiwaniu maszyn, inne przed 20 rokiem życia wpadają w astmę i suchoty.

U milionera Bordena pracuje móstwo małych chłopców, którzy pakują sukno do chemicznego ługu. Wyglądają okropnie, ciała wychudzone i zniszczone, aż litość bierze patrzeć na nie.

Podobne obrazy iście piekielne przesuwają się przed oczyma widza w każdej niemal fabryce. Tak n. p. w rzeźni w Chicago czyszczą dzieci ubikacye i mięso, brodząc po kostki w smrodliwej kałuży nieczystości krwi bydląt. Dopiero w ostatnich czasach wydano ustawę, aby w rzeźni nie zatrudniano dzieci niżej lat 16.

Okropne te stosunki są wynikiem nieokiełzanej wolności i wyzysku. Milioner amerykański wyzyskuje bez miło sierdzia tę wolność, niekrępowaną ustawą i nadzorem państwowym. Ustawodawstwo robotnicze podlega autonomicznym rządom każdego Stanu z osobna, więc potentaci finansowi korzystają z tego i przekupstwem unikają wszelkiej kontroli.

To wczesne zaprzęganie dzieci do pracy ma jeszcze inne złe strony. Dzieci te nie chodzą do szkoły i dochodząc do wieku dojrzałego, są analfabetami o dzikich instynktach, nieraz zupełnie zbydlęcone. Mając prawo głoso-

wania, stają się w czasie wyborów bezkrytyczną masą, gotową na skinienie agitatorów głosować na tych, którzy dają pieniądze. Dzieci takie wyrósłszy, stają się materyalnie i moralnie niemal stracone dla społeczeństwa, nie mówiąc już o tem, że prawie z reguły nie nadają się do służby wojskowej.

Dlatego przyszłość Ameryki nie przedstawia się tak różowo, jeżeli stosunki te nie ulegną zmianie. Tych kilka przykładów wystarczy, aby wyrobić sobie wyobrażenie o tem piekle dziecięcem w Ameryce.

Rozmaitości.

Zakład w Pawlikowicach pod Wieliczką: Przed niedawnym czasem ukazały się w prasie odezwy Zakładu opuszczonych sierót w Pawlikowicach, wołające o pomoc materyalną ze strony społeczeństwa.

Skromne były początki tegoż zakładu. Przed ośmiu laty nabyło bowiem Towarzystwo „Powściągliwość i Praca“ w Miejscu Piastowem obszar dworski Pawlikowice, obejmujący wraz z łąkami i młodym lasem około 130 morgów gruntu za 72 tysiące koron, na którą to sumę mogło Towarzystwo zaledwie kilka tysięcy wpłacić.

Cudem prawie istnieje ten Zakład dotąd, żywiąc i wychowując przeszło 150 ubogich i opuszczonych chłopców, gdyż płody ziemne nie wystarczają na wyżywienie tylu wychowanków, na ich wykształcenie fachowe i spłacenie rat ciążących długów, które dochodzą do 7 tysięcy koron półrocznie, a przychody z ofiar były dotąd bardzo szczupłe.

Należy zwrócić uwagę i na to, że przy objęciu tegoż dworku, były budynki i pola w największem opuszczeniu; dopiero przy usilnej pracy dyrektora p. Jana Latuska, jego współwychowawców i wychowanków zostały jako tako przyprowadzone do porządku.

Każdy wychowanek pomaga pracą swoją w polu i ogrodzie, ucząc się przytem rzemiosła. Warsztaty (krawiecki, szewski, stolarski, kowalski i ślusarski), chociaż jeszcze nie zupełnie rozwinięte, kształcą jednak wychowanków na dzielnych rzemieślników.

W obecnej chwili Zakład ten mało znany jeszcze społeczeństwu, obciążony znacznym i długami, których dotąd nie zdołał jeszcze umorzyć, a równocześnie zmuszony do koniecznej gruntownej reperacyi budynków zakładowych, udaje się z usilną, a pokorną prośbą do całego społeczeństwa polskiego o rychłą pomoc materyalną, zapewniając przytem, że młodzież wycho-

wana należycie i puszczona w świat nie będzie już ciężarem, ale chlubą narodu.

Wszelkie łaskawe datki prosimy przesyłać pod adresem: P. Jan Latusek, dyrektor zakładu wychowawczego w Pawlikowicach p. Wieliczka.

Ważna uchwała trybunału administracyjnego. Z okazyi jakiegoś specyalnego wypadku rozstrzygnął trybunał administracyjny, że dzieci katolickich rodziców muszą być chrzczone. Ten obowiązek nie ustaje nawet, gdyby rodzice uznali się bezwyznaniowymi, bo według ustawy dziecko wprawdzie do 7-go roku należy do wyznania rodziców, jednakże bezwyznaniowość nie jest wyznaniem; rozstrzygającem jest więc wyznanie poprzednie.

Ogromne szkody w lasach. Rok 1911 zaliczyć można do rzędu lat klęsk elementarnych. Zboża we większej części pogniły i porosły, kartofle pomarzły w ziemi, a po wykopaniu przy wysokiej płacy robotnika pogniły w kopcach, a przebrane, znowu za drogie pieniądze, gniją dalej w kopcach. Robotnika do przebrania płacono koronę dziennie, to jest od 9 rano do 4 po południu z dwugodzinną z tego przerwą na południe.

Teraz nawiedziła nowa klęska nasze lasy. Niezwykła gołoledź w początkach grudnia zeszłego roku pokryła bryłami lodu drzewa i tysiącami połamała i pogięła do ziemi. Jest to ogromna szkoda dla właścicieli lasów, a jest także klęską dla tych lasów, które spekulacyjni parcelanci lasów niszczą parcelując. Ci niszczyciele będą mieli obecnie wymówkę, że las musiał być wycięty, bo był wyłamany.

Spis ludności na Śląsku, przeprowadzony ostatniego grudnia grudnia 1910, wykazał wedle ukończonych obliczeń 756.948 mieszkańców, z czego Niemców 325.588, Polaków 235.224, Czechów 180.352, innych narodowości 361.

Stosunek narodowościowy przedstawia się procentowo następująco: Niemców 43·04 prc., Polaków 32·06 prc., Czechów 23·73 prc. Wedle wyznania 638·730 (czyli 84 prc.) katolików, 109·749 (czyli 13 prc.) ewangielików i 13·442 (czyli 1·77 prc.) żydów.

300-letnia rocznica Kościoła grecko-katolickiego w Chorwacyi. Mało kto wie, że i w Chorwacyi są unici obrządku grecko-katolickiego. Mianowicie podczas wojen habsbursko-tureckich bardzo często zdarzało się, że Słowianie z Bałkanu osiedlali się w krajach habsburskich. I w ten sposób z końcem XVI. wieku zaludniła się prawosławnymi zbiegami z pod panowania sułtańskiego okolica miasta Pribić w Chorwacyi.

W roku 1611 przystąpili oni do unii, zachowując jednakże swoją odrębność obrządkową; i tem się właśnie tłumaczy, że unitów obrządku greckiego spotykamy również wśród Chorwatów. W roku więc zeszłym przypadła 300-setna rocznica unii, którą w miesiącu grudniu obchodzono w mieście Pribiću bardzo uroczyście. Sam władyka krzyżewacki ks. Drohobetzky dokonał poświęcenia kamienia węgielnego pod nową cerkiew grecko-katolicką

i on celebrował Mszę św. w ornacie, darowanym ongi przez cesarzową Maryę Teresę.

Biskup Drohobetzky odnowił własnym kosztem stary historyczny zamek rodziny Zrinskych Frankopanich, przed którym się znajduje olbrzymie jezioro, a na niem ostrów; i na tym właśnie ostrowie stanie wspaniała świątynia w bizantyńskim stylu. Na uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego, która była wstępem do obchodu rocznicy unii, zjechali się południowi Słowianie ze wszystkich okolic i to obu obrządków: grecko- i rzymsko-katolickiego.

Bismarck w sprawie polskiej. *Neue Fr. Presse* opublikowała z końcem roku ubiegłego niedrukowane jeszcze pamiętniki Franciszka Crispi'ego roku 1887.

W tej publikacyi znajduje się ustęp zajmujący, odnoszący się do sprawy polskiej. Mianowicie notuje Crispi pod dniem 27-go września 1887 swoją rozmowę z Bismarckiem. Bismarck wskazywał na to, że wszelkimi sposobami starał się Rosyę przyciągnąć ku Niemcom, ale nigdy się mu to nie udało Na wszelkie uprzejmości Rosya odpowiadała nagromadzeniem coraz to więcej wojska na granicy niemieckiej.

Dalej mówił Bismarck, że Rosya jednak nie jest swoich wojsk pewna. Żołnierze i oficerowie przejęci są duchem rewolucyjnym. Całe wielkie państwo, które wydaje się tak silnem, bynajmniej takiem nie jest. Polska jest słabym punktem Rosyi, a Austrya jest u Polaków lubianą. Gdyby tylko cokolwiek dopomożono Polakom do powstania, mogliby zrzucić swoje jarzmo i pod austryackim arcyksięciem utworzyć samodzielne państwo.

Palenie zwłok. Rada miasta Bazylei (w Szwajcaryi) uchwaliła 49 głosami przeciw 42, jako zasadę, że pogrzeby mają się odbywać przez palenie zwłok. Grzebanie zmarłych w ziemi nastąpić ma w przyszłości tylko na wyraźne żądanie.

Epidemia tyfusu w Hiszpanii. W mieście Gyon w północnej Hiszpanii wybuchła straszliwa epidemia tyfusu. Zachorowało ogółem 2.500 osób; przeciętnie umiera dziennie 30 ludzi. Epidemia rozszerza się i na okoliczne wioski. Rodziny zamożniejsze opuszczają miasto i uciekają do Madrytu, wskutek czego i stolica jest zagrożona epidemią.

Klepsydra w parlamencie. Z Paryża donoszą, że niezwykłą nowość w francuskiej Izbie stanowi ustawienie na trybunie mówców „zegaru piaskowego“ Zarządzenie powyższe wywołała uchwała Izby w czasie jeneralnej dyskusyi nad budżetem, że mówcy mogą przemawiać najdłużej kwadrans. Tym sposobem zegar przypomina mówcy, jak drogą jest każda minuta i zmusza do streszczenia wywodów.

CZĘŚĆ POWIEŚCIOWA i NAUKOWA.

Jak dawno człowiek żyje na ziemi.

Uczeni zajmowali się i zajmują się jeszcze pytaniem: jak dawno rodzaj ludzki żyje na ziemi?

Wierzący katolicy opierając się na Piśmie świętem nie przypisują rodzajowi ludzkiemu tak odległej przeszłości, jak to czynią uczeni świeccy, odrzucający powagę Pisma świętego.

Trzeba tu odróżnić stworzenie świata od stworzenia człowieka.

O stworzeniu świata mówi Pismo święte krótko i ogólnikowo, natomiast szerzej nieco przedstawia stworzenie człowieka.

Co do stworzenia świata — to można przypuścić, że świat istnieje już setki tysięcy, a może miliony lat, człowiek zaś stworzony został, czyli pojawił się daleko później na ziemi.

Pismo święte nie podaje nam wprawdzie dokładnego obliczenia czasu od stworzenia Adama do potopu, i od potopu do Chrystusa Pana, w każdym razie kładzie stworzenie człowieka mniej więcej na 5.700 lat przed Chrystusem Panem.

Między chrześcijańskimi pisarzami niema jednak pod tym względem zgody. I tak: Beda liczy od Adama do Chrystusa Pana 5190 lat, święty Cypryan: 6.000 lat, Julian z Toledo 6.011 lat. Profesor dr. Schanz, oblicza na podstawie pewnych liczb Pisma świętego, że człowiek stworzony został na 8 tysięcy lat przed Chrystusem.

Ponieważ zaś w Piśmie świętem niema dokładnych liczb w tej sprawie, więc Kościół nie sprzeciwia się, jeżeli nauka na podstawie badań dochodzi do wniosku, że rodzaj ludzki istnieje o kilkaset lat dłużej, niż to podaje Biblia.

Zresztą, jeden z uczonych wyraźnie mówi, że choćby nauka stwierdziła, że rodzaj ludzki dłużej istnieje, to i ta okoliczność nie obniża powagi Pisma świętego, ani religii, a Pismo święte nie kładzie w tym względzie tamy badaniom naukowym Pismo święte bowiem nie zajmuje się tyle historyą stworzenia człowieka, ile — więcej i głównie jego stosunkiem do Boga, i jego obowiązkami względem Boga.

*
* *

Warto mimo to posłuchać, co o tej sprawie mówią najstarsze narody, to jest narody starożytności pogańskiej.

Bierzmy naprzód Egipcyan. Historya Egiptu jest bardzo niepewną, gdy mówi o jego początkach. Jedni pisarze mówią, że najstarsza dynastya królów egipskich zaczęła rządzić na 6.117 lat przed Chrystusem, inni, że na 4.555 lat. Champollion słynny lekarz i znawca najdawniejszego pisma egipskiego, tak zwanych hieroglifów, twierdzi, że żaden egipski pomnik nie powstał wcześniej, jak na 2.200 lat przed Chrystusem Panem, to znaczy, że dopiero od 2.200 lat przed Chrystusem zaczyna się historya Egiptu. Natomiast prof. Schanz przypisuje piramidom egipskim 3.000 lat przed Chrystusem, i utrzymuje, że Egipcyanie posiadali już na 4.000 lat przed Chrystusem rozwiniętą oświatę.

Herodot, pisarz grecki, liczy od panowania króla Manesa, do napadu Persów na Egipt: 11 tysięcy 500 lat — ale sami Egipcyanie mówią, że u Herodota rok ma 3 lub 4 tylko miesiące. Manetho; który żył na 250 lat przed Chrystusem, pisze, iż w Egipcie panowało 30 dynastyi królewskich, lecz mylą się ci uczeni, którzy sądzą, że te dynastye (rody) panowały jedna po drugiej i rozkładają ich panowanie na tysiące lat, bo dynastye te panowały równocześnie w różnych częściach Egiptu.

Przypuśćmy jednak, że Egipcyanie posiadali już wysoki stopień oświaty na 3.000 do 4.000 lat przed Chrystusem, to zachodzi pytanie, skąd oni to wykształcenie otrzymali. Prawdopodobnie z Babilonu, bo Egipcyanie mieli z Azyi do Egiptu nad Nil przywędrować, co najnowsze badania stwierdziły.

Babiloński historyk Verosus, żyjący około roku 300-go przed Chrystusem Panem, rozciąga historyę Babilonu na 470 tysięcy lat, z tego 432 tysięcy do potopu.

Cyfry te, to bajki, tak samo, jak bajką są 34 tysiące lat, które po potopie miały nastąpić. Verosus bowiem dopiero od 2.250 roku zaczyna liczyć czas według zwykłych lat, więc tamte lata nie były zwykłymi latami.

Sławny znawca Asyryi, Oppert podaje rok 3.540 przed Chrystusem, jako czas budowy wieży babilońskiej.

Według odczytanego niedawno starodawnego pisma — Babilon i Niniwa, owe gniazda prastarej cywilizacyi, nie sięgają swą przeszłością poza rok 4 tysięczny przed Chrystusem. Idźmy dalej.

Według najstarszych ksiąg Indów (Hindusów w Azyi), świat istnieje 12 tysięcy lat boskich, a każdy rok boski ma 360 lat ludzkich, a więc według Hindusów, świat istnieje 4,320.000 lat. Z tego widać, że to także bajki i poezya, bo ci sami Hindusi rozpoczynają historyę swoją od roku 3.100 lub 2.448 przed Chrystusem.

Podobnie i Chińczycy obliczają istnienie świata na 63 tysiące lat, lecz zaczynają swoją historyę dopiero od potopu, który według nich był w roku 2.357 przed Chrystusem.

* * *

Przyjmując więc według badań nowszych, że ludy starożytności już w czasie 4.000 do 3.000 lat przed Narodzeniem Chrystusa posiadały dość wysoką oświatę, pismo i mowę rozwiniętą, nie można przypuścić, żeby około roku 2.500 przed Chrystusem wszystka ludność z wyjątkiem rodziny Noego, przez potop została zniszczona

W takim bowiem razie, to jest, gdyby całą ludność ziemi zniszczył był potop, zniknęłyby z nią także i zdobycze cywilizacyjne, a jednak te, jak wyżej piszemy, sięgają do 4.000 lat przed Chrystusem.

Dr. Schanz, aby to wyjaśnić, twierdzi, że albo potop był daleko wcześniej, albo potop nie zniszczył wszystkich zdobyczy ducha ludzkiego. Chaldejczycy mają w swych pismach opis potopu zupełnie zgodny z opisem Biblii, a przecie historyą swoją zaczynają o wiele wcześniej,

więc potop nie obejmował całej kuli ziemskiej. A chociaż Pismo święte mówi o całej ziemi — i o wszystkich narodach, to to może oznaczać tylko wielki jakiś obszar ziemi, lecz nie koniecznie całą ziemię.

Podobnie wyraża się Pismo święte o pierwszem chrześcijańskiem święcie Zielonych Świąt w Jezuzalem i głosi, że przybyli na nie ludzie ze wszystkich narodów, a to jest tylko sposób wyrażenia się, dosłownie więc tego brać nie należy.

Nie trzeba więc brać dosłownie słów Pisma św., że wszyscy ludzie zginęli w potopie z wyjątkiem Noego i jego rodziny, gdyż Pismo święte zajmuje się głównie narodami, których dzieje mają związek z przodkami Zbawiciela, o inne się nie troszcząc; niema więc w Piśmie świętym wzmianki o Europie.

Wprawdzie katoliccy uczeni twierdzą, że nie zachodzi wcale potrzeba takiego dowolnego tłumaczenia potopu — ale Kościół katolicki nic nie ma przeciw tej dowolności.

Rozmaici niedowiarkowie zarzucają, że niemożliwem jest, aby od trzech Noego synów, Sena, Jafeta i Chama w przeciągu mniej więcej 500 lat, ludność w miliony rozrodzić się mogła. A jednak jest rzeczą stwierdzoną, że z 6 dzieci w przeciągu 450 lat 2.000 milionów ludzi rozrodzić się może. Dowiedzionem jest także, iż przyjmując na każde małżeństwo czworo dzieci, to po 1.000 latach otrzymalibyśmy dwa razy tak wielką cyfrę ludzi, jaka teraz ziemię zamieszkuje.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ostatni kulig staropolski.

Było to w roku 1820: od połowy grudnia spadły ogromne śniegi, tak iż wioski pozasypywały i przerwały na dni kilka wszelki przejazd, nietylko po drogach bocznych, ale i na bitych gościńcach.

Od chaty do chaty, od dworu do zabudowań dworskich, w pośród mas śnieżnych trzeba było rozkopywać

przejście. W tydzień później wiatr ciepły powiał, prawie w jednym dniu zaspy śnieżne roztajały i znikły bez śladu, bez roztopów, wychyliły się dachy wioskowe i dworskie, a gdy wkrótce mrozy schwytały i znów lekki śnieg posypał, ustaliła się tak wyborna sanna, jakiej dawno nie było, i zima śnieżna trwała niemal do połowy marca.

Dwór pana starosty leżał wśród leśnej okolicy, o mil dwie od brańszczykowskiej puszczy. Był to dom staroświecki, murowany, z wieżyczką, zabytkiem starego zamczyska; ztąd w sąsiedztwie zwano go zamkiem.

Pan starosta, był to sędziwy już starzec. Pamiętał dobrze czasy Augusta III., w młodym wieku służył pod chorągwią przesławnej konfederacyi barskiej i dotrwał wiernie do końca, dopóki Kazimierz Pułaski, od murów Częstochowy, nie opuścił rodzinnej ziemi na zawsze. Po poddaniu świętego grodu, pan starosta, przywrócony do godności dawniej piastowanych, odznaczył się w usługach obywatelskich, bo też na żadną potrzebę krajową nie żałował tak krwi swojej, jak i mienia dostatniego.

Trzech dorosłych synów służyło dawniej w wojsku, najstarszy z legionów przyniósł krzyże legii honorowej i polskiej *virtuti militari* ze szlifami pułkownikowskiemi, ale zarazem i pięć ran ciężkich, które odebrały mu zdrowie. Dwóch młodszych poległo w Hiszpanii: jeden zginął jako szwoleżer przy zdobyciu wąwozów Sammo-Sierry, drugi w szturmie do Saragossy. Dwóch najmłodszych, już żonatych, trzymało dzierżawy od ojca.

Pani starościna, poważna matrona, liczyła lat 60, ale jeszcze czerstwa i pełna zdrowia, wyrozumiała dla młodego wieku, chętnie urządzała zabawy w domu swoim, lub należała do projektów, jakby wesoło u sąsiadów zapusty przepędzić.

To też tej zimy, zaraz po Nowym Roku, w gronie swej rodziny, podniecana przez dwie młode synowe, wesołe i lubiące tańczyć, ułożyła kulig do państwa skarbników, którzy za puszczą brańszczykowską we wsi Wierzbowie mieszkali.

Starosta, nie mogąc się oprzeć przymilaniu i prośbom synowych, przystał na wszystko. Pułkownik, dla strzaskanej

ręki od granatu, nie mógł brać udziału w zabawie, lubo do niej ochoczo zachęcał.

Po długiej przeto naradzie, postanowiono zebrać grono sąsiedniej młodzieży i przyjaciół, i w licznej czeredzie napaść niespodzianie dwór państwa skarbnikowstwa. Z początku przeznaczono na ten dzień Trzech Króli, ale ponieważ potrzeba było do wesela krakowskiego ubiorów stosownych, odłożono przeto zamiar na koniec stycznia. Tymczasem sprowadzono z poblizkich miasteczek żydów krawców do szycia sukien, i tak się zawinięto, że wszystko było gotowem na 20-go stycznia.

Ale trzeba było poprzednio odbyć próbę: pani starościna zaprosiła przeto wszystkich do kuligu należących na dni kilka do siebie. Wystąpił najprzód poważny organista, jeden z synów starosty, ze swą żoną jako organiściną, i ognistą wypalił perorę.

Mowa ta, pełna humoru i dowcipu, serdecznie rozweseliła sędziwego ojca i poważnego pułkownika. Tańce udały się wybornie. Na drugi dzień chciano zrobić niespodziankę dla pani starościny. Kiedy się więc zmierzchło dobrze, usłyszano we dworze odgłos piskliwych fujarek z bębnami. Gdy oboje starostwo spojrzeli na siebie zdumieni, wbiegła synowa młodsza, a klaszcząc w ręce radośnie, prosiła ich, żeby pozwolili wnijść cyganom. I zaraz za nią zaczęła się tłoczyć cała banda, a ze środka jej wysunął się ogromny niedźwiedź bury, białoszyjnik, i począł niezgrabny swój taniec, przy brzmieniu fujarek i dwóch bębenków.

Starosta pierwszy poznał w przebranych cyganach swoich znajomych, ale przed żoną utaił swoje odkrycie. Dopiero gdy chórem cała banda, dobranemi głosami, zanuciła pieśń na cześć gospodarstwa, zerwała się z kanapy i zaczęła całować i ściskać urodne cyganki.

— A Bogdajże was Pan Bóg chował zdrowo i szczęśliwie — mówiła wesoło poważna matrona, a toż to ja nie poznałam swoich.

— A ja poznałem, ale mojej dzieweczce nie mówiłem nic i siedziałem jak trusia — wyrzekł starosta, śmiejąc się serdecznie.

W tę chwilę niedźwiedź wysunął się naprzód, oddał niezgrabny pokłon, pochwycił rękę starościny i pocałował.

— A toż kto? — zapytała przestraszona nieco gospodyni domu.

— Cóż to, mateczka nie poznała? — odezwała się starsza synowa; toć to przecie pan Jacenty.

— Ktoby go tam poznał w tej niedźwiedziej skórze? — odrzekła starościna, taki straszny... a wybornie udawał niedźwiedzia.

Pan Jacenty, był to jej daleki krewniak, zawołany myśliwiec, zawiadujący w dobrach starosty, jako nadleśny, obszernemi borami.

Po wypoczynku, zaczęto robić przygotowania do wyjazdu kuligowego. Dwadzieścia kilka sań napełniło obszerny dziedziniec przed dworem. Wytoczono staroświecką karetę na saniach, którą młodzież zebrana z ciekawością oglądała. Na szerokich łozach, które się na przedzie kończyły ogromną głową murzyna w ponsowym zawoju, z wyszczerzonemi białemi zębami, umocowane silnie, wznosiło się pudło ogromnej karety. Cztery jej rogi stroiły małe bronzowe wyzłacane wieżyczki, z głośnemi dzwonkami. Drzwi każde zdobiła para malowanych na tle pąsowem białych gołąbków, całujących się dzióbkami. W tych to saniach, przed czterdziestu kilku laty, jechał pan starosta do ślubu.

Wyobroczono dobrze konie, i nazajutrz po śniadaniu postanowiono wcześnie wyruszyć, bo było blizko sześć mil do dworu państwa skarbnikostwa.

Szanownych gospodarzy obu tych domów, nazywamy dawnymi, z czasów jeszcze Rzeczypospolitej, tytułami godności, które niegdyś posiadali. Stan rzeczy już wtedy się zmienił, młode pokolenie nie znało ani starostów ani skarbników; lecz chociaż w urzędowym języku nie miały te tytuły żadnego znaczenia, wszyscy je dawali przez szacunek tym, którzy je dawniej, w innych, a już odległych czasach nosili prawnie.

Od świtu przed dworem służba dworska i czeladź uwijała się żwawo. Tymczasem pan starosta, po długiej naradzie z nadleśnym Jacentym, wyszedł w podróżnym ubraniu. Mróz był lekki, powietrze miłe, chociaż chłodne. Słońce czasem wyjrzało bladem obliczem z pośród chmur spokojnie wiszących, niepędzonych wiatrem.

Godzina naznaczona uderzyła, zajechały pierwsze saneczki jednokonne, a ciągnął je najlepszy biegun ze stajni starosty, sławny jednochodnik. Wybiegł arlekin w masce czarnej, z drewnianą czapeczką w ręku, uderzył nią każdego ze stojących na ganku, zarzucił niedźwiedzie, i zniknął nam z oczu. On to miał być zwiastunem najazdu kuligowego we dworze skarbnika.

Starosta przeciągał coraz wyjazd, jakby oczekiwał na kogo. Jakoż wkrótce nadjechał pan Jacenty, na czele czternastu zbrojnych myśliwych; za nimi nadciągnęły sanie ładowne w kagańce i pochodnie.

Kiedy wszyscy zebrani stanęli na ganku, wtedy wyszedł sędziwy proboszcz miejscowy, w komżę przybrany, odmówił głośno modltwę, prżegnał obecnych na szczęliwą drogę i pokropił święconą wodą.

Niedługo wszystkie sanki ruszyły z podwórza, pozostali tylko razem proboszcz i pułkownik.

*

* *

Dwie mile do puszczy, przelecieliśmy w przeciągu niespełna godziny. Przed karczmą dano nieco wytchnąć koniom i rozpytano o pierwsze sanie.

— Ho! ho! proszę jaśnie pana, zawołał gospodnik, już dobry kawał czasu, jak tu był pan jakiś, ubrany jak djabeł wenecki. Dzieci go się nastraszyły i wszyskie za piec uciekły, a on tylko odetchnął koniowi — i znowu jak wiatr poleciał.

Ruszyliśmy dalej; w puszczy najwyborniejsza sanna, a śnieg ubity, nieraz pod kopytem ostro kutem iskry wyrzucał. Konie same ochoczo leciały. Szum cichy puszczy, parskanie rączych biegunów, pokrzyk woźnic i gwar wesoły jadących, mięszały się w dziwną, a radosną harmonię.

Pan Jacenty ze strzelcami, wyciągniętym kłusem, dotrzymywał saniom.

Zmrok w puszczy wcześniejszy; to też przebywszy trzy mile dobre, cały orszak zatrzymał się w karczmie na uboczy stojącej, odpocząć koniom i przebrać się jak należy.

Kiedy w godzinę później siadaliśmy do sani, pan Jacenty, po krótkiej na stronie rozmowie ze starostą, kazał

zapalić kagańce i pochodnie; pierwsze rozdał do każdych sani, drugie strzelcy ujęli w ręce.

Zwolniono kłusa.

— Dlaczego tak wcześnie zapalono pochodnie? — zapytała męża pani Adamowa, starsza synowa starostów.

— Gdzie tam widno, nim zajedziemy, to mrok dobry będzie — odrzekł jej z uśmiechem; ale miał na pogotowiu dubeltówkę skałkową i parę pisoletów za pas założył, położywszy na nogach szturmak nabity.

Co ty Adasiu tak się zbroisz? może tu są zbójcy — zawołała z przestrachem żona.

— Moja Teofilko, zkąd tu zbójcy? A wieleżby ich potrzeba, żeby nam podołali! Sęk*), co tu rozbijał, oddawna zniknął. My robimy przygotowania, bo karczmarz mówił, że pokazały się gromady wilków.

— A to co innego, ja się wilków nie boję...

Przerwał rozmowę małżonków donośny głos pana Jacentego stój!

— Co takiego? — zapytał starosta, wychylając głowę z karety.

— Ujrzałem po śniegu, panie starosto, gęsty trop wilczy. Trzeba, żeby sanie jedne za drugiemi wolnego truchcika jechały: my otoczymy je dokoła. Bartosz z pochodnią naprzód!

I stary strzelec na siwku, wysunął się przed pierwsze sanie, potrząsając co chwila gorejącą pochodnią.

Z bitego gościńca zjechaliśmy w lewą drogę, wiodącą krańcem puszczy. Zmrok już gęsty zapadł, dwór pana skarbnika zdala jak na dłoni z pagórka widoczny, bo we wszystkich oknach biła łuna od świec jarzących.

— Adasiu! co to tak w tej puszczy ciemnej świeci, jakby świętojańskie robaczki, tylko większe i jaśniejsze?

W tę chwilę zabrzmiał głos pana Jacentego: Bartosz, lepszego kłusa wyciągaj!

I ruszyliśmy rześko, jak z domu wyjeżdżaliśmy.

---

*) Sęk, nazwa zbójcy głośnego w owych czasach, tak w puszczy brańszczykowskiej, jak i w okolicy całej. Rodem był kurp; słynny z olbrzymiej siły; postronki rwał jak nici, łamał podkowy. Schwytany przez jednego z panów podróżnych, skrępowany, leżał już na bryce. Odetchnąwszy ze zmęczenia i bójki, po krótkim spoczynku, jak naprężył silnie ręce, jak szarpnął, pękły postronki, a Sęk zeskoczył i znikł w puszczy. Odtąd już śladu jego nie było.

— Te ogniki, moja Teofilko — odrzekł mąż z uśmiecem, to ślepia stada wielkiego wilków, któreby nas tu schrupały, gdyby nie pochodnie i kagańce.

— Jezus Marya, Józef! — zawołała pani Adamowa bledniejąc, a wasza broń?

— Dobra byłaby na kilku lub kilkunastu, lecz nie na taką chmarę. Ale niebezpieczeństwo minęło, już wjeżdżamy w opłotki wiejskie. Patrz Teofilko, jak blady pan Jacenty przy tym połysku pochodni; to mężny człowiek, a te niemało mu piotra napędziły.

— Zgasić pochodnie i kagańce — zabzmiał głos nadleśnego, i w jednej chwili zmrok nas ogarnął. Tylko silniej bijące łuną okna dworu skarbnika rozświecały nam drogę. Wjechaliśmy bramą roztwartą, a muzyka kuligowa zabrzmiała przy wtórze pieśni ową sławną, weselną śpiewankę:

A żebyś ty chmielu na tyczki nie lazł...

Na ganku zjawił się niespodzianie nasz arlekin, i on wprowadził na wielką sali kuligowy orszak. Na progu przy drzwiach roztwartych, trzymając na tacy chleb i sól, sędziwi skarbnikostwo powitali z gronem rodziny swojej oczekiwanych gości. Starosta rzucił się w objęcia skarbnika, i dwaj nad grobem stojący starcy radość swoję tylko łzą serdeczną świadczyli, bo ze wzruszenia słowa przemówić nie mogli.

Muzyka kuligowa zabrzmiała, odpowiedziała jej kapela, wcześnie widać przygotowana, lecz w oranżeryi dotąd ukryta przez skarbnika. Radosny wykrzyk dowodził wesela wszystkich.

Pan Jacenty, już przebrany, ukazał się w sieni, gdy arlekin porwał go za rękę i wciągnął do bocznej alkowy. Wszedłem za nimi. Kiedy przywódzca kuligu zdjął maskę, poznałem dopiero w arlekinie, Piotra, akademika warszawskiego, którego zwano zwykle skoczkiem, dla zgrabności w tańcu i lekkości. Był to także krewniak daleki starościny.

(Dokończenie nastąpi).

Apostolstwo matek chrześcijańskich.

Zastanówmy się i rozważmy, czem jest matka w społeczeństwie i czego nasze społeczeństwo od każdej matki wymagać może.

Każde społeczeństwo składa się z pojedynczych rodzin, które są jakby ogniwami jednego wielkiego łańcucha, jakby cegiełkami, z których zbudowany wielki gmach społeczny. Co więcej, rodzina jest najgłówniejszym fundamentem budowli społecznej, a wiadomo, że gmach jest wtedy tylko dobry i trwały, gdy fundamenty jego są trwałe i mocne; w przeciwnym bowiem razie, to jest, gdy fundamenty są słabe i kruche, gmach cały musi runąć w gruzy. Tak samo i w społeczeństwie.

Gdy społeczeństwo swój byt oparło na fundamentach trwałych, jakimi są rodziny dobre, długo istnieć będzie i śmiało będzie stawiać czoło wszelkim burzom i nawałnicom dziejowym, lecz skoro rodziny będą złe, społeczeństwo, na nich oparte, długo istnieć nie może i zginąć musi.

Musimy więc dążyć do tego, aby wszystkie nasze rodziny były dobre, a dobre zaś będą tylko wtedy, gdy duchem chrześcijańskim będą przesiąknięte, gdy znikną w rodzinach niezgody, kłótnie i swary wzajemne, gdy pijaństwo, obłuda i nieuczciwość zginą na zawsze, gdy w tych rodzinach będą wychowywali dzieci nie na nożowców lub pijaków, lecz na prawdziwych chrześcijan i dzielnych, a pracowitych obywateli i obywatelki kraju.

Do tego dążyć musimy, lecz któż tego dzieła najlepiej dokonać może?

Któż, jak nie matka.

Matka bowiem swoją miłością ogrzewa serca wszystkich członków rodziny, swoją cierpliwością i taktem rozbraja gniew męża, pracą zachęca i pobudza innych do pracy. W rękach matki znajduje się dziecko, które przecież jest przyszłością i nadzieją społeczeństwa Jakie wychowanie damy dzieciom, takich będziemy mieli członków społeczeństwa, a od kogóż, jak nie od matek zależy, aby to wychowanie było dobre?

Widzimy więc, że matka jest jakby kapłanką domowego ogniska i Aniołem, stojącym na straży czystości i świętości rodziny, a więc i społeczeństwa.

Zajmując tak wysokie stanowisko w rodzinie, bardzo dużo dokonać może.

Może odrodzić całe społeczeństwa, czyli, jak to słusznie powiedział Papież Pius IX. »nawrócić cały świat«.

W tem to nawróceniu świata na drogę prawdy, ku Chrystusowi, jest wielkie apostolstwo matek chrześcijańskich.

Lecz pyta się może która z matek, jak tego dokonać można?

Odpowiedź bardzo prosta. Wychowujcie swe dzieci po chrześcijańsku, to jest w miłości ku Bogu i ludziom, unikajcie w domu swarów i niesnasek nadewszystko, bądźcie same dobrym przykładem i zachętą do dobrego, a możecie być pewne, że dokonacie wielkiego dzieła odrodzenia społeczeństw.

Matki chrześcijańskie, matki polskie, pamiętajcie o swem wzniosłem apostolstwie!

Bajeczna warta.

(Obrazek z czasów najazdu Napoleona na Hiszpanię).

— Niema więcej drzewa w obozie, ogień dogasa — zrobił uwagę jeden z oficerów.

— Nie wygaśnie! — zaprzeczył stojący obok kapral i wskazał na dwóch ludzi, którzy zbliżali się z dużym wózkiem, napełnionym pakami.

— Oto nasza wiązka chrustu! — rzeł pierwszy.

Rozbijano obcasami paki i naręcza, pełne jakiś tkanin kosztownych, i rzucano w dogasający żar; płomienie buchnęły.

— Cesarski ogień — szepnął Champeaux.

Nadchodzili drudzy, prowadząc objuczone muły, teraz była kolej na mantyle koronkowe czerwone, niebieskie, tak delikatne, jak z pajęczej tkaniny, nie miały one czasu nawet upaść na ziemię. podmuch złocisty ognia porywał je,

unosił, rozbijał w powietrzu, jak deszcz płomienny. Zapał ogarnął tłumy, wszyscy rzucili się do wozów z łupami!

Tam były ich skarby, wszystko co wieźli do Francyi, zabrawszy w Burgos.

Cesarz zdawał się nie widzieć; ręce jego oparły się na kolanach, broda zwisła mu na piersiach.

— Śpi — rzekł ktoś.

I szept obiegł obóz:

Cesarz śpi...

Jeden z kirasierów rzucił pakę — była pełna wachlarzy, odgłos ten poruszył cesarza.

— Obudzisz go — mruknął Champeaux.

I jednym ruchem ręki odsunął kirasiera; zagłębił swe dłonie i rzucił wachlarze w ogień.

Podobnych pak było trzy, wypróżniono je i rzucano ze wszech stron; a te cenne jak motyle padały w płomienie i widziano, jak ogień je obejmował, ukazując ryte na nich napisy »recuardo«.

Drogocenne wachlarze, arcydzieła ciepliwej pracy ludzkiej, tysiącami znikały. Palono majątek.

Cesarz spał ciągle...

Piętnaście tysięcy ludzi go otaczało, w pierwszych szeregach gwardya, dalej, poza obrębem świetlanym niezmierny tłum, kipiący entuzyazmem, z rozpłomienionemi oczami.

— Teraz kolej na obrazy! — zauważył ktoś półgłosem...

I zobaczono grupę artylerzystów.

Pojawiły się płótna ogromne, wyobrażające krwawe sceny, wyobrażające niewinne kobiety, unoszone w obłoki wśród Aniołów.

— Wstrzymać się!

Zbliżył się pułkownik chcąc, przeszkodzić zniszczeniu, lecz na gest, jaki ludzie zrobili — cofnął się, kładąc prawicę na główni szpady i zadawalniając się powiedzeniem do towarzyszącego mu oficera:

— Patrz pan, to Ribiera,..

I w miarę, jak te bezcenne pomniki geniusza padły w ogień, on objaśniał:

— To Murillo, Valasques, Goya...

W oddali szedł głos po obozie:

»Wyszedł z namiotu, chciał spędzić noc ze swoją gwardyą!«

Żołnierze uderzeniami siekier rozbijali zamki swych kufrów i wszystkie bogactwa poszły, by ogrzewać cesarza — i malowidła jedwabne, które płonęły jak złote zasłony i przepaski purpurowe, które można było wziąść w tym płomieniu za węże skrzydlate i zwoje koronek, przez których otworki przemykały płomyki prześliczne taborety o trzech nogach inkrustowane masą perłową i lustra w ramach ozdobnych i mandoliny i stare instrumenty jeszcze maurytańskie i tamburina o srebrnych grzechotkach i kastaniety z drogocennego drzewa, puginały nawet, których szerokie ostrza lśniły w ogniu, jak języki źmij jadowitych!...

Jeden dragon rzucił zdobyte perfumy.

Cesarz spał ciągle...

Paki wypróżniły się wkrótce...

Po jakimś czasie ogień zaczął dogasać; była północ i chłód nocny, wygnany daleko za obóz, powrócił mrożąc głosy.

— Nic więcej nie mam — rzekł któryś.

Napoleon szeptał przez sen tajemnicze słowa...

Żołnierze pierwszych szeregów, wszystko starzy gwardziści, mogli słyszeć jego oddech.

— Patrz jaki on mały — szepnął jakiś głos — na tym fotelu czterech tej miary by się zmieściło.

— A jego ręce, to ręce dziecka.

— A nogi? Możnaby rzec, że to nogi tych Egipcyanek, któreśmy widzieli.

— Sluchaj — mówi coś.

Istotnie cesarz mówił przez sen i wpół zaledwie pochwytne słowa padały z ust jego:

— Angli... Wschód... narody... moja szpada... świat cały, Francya jedna...

— Co on mówi? Co on mówi? — szeptano.

— I płaszczyzna ożywiła się, w tym szepcie tysięcy — cienie podnosiły się, chciano wiedzieć — starano się dosłyszeć.

— Ogień dogasa — zrzędził Champeux, któremu ciągle szło o ten chłód nocny.

W tej chwili, przerzucany z ręki do ręki ponad głowami, wpadł w szeregi gwardyi duży pakiet, kilku starszych rozwiązało go — to był ostatni skarb jeszcze — instrumenty muzyczne.

— Rzuć je, Ripert.

Ripert rzucił, ogień natychmiast ożywił się.

Noc gwiaździsta pokryła dolinę.

I podczas gdy struny mandolin pękały w ogniu, żołnierze gwardyi, siedząc ciągle nieruchomo, otaczali cesarza, bez cienia żalu za straconą w ogniu fortuną. Pokazując sobie ten fotel i małą postać uśpioną, której krzyż złocisty lśnił na mundurze, pokazywali go pełni wzruszenia, widząc go tak słabym; śmiali się, płakali, szeptali jeden z drugim, robiąc sobie znaki, przykładając palce do ust.

A Napoleon spał ciągle.

WYBÓR ZAWODU.

Ileż to razy zdarza się słyszeć skargi na to, że zawód jakiemu ktoś się poświęcił, mu nie odpowiada. Dzieci żalą się na rodziców, że je do tego lub owego zawodu zmusili, rodzice zaś, którzy zbytnio pofolgowali wybujałej nieraz wyobraźni dziecka z bolejącem sercem patrzą na zmarnowane jego życie. Wybór zawodu jest rzeczą trudną. Fakt ten zaprzeczyć się nie da. Ale z drugiej strony o ile ktoś przy czynieniu tego wyboru trzyma się pewnych zasad, ułatwiających mu rozważne zastanowienie się nad sprawą, może mieć — nie powiemy — pewność, ale w każdym razie prawdopodobieństwo, że postępując w myśl tych zasad, wybrał trafnie i słusznie.

Pragniemy choć w ogólnym zarysie nakreślić podstawy, na jakich wybór zawodu powinien być oparty. Przedewszystkiem więc wybór zawodu jest sprawą religii i sumienia i to zarówno rodziców dziecka, jak i młodzieńca lub dziewczyny samych. Zawsze należy mieć na oku to, aby przyszły zawód nie stawał nigdy w sprzeczności z zasadami religijnemi i moralnemi, ale przeciwnie, aby do ich pielęgnowania dopomagał. Nie mamy tu na myśli tylko

poświęcenia się wyłącznie służbie Bożej, ale twierdzimy, że każda praca wykonana z zapałem i uczciwie samą swą treścią, staje się moralną i do moralności i religijności nakłania.

Dalej należy mieć na uwadze skłonności i chęci dziecka, choć pod tym względem potrzeba wiele ostrożności i rozwagi. Dzieci umysł mają bardzo giętki i podległy różnym wpływom. Są także okresy w życiu, gdzie natura sama jest, do przyjmowania wpływów zwłaszcza złych, bardzo podatną. Również okazują dzieci nieraz pewne wrodzone skłonności lub zdolności. Te wszystkie momenty należy dobrze zbadać, można nawet poddać dziecko pewnej próbie w tym lub innym kierunku, a dopiero potem wedle wyników tych badań o jego losach stanowić.

O ile chodzi o ludzi już dorastających, którzy sami zawód sobie obierają, to prócz powyższych uwag dodać trzeba jeszcze i to, że ci muszą sami umieć krytycznie patrzeć na siebie samych. Znając swe zdolności, a nadewszystko swe ułomności moralne, powinni wybierać taki zawód, gdzie ułomności te najmniej pola by miały do popisu.

Rodzice już przy wychowaniu dzieci powinni się starać o to, aby je wychować odpowiednio do zawodu, jakiemu pragną je poświęcić. Nie należy bowiem odkładać postanowienia o przyszłym zawodzie dziecka do ostatniej chwili, kiedy chłopak i dziewczyna opuszczają szkołę. Czasem może być wtedy za późno, a dusza dziecka puszczona przez szereg lat samopas, bez pewnego ustalonego kierunku, może się tak zmienić, iż stanie w poprzek zamysłom rodziców. Prowadzi to albo do egoistycznego poświęcenia losów dziecka rodzicielskim ambicyom, albo też czasem doprowadza do rozbicia się rodziny i do wielkich rozterek.

Kwestyą prawie że rozstrzygającą jest sprawa uzdolnienia tak cielesnego jak i duchowego do poszczególnego zawodu.

Przez niedostateczne uwzględnienie stanu zdrowia chłopca lub niebezpieczeństw, grożących jego zdrowiu, jakie praca w wybranym zawodzie za sobą pociąga lub też usposobienia chłopca do pewnych chorób, wystawia się nie-

jedno życie na przedwczesne zmarnowanie. Ileż to młodych ludzi ginie, ślęcząc nad aktami, ilu zaś marnuje się w dusznych fabrykach lub warsztatach.

Także i duchowe zdolności należy mieć na oku przy wyborze zawodu. Wielu rodziców jest ślepych w osądzaniu duchowych zdolności swych dzieci Wielu pragnie widzieć w każdem swem dziecku odrazu dziecko »cudowne«. Marnują oni czas i pieniądze, chcąc wykształcić je w wyższych zawodach lub szkołach, do jakich one nie są zdolne. Rezultatem takiego zaślepienia bywa zwykle zmarnowane życie. Z drugiej zaś strony inni rodzice nie dbają o zdolności swych dzieci, a te marnieją znowu z braku wykształcenia i możności rozwoju.

Zawody, do których wyuczenia potrzeba nauki, uwzględniać trzeba przed zawodami, których uczyć się nie trzeba. Nieraz rodzicom chodzi tylko o to, aby dzieci jak najprędzej zarabiały same. Oddają więc dzieci do pracy, często nie dając im żadnego albo bardzo małe wykształcenie. Takie dzieci stają się w przyszłości owym najbiedniejszym proletaryatem, zawsze źle wynagrodzonym i ubogim.

Wreszcie należy wybierać zawód, który ma dobre widoki na przyszłość, a nie taki, który może jest ładny, ale przepełniony. Jeśli ktoś liczy na to, że dzięki swym osobistym zdolnościom potrafi się wybić i zdobyć stanowisko nawet w zawodzie bardzo przepełnionym, to musi przedtem dokładnie zbadać swe zdolności i być bardzo pewnym swego.

Tyle o wyborze zawodu. Specyalnie o Galicyi dodamy słów kilka. U nas panuje wprost mania prześladowcza pod tym względem, że rodzice nie umieją cenić innej przyszłości dziecka, jak tylko urzędniczą. Wszystko jedno, czem chłopak będzie, byle miał pióro gęsie w ręce i tytuł choćby pachołka, to już do szczęścia niejednym rodzicom wystarczy. Dlatego brak nam dobrych kupców, przemysłowców, rzemieślników i t. d., ale mamy całe pułki urzędników, którzy z głodu mrą na swych »zaszczytnych« stanowiskach.

Wpływ kawy na organizm.

Ażeby ocenić znaczenie pożywne kawy, musimy zwrócić uwagę przedewszystkiem na jej skład chemiczny. Najważniejszym składnikiem kawy jest kofeina i od zawartości jej zależy działanie kawy. Surowa kawa zawiera 1·8 procent — 2·5 procent kofeiny, palona zaś mniej. Kofeina rozpuszcza się łatwo przy gotowaniu i od sposobu przyrządzenia kawy, zależna jest jej ilość.

Lepsze gatunki zawierają mniej kofeiny, aniżeli gorzze. Kofeina jest głównym środkiem działającym w kawie, a działa ona na ustrój w sposób następujący: wzmacnia csynność serca, sprzyja tworzeniu krwi, powiększa jej ciśnienie i częstość uderzeń serca, podrażnia pęcherz moczowy.

Kofeina zmniejsza wszelkiego rodzaju wzruszenia i zmęczenia fizyczne, ułatwia myślenie, odpędza senność, podnieca i dodaje jak gdyby nowego zasobu sił.

Prócz kofeiny zawiera kawa: substancye klejowate, białko, grosznik, substancye aromatyczne i garbnik. Substancye klejowate, białko i grosznik — są to pierwszorzędne materye pożywne — od garbnika zaś i substancyi aromatycznych, zależny jest smak kawy.

Działanie kawy zależne jest w znacznej mierze od tego, czy przyrządzany zostaje odwar, czy nastój. Nastój ma większe niż odwar działanie pobudzające, co zależy jednak więcej od olejków eterycznych niż od kofeiny. Działanie to zmniejszonem zostaje przez dodanie cukru, śmietanki lub mleka. Objawami pobudzenia są: zwolnienie krążenia krwi, bicie serca, drażliwość nerwowa, bezsenność. Nader ważną własność nastoju przedstawia wzmacniający jego wpływ na trawienie; właściwym więc on jest do użycia po obiedzie i dla chorych na żołądek odpowiedniejszym, niż odwar.

Czysty odwar pozbawiony jest w części aromatu, zawiera natomiast znaczną ilość garbnika, mniej więcej pobudza, i dla żołądka jest szkodliwym, albowiem składnik pomieniony, ścinając białko i przeszkadzając rozpuszczeniu się jego, utrudnia trawienie. Najgorszym jest odwar kawy z mlekiem. Z tego więc względu przy chorobach żołądka nie należy używać kawy z mlekiem lub śmietanką.

Natomiast odwar z kawy znanym jest już oddawna, jako środek przeciwko kurczom żołądka. Filiżanka czarnej kawy, z domieszką kilku kropel soku cytrynowego, usuwa niekiedy prawie w jednej chwili ból głowy, z zaburzeń żołądkowych pochodzący.

Kawa żołędziowa uważana jest jako środek przeciwko zołzom (skrofułom) i krzywicy (rachitis).

W ogóle kawa będąc trucizną nerwową, jest dla organizmu bezwarunkowo szkodliwą, a przytem stałe i nadmiernie spożywanie kawy może doprowadzić z czasem cały organizm do zupełnego wyniszczenia — powodując tak zwane chroniczne zatrucie — coffeinizm.

Kawa jest mniej szkodliwą od alkoholu, lecz szkodliwsza od herbaty.

TO I OWO.

Gdzie główna przyczyna idyotyzmu?

Obywatele Nowego Jorku znajdują się obecnie we wielkim niepokoju. Komisya, składająca się ze słynnych lekarzy, z wielką dokładnością bowiem obliczyła, że na 279 obywateli państwa Nowo-Jorskiego (w całości 9,117.279) przypada jeden idyota (głupkowaty). Dla tego postanowiono skutecznie do walki z tym objawem smutnym wystąpić. Wielu lekarzy, a między nimi słynny lekarz, który obecnie 14 000 pacyentów — idyotów leczy, Dr. Gregory, pisze co następuje: »My lekarze możemy pojedynczo i połączeni niektóre środki zaradcze przeciw owemu złemu objawowi zarządzić i gdy się choroba ukaże, możemy w naszych klinikach ją leczyć Lecz najważniejszą pomoc zapobiegawczą może udzielić jedynie samo państwo przez zmniejszenie wyszynków trunków alkoholicznych: Alkoholizm bowiem jest jedną z głównych przyczyn waryacyi. Z alkoholików rekrutują się waryaci, epileptycy, idyoci i umysłowo słabi.

O tem się wie — a jednak znajduje się w Nowym Jorku prawie na każdym rogu ulicy wyszynk »alkoholu«.

Na ogólną liczbę 8.135 szynków, tylko 4 prc. wyszynków, nie sprzedawały trunków alkoholowych. W r. 1908 powiększyła się liczba bezalkoholowych wyszynków o 581, podczas gdy w roku 1907 wzrosła o 484. Najwięcej takowych jest po miastach. Stosunek ich do liczby mieszkańców jest następujący: W roku 1907 — 1 szynk na 4.832 mieszkańców. W roku 1908 — 1. szynk na 4.674 mieszkańców. Jak widzimy i pod tym względem coraz lepiej: lecz jeszcze dużo na polu »reformy szynków» pozostaje do pracy.

Główny motor człowieka.

Wiadomo, że serce ludzkie uderza żywiej za najmniejszem wzruszeniem. Ale nie każdy wie, jaką siłę przedstawia każde z tych uderzeń. Traktując rzecz praktycznie, należy uważać serce za małą pompę o 15 cm. długości, 10 cm. szerokości, która funkcyonuje 70 razy na minutę, 4.200 razy na godzinę, 100 tysięcy na dzień, 36,792.000 razy na rok, a 2 miliardy, 575 milionów i 400 tysięcy razy w ciągu 70 lat.

Za każdem uderzeniem serca wchodzi w obrót 100 gramów krwi, 7 litrów na minutę, 420 litrów na godzinę, a 10 tonnel (tonnela = 1000 klgr.) na dzień. Wszystka krew, której jest w ciele ludzkiem 25 litrów, przepływa przez serce co 2 do 3 minuty. A zatem ten mały motor posiada siłę, zdolną w ciągu jednego dnia dźwignąć 46 tysięcy klgr. na wysokość 1 metra.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rocznik IV. Kraków 1-go lutego 1912. (Półrocze I-sze) Nr. 2.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok** **4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok **5** koron — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Gdzie źródło socyalizmu?

Rozpowszechniło się przekonanie, nawet wśród katolików, że źródłem socyalizmu są stosunki społeczne, tak zwana kwestya chleba. Nie da się zaprzeczyć, że kwestya chleba często wywiera na ludzi wpływ przy wyborze stronnictwa politycznego, do którego chcą należeć; jednakowoż zawsze ostatnim powodem należenia do stronnictw wyznaniowych, czy bezwyznaniowych jest religijność, czy względnie brak religijności.

Proletaryusz wierzący będzie zawsze wrogiem materyalistycznej socyal-demokracyi, podczas gdy bezwyznaniowy robotnik przy tych samych warunkach życiowych, a nawet lepszych, będzie się skłaniał do socyal-demokracyi. O tem przekonują nas wyraźne stosunki wśród robotników niemieckich i polskich pod zaborem pruskim. W zachodniej części Niemiec, gdzie wiara katolicka jest silna i gdzie robotnicy są wierzący, socyalizm ma niewielu zwolenników Tymczasem w Niemczech północnych i środkowych, gdzie ludność jest protestancka, a dzisiaj bezwyznaniowa, socyalizm szerzy się dla państwa pruskiego w sposób zastraszający.

Również i wśród Polaków w Poznańskiem niema prawie całkiem socyalistów, bo tam

wiara jest silna, tem silniejsza, że narażona jest na prześladowanie.

Ci ludzie, którzy rozszerzenie się socyalizmu przypisują stosunkom społecznym i uciskowi politycznemu, powołują się na wolną Szwajcaryę i Stany Zjednoczone, gdzie i stosunki gospodarskie są lepsze i wolność polityczna wielka. Tam więc socyalizm — mówią — nie może się rozwijać. Lecz tym odpowiadamy, że do najnowszych czasów robotnicy w Szwajcaryi i w Ameryce byli religijni czy to w duchu katolickim czy protestanckim. Im więcej jednak szerzy się w Szwajcaryi i Stanach Zjednoczonych bezwyznaniowość przez przypływ robotników bezwyznaniowych ze środkowej czy wschodniej Europy, tem bardziej rozszerza się i w tych krajach socyalizm.

Dlatego też patrzą Amerykanie, którzy chcą pozostać przy swoich dawnych wolnościach, z trwogą na szerzący się socyalizm. „Przegląd Pittsburski" pisze też o rozwoju socyal-demokracyi co następuje: „Jeżeli jeszcze dzisiaj są ludzie, którzy uważają socyalizm za zagraniczny, przyniesiony chwast, który nie może się udać na ziemi amerykańskiej i którzy zaprzeczają istnienia kwestyi społecznej, to sądzą błędnie. Wobec ruchliwego charakteru wielkich mas ludu amerykańskiego i wobec braku dawnych przekonań religijnych, które są podstawą wszelkiej moralności, może dla naszego kraju powstać ze strony socyalizmu wielkie niebezpieczeństwo".

Te wywody świadczą, że Amerykanie przypisują usposobieniu religijnemu wielki wpływ na ukształtowanie się stosunków politycznych. Rzecz to pewna, że kwestya chleba ma też wpływ na wytworzenie się stosunków politycznych, ale rozstrzygającą nie jest. Rozstrzygającą kwestyą jest tu raczej przekonanie religijne, które tak przenika stosunki społeczne i polityczne, jak dusza przenika ciało. — Jeżeli dusza jest chora, niszczeje ciało, jeżeli dusza uleci, rozpada się i ciało.

Rodzina a społeczeństwo!

Słowo warszawskie podało niedawno temu cały szereg artykułów, w których znaleść można było dużo słusznych uwag i pożądanych wskazówek dla rodzin chrześcijańskich.

W jednym z nich przedstawiony był stosunek rodziny do społeczeństwa. „Rodzina musi“ — tak pisało *Słowo* — „brać czynny udział w ogólnej pracy dla dobra kraju, przez zjednoczenie się albo z jakąś instytucyą obyczajową, przez troskę o wzrost oświaty. To wprowadzi do rodziny pierwiastek szlachetny, który wszystkich podniesie, udoskonali, stosunki uzdrowi. Próżniactwo i samolubstwo są zawsze i wszędzie wrogami pomyślności. Próżniactwo ojca i matki musi rodzinę rozstroić i zgubić“.

Autor proponuje środek, mogący mieć przy szerokiem zastosowaniu zbawcze następstwa.

„Niech każda rodzina zamożna wyszuka rodzinę ubogą i zajmie się jej losem: nauką dzieci, zdrowotnością mieszkania i pożywieniem, ubraniem, obyczajami, zarobkami — wszystkiem. Wywrze to na rodzinę zamożną wpływ dobroczynny, i na ubogą. Dzieci poznają nędzę — więc prawdę życia. Nabiorą poważnych myśli. Uszlachetnią się i udoskonalą przez współczucie dla niedoli i bliźnich. Nauczą się spełniać obowiązki Obudzą dobre uczucia w sobie i innych. Rodzina, która potrafi taką pracę podjąć i spełnić — dokona wiele, spełni swój obowiązek i zadanie: da społeczeństwu dzielnych, godnych obywateli.

„Ale — łudzić się nie należy — łatwo to nie jest. Zazwyczaj przechodzić trzeba przez wiele zawodów. To, co z początku wyglądało na białe, okazuje się czarnem. Zdarza się, iż pomoc zamiast podnosić przyczynia się w jakiś sposób do pogorszenia Za dobre chęci zyskuje się szyderswo.

„Naturalnie! Na świecie dużo jest złego! Ale i dobre istnieje. Zadanie pracy społecznej często na tem po-

lega, aby dobro to znaleźć i poprzeć. Szukać więc należy dopóty, dopóki się nie trafi należycie.

„Istnieje jeszcze środeczek — drobny, łatwy, a nieraz bardzo skuteczny do wytworzenia w rodzinie ducha, sprzyjającego wychowaniu, więc pomyślności. W każdej cokolwiek zamożniejszej rodzinie znajdować się powinna na miejscu widocznem puszka do gromadzenia pieniędzy na cel lub cele dobra ogólnego.

„To wprowadzi do domu poczucie obowiązków społecznych. Przypominać będzie o powinności ofiary. Dzieci i starsi zrzekają się przyjemności osobistych na rzecz potrzeb innych, Stąd wpływ dobry na pojęcia, na uczucia i charakter członków rodziny.

„Puszka taka staje się widocznym znakiem łączności rodziny ze społeczeństwem. A bez pamięci bezustannej o przynależności do Ojczyzny i do Ludzkości — nie ma wychowania“.

Środki proponowane przez autora łatwo są do urzeczywistnienia. Wartoby ich w każdym razie spróbować.

Prawosławie w Galicyi.

Po głośnym procesie Olgi Hrabar i towarzyszy w r. 1882, propaganda prawosławia w Galicyi nieco przycichła; zupełnie jednak nie ustała i od czasu do czasu dawała znać o sobie, czy to pojedynczymi wypadkami przejścia na prawosławie tego lub owego chłopa ruskiego, czy to tłumnemi wycieczkami do Poczajowa, urządzanemi przez galicyjskich moskalofilów.

Najwięcej jednak pracowała i pracuje ciągle nad szerzeniem prawosławia w Galicyi prasa moskalofilska, która ustawicznie stara się przekonywać Rusinów, iż stanowią jedność z narodem rosyjskim, i usiłuje zatrzeć odrębność języka ruskiego, nazywając go pogardliwie gwarą, natomiast wprowadzić do literatury i codziennego użycia język rosyjski. Głównymi organami tej prasy są *Prikarpackoj Ruś* i *Gołos Naroda.*

Na skutki tej roboty nie trzeba było długo czekać; oto w ostatnich czasach jawnie już wystąpiła religijna propaganda prawosławna we wsi Cielążu w powiecie sokalskim, w Załuczu, w powiecie śniatyńskim i w Grabiu, w powiecie jasielskim.

Wielu włościan z owych wsi wniosło formalne deklaracye do władz i jak najwyraźniej oświadczają, że przystępują do prawosławia.

Obok wspomnianych wyżej czasopism moskalofilskich, wielki udział w tej propagandzie mają Czytelnie ruskie imienia Kaczkowskiego i bursy moskalofilskie, gdzie się wychowują przyszli działacze i agitatorzy prawosławia.

W ostatnich czasach chwycili się galicyjscy moskalofile jeszcze jednego środka. Oto wysyłają młodzież ruską z Galicyi do zakładów duchownych w Rosyi, rzekomo dla wyższego wykształcenia, a właściwie dla wychowania ich tam na prawosławnych popów.

Z wychowanków tych powróciło już trzech do Galicyi i rozpoczęło zaraz po wsiach jawną propagandę prawosławia w tych zwłaszcza wsiach, gdzie włościanie ruscy mają jakiekolwiek zatargi z proboszczami grecko-katolickimi.

Najłatwiejsze pole do działania znalazł pop Ignacy Hudyma w Załuczu, gdzie już przed kilkoma laty znaczna część parafian ruskich przeszła do cerkwi prawosławnej, a później do cerkwi grecko-oryentalnej. Drugi taki misyonarz Iwan Heczko pracuje w Sokalskiem, a trzeci Maksym Sandowicz w Jasielskiem

Ponieważ w owych gminach niema cerkwi prawosławnych i budować ich nie wolno, gdyż w Austryi prawosławie rosyjskie nie należy do wyznań mających prawo obywatelstwa, przeto wspomniani misyonarze odprawiają nabożeństwa w chatach obałamuconych włościan, a gdy te kaplice władze zamykają, nakłaniają włościan, by wnosili do starostw deklaracye, iż porzucają cerkiew grecko-katolicką, a przystępują do nowo utworzonych parafij prawosławnych, podlegających bezpośrednio wschodnio-prawosławnemu patryarsze w Konstantynopolu.

Już tedy maska zdjęta; całkiem jasno przeedstawione są tu usiłowania, aby pod płaszczykiem wolności religii

sumienia przemycić do naszego kraju prawosławie, które katolicyzmowi i państwu może przynieść nieobliczalne w przyszłości szkody.

Słychać, że w kwietniu bież. roku ma przybyć do Galicyi nowy zastęp misyonarzy prawosławnych, mających się wyświęcić w Rosyi. Dochodzą wiadomości, że w seminarym duchownem w Żytomierzu studyują teologię: Deniowski z Żegiestowa, Cymbara i Senieczko z powiatu tarnopolskiego, Borecki z Popowic, Nyczaj z Czech, Dudyś z Boratyna, Kuszpeta z Brodów, Olchowy z Wysocka.

Całe społeczeństwo naszego kraju powinno energicznie wystąpić przeciw tej kreciej robocie, która ma na celu przygotowanie dla Rosyi gruntu w Galicyi.

Rozwydrzona młodzież.

Krakowski *Tygodnik mieszczański* pisze: Wcześniej dziś żyć zaczyna młode pokolenie. Byłby to objaw bardzo pożądany, gdyby polegał na wczesnem rozwinięciu umysłowem młodzieży. Niestety rzecz się przedstawia odmienniej nieco. Uczniowie gimnazyalni, zamiast się uczyć i pracować nad sobą, bawią się weselej, aniżeli starsi wiekiem i dojrzali ludzie. Jeżeli się wejdzie do którejś z drugorzędnych restauracyi w mieście, wszędzie młodociani, a nawet niejednokrotnie mundurki gimnazyalne. Bilardy w takich restauracyach są w oblężeniu, alkohol pod różnemi postaciami ma wielkie powodzenie, a krzyk i hałas panuje wprost nie do zniesienia. Buńczuczne miny niedorostków świadczą, że niebezpiecznie byłoby wejść im w drogę.

Smutek bierze, patrząc na marnowanie się takiej młodzieży, która widocznie niedostateczną posiada opiekę domową i szkolną. *Zepsucie ogarnia coraz to liczniejsze rzesze młodzieży i gimnazyalistów*, jedni drugich ciągną do hulanki. Winę w tym wypadku ponoszą pp. restauratorzy, którzy pozwalają na hulanki uczniów w swoich lokalach i rozpajają ich, byle tylko coś

zarobić. Prawda, że magistrat krakowski wydał rozporządzenie, za braniające gry w bilard i zabaw w restauracyach młodzieży szkolnéj, lecz i tych rozporządzeń wcale nie dopilnowuje. Rodzice powinni lepiej czuwać nad synami swoimi, jeżeli pragną doczekać się z nich pociechy i wychować ich na pożytecznych członków społeczeństwa. Pytanie, skąd młodzież bierze pieniądze na tego rodzaju ekscesy? Tu winni są antykwarze, kupujący za bezcen książki szkolne od uczniów

Prócz zabawy po szynkowniach uprawia nasza młodzież jeszcze inny rodzaj rozrywki, bawi się mianowicie w ulicznych kawalerów. Przed szkołami żeńskiemi kręcą się w mundurkach gimnazyalnych dzieciaki. Panicze ci nie dają frmalnie przejść spokojnie ulicą dziewczętom, zaczepiają je nieraz w sposób wprost nieprzywoity, wciskają do książek liściki miłosne, wogóle uprawiają flirt zamiast się uczyć i pracować. Wszakże łatwo byłoby tym faktom zapobiedz, trzeba trochę dbrej woli także ze strony opieki domowej jakoteż i szkolnej.

Spór o żydów amerykańskich.

Izba reprezentantów w Waszyngtonie uchwaliła jednogłośnie wniosek o zerwanie traktatu z Rosyą, zawartego w roku 1832 i będącego do dzisiaj podstawą stosunków handlowych między obu państwami. Przyczyną zatargu są żydzi amerykańscy.

Rząd rosyjski nie chce przyjmować żydów w granice swego państwa, żydów przybywających z paszportami amerykańskiemi i stosuje do nich te same ograniczenia, które stosuje do swoich poddanych żydowskich.

Z postępowaniem tem godził się przez lat wiele rząd Stanów Zjedoczonych tem łatwiej, że sprawa nie miała praktycznego znaczenia. Żydów w Stanach Zjednoczonych było niewielu, a z nich chyba wyjątkowo przyjeżdżał który do Rosyi. Ale w ostatnich dziesięcioleciach liczba żydów w Stanach niesłychanie wzrosła. Wraz z liczbą i bogactwem wzrósł wpływ ich na opinię i na politykę amerykańskiej Rzeczypospolitej.

Zaczęła się tedy agitacya przeciw Rosyi, starano się wykazać, że Rosya czyni różnicę między obywatelami amerykańskimi, na co rząd Stanów Zjednoczonych zgodzić się nie może. Jeżeli Rosya swych ograniczeń nie cofnie, Stany powinny wypowiedzieć jej traktat.

Rząd rosyjski za pośrednictwem swych dzienników odpierał żądania powyższe twierdząc, że każde państwo ma prawo urządzać swe sprawy wewnętrzne według własnego uznania. Nie może przecież Rosya przyznawać żydom amerykańskim tych praw, których odmawia żydom własnym. Stany Zjednoczone też przecież rozróżniają własnych poddanych: tak n. p. obcy przybysz nie może przybyć na ląd amerykański bez oznaczonej sumy dolarów.

Tłumaczenia rządu rosyjskiego nie zmieniły zapatrywań rządu amerykańskiego. Traktat będzie zerwany, bo senat jednomyślnie się na to zgodził.

Jakich należy się po tych spodziewać skutków? Dzienniki rosyjskie słusznie podnoszą, że Stany Zjednoczone więcej przywożą towarów do Rosyi, niż otrzymują od niej, one tedy na zerwaniu przedewszystkiem poniosą straty. Chodzi wszakże o rzecz inną, Stany Zjednoczone chcą ograniczyć jeszcze bardziej przychodźtwo zamorskie, a zerwanie traktatu pozwoli im obciążyć nowemi ograniczeniami przybyszów z państwa rosyjskiego. W liczbie tych przybyszów pokaźną liczbę zajmują żydzi. Stany Zjednoczone, zrywając traktat, niby ujmują się za żydami, jednocześnie zaś wprowadzą zapewne nowe utrudnienia dla żydów, o ile ci zechcą wyemigrować do Stanów Zjednoczonych.

Rządowa prasa rosyska utrzymuje, iż to właśnie jest ukrytym celem zerwania. Jej zdaniem, nietylko rodowici Amerykanie, ale i żydzi amerykańscy wcale sobie nie życzą dalszego napływu żywiołu żydowskiego z państwa rosyjskiego.

Wogóle widoczne jest jedno: oto coraz większy w Stanach Zjenoczonych prąd przeciwko przychodźtwu, skorzysta ze sposobności, aby się uwolnić od wszelkich zobowiązań względem Rosyi, dostarczającej Ameryce najwięcej przybyszów żydów.

Ostatni kulig staropolski.

(Ciąg dalszy).

— Ach, mój Jacusiu — mówił oddychając całą piersią, ledwo żyję. Czy wiesz, że mało mnie te bestye nie zażarły na drodze. Ocalenie moje winienem jedynie rączości dzielnego jednochodnika i przytomności małego Januszka, co nim kierował. Kiedy wspomnę sobie tę chwilę, to mróz czuję w kościach.

— Widziałem ich gromady — odrzekł Jacenty, i dreszcz mnie przeszedł, lubo ufałem w pochodnie i kagańce.

— Uważał pan Adam, żeś pan pobladł nieco, dodałem, gdy kazałeś w opłotkach gasić pochodnie.

— A zkądże wiesz o tem? — zapytał chmurno nadleśny.

Siedziałem w saniach państwa Adamostwa, obok woźnicy, i słyszałem całą ich rozmowę.

— Było czego też zblednąć, mój chłopcze, — mówił pan Jacenty marszcząc brwi ponuro.

Jak żyję i jestem myśliwym, takiej ćmy djabelskiej wilków zebranej razem nie widziałem nigdy; ślepia ich błyszczały w gęstej puszczy, jakby gwiazdy rzucone z czarną chmurą na ziemię.

— Ach mój Jacusiu, — mówił skoczek, już u mnie była dusza na ramieniu. Wyobraź sobie: na gościńcu mały Januszek kręcił głową, bo poczuł gęsty trop wilków, ale zaledwie zjechaliśmy na drogę do Mieszkowa, stanął w sankach i rzekł do mnie z cicha: »Trzymajmy się krzepko w saniach, bo jeżeli nie uratuje nas białonóżka, to zjedzą nas bestye«. Myślałem, że chłopak żartuje, ale spojrzawszy w około zadrżałem: kotłowało się tylko w zaspach śniegu od rozrzuconych gromad wilków, co zbierały się w jedną chmarę. Januszek nacisnął czapę, świsnął i potrząsnął lejcami, a białonóżka, jak wiatr pomknął. Droga jak po stole, to też lotem sokoła przelecieliśmy pod opłotki wiejskie, zanim nam wilcy mogli zastąpić. Kiedy wpadliśmy do wsi, byliśmy obaj spoceni do nitki, nie mówiąc już o dzielnym białonóżce. Januszek wstrzymał konia, przeżegnał się, a od-

wracając głowę: »Patrz pan, zawołał, i przelicz gromadę tych bestyj!« Zajechaliśmy do karczmy: parę kieliszków anyżówki dopiero przywróciło mi zmysły. Zmrok już zapadał; co prędzej wjechaliśmy na podwórze, nie uważając, że dwór cały jaśnieje od rzęsistego światła. Zwyczajem dawnym zrzucam niedźwiedzie, wpadam na salę, zaczynam skakać po krzesłach i stołach, krzycząc: »Kulig! kulig jedzie!« Za odpowiedź, jak utnie kapela krakowiaka, tak ja w nogi i na sanie, zmiarkowawszy, że skarbnikostwo już wiedzieli o naszem najeździe; ale nie wracałem już do was, tylko napowrót do karczmy. Dopiero z Januszkiem zaczęliśmy o was myśleć. Chłopak dodawał mi nadziei, że tak licznego kuligu nie zaczepią wilcy, że tam będzie pewnie pan Jacenty...

W tę chwilę kapela zabrzmiała poloneza Kościuszki, wszyscy ruszyliśmy do sali.

* * *

Na czele długiego szeregu par stał pan skarbnik, wiodąc za rękę starościnę; w drugiej parze postępował starosta ze skarbnikową. Dwaj ci sędziwi starcy z poważnemi matronami, wiodąc rej w tym polskim tańcu, stanowili główną jego ozdobę. Przybrani w granatowe kontusze, w perłowe żupany i bogate srebrem i złotem przerabiane pasy, postępowali wolnym krokiem w takt do tańca, a za nimi w ich tropy rozwijał się długi korowód par statecznych i młodzieży.

Aby poznać całą powagę i piękność tego tańca, którego tradycyą coraz bardziej zatracamy, trzeba było widzieć naszych starych kontuszowców, z jaką gracyą wiedli swoje damy; z jakiem uszanowaniem pochylali siwe głowy przed niemi, gdy zataczali kołem w inną stronę; z jaką energią i życiem przytupywali w taktowym, posuwistym chodzie; z jakim wdziękiem i z jaką składnością to ujmowali się pod bok ręką, to pokręcali sumiastego wąsa: z jaką wreszcie atencyą i rewerencyą tanecznice swoje odprowadzali na miejsce i dziękowali ucałowaniem ich rączek, że raczyły towarzyszyć im tańcu.

Na dany znak umilkł polonez. Starosta ze skarbnikiem i z podżyłymi przyjaciółmi i krewniakami, przeszli do

bocznego pokoju, gdzie na tacy zastawiono kieliszki i butelki opleśniałe z węgrzynem; starsze wiekiem matrony pozostały w sali, patrząc na wesołą młodzież, jak się zabierała do ochoczych tańców.

Kulig miał dawniej do siebie przywiązane pewne tylko tańce: do nich należał polonez, mazur, oberek, krakowiak i drabant. Znane i upowszechnione u nas wówczas, jak: walc, kotylion, anglez i kontredans, wywołane były ze staropolskiego kuligu.

W gronie gości skarbników, których zastaliśmy w ich domu, zwróciła uwagę moję postać poważnej matrony, lat może czterdziestu, ale czerstwej jeszcze i dorodnej. Przy niej nieodstępną towarzyszką była młode dziewczę, lat 16, z anielskiem spojrzeniem i uśmiechem. Uważałem, że pan Jacenty ciągle towarzyszył tej parze: bawił rozmową poważną damę, a z wielkiem wzruszeniem spoglądał na piękną panienkę.

Korzystając z chwili, gdy wyszedł do bocznego pokoju:

— Kto to jest panie Jacenty, ta dama i ta śliczna panna?

— Starsza, panna-wdowa, a ten śliczny, jak dobrze mówisz, aniołek, to panna Hanna, córka kapitana, co w sąsiedztwie mieszka. Ale chodźmy na ganek, noc pogodna i jasna; ochłodzę się nieco po tańcu.

Rzeczywiście noc była przecudna; blask księżyca jeszcze jaśniej odbijał od białego śniegu; puszcza ciemna nabrała jakiegoś jaskrawego połysku: to szron zawieszony na gałęziach sosen, promienie księżyca brylantowemi odbijał ognikami.

— Patrz tam, — rzekł Jacenty, na prawo, już w czystem polu, na tem wzgórzu ocienionem wieńcem gęstym starodrzewu: to dwór w Dąbowej-Wólce kapitana, ojca tej panienki, a na uboczu drewniany kościołek ubogiej parafii.

— Czy kapitana tu niema w naszym gronie?

— Nie, żona nieco słaba, wysłali córkę z krewną swoją, panną Brygidą.

— Dlaczegożeś, mój Jacusiu, nazwał ją panną-wdową?

W tę chwilę kapela zabrzmiała dziarskiego mazura. Zerwał się pan Jacenty:

— Zamówiłem kapitanównę, po tańcu wszystko ci opowiem.

Wróciliśmy na salę.

Trzeba było widzieć, jak on tańczył mazura z piękną Hanną. Słynął też nie darmo na całą okolicę. Trudno dziś zobaczyć równie energiczny, dziarski i rycerski taniec, jakim bywał mazur w owe czasy. Teraz młodzieniec z hardą i zuchowatą miną, dzielnie się zwija, ale mniej dba o swoję tancerkę, sam sobą zajęty; dawniej tancerz, rozwijając całą dzielność męską, na chwilę nie spuścił z oka swej towarzyszki. Kiedy z miejsca poskoczył, z wydatną piersią, z głową podniesioną, wznosząc lewą rękę w górę, uderzając podkówkami silnie, aż okna zadrżały, to jakby z całym zapałem uderzył w otwartym boju na nieprzyjaciela. Ale po chwili, gdy spojrzał na swą tanecznicę, co drobnemi nóżkami podążała w jego ślady, to już od jej oblicza, od jej postaci nie odwracał oczu. Po pierwszym junackim ruchu, zwraca całą troskliwość na miłą, a piekną towarzyszkę, wiedzie ją z wdziękiem, staje, pochwyca w pół, ona w około niego okręca się, jak bluszcz zielony około dębu silnego, gotowego do łamania się z burzą życia i losów nieprzyjaznych.

Zawiodło dwanaście par wielkie koło i skończył się mazur.

Jacenty usiadł zmęczony w końcu sali przy mnie, a odetchnąwszy swobodnie, tak ciągnął dalej przerwane poprzednio opowiadanie:

— Dziwiłeś się, żem pannę Brygidę, opiekunkę kapitanówny, nazwał wdową. Opowiem ci jej krótkie, a smutne dzieje. Jest to krewniaczka daleka kapitana, była zaręczoną z jego rodzonym bratem starszym, panem Janem. Dzień ślubu już był oznaczony, kiedy go dawni towarzysze broni wezwali do legionów włoskich. Pan Jan, dawny z kościuszkowskich czasów wojak, stanął przed swą narzeczoną smutny i blady, pokazał wezwanie i jedno tylko wyrzekł slowo: »jadę«.

— Jedź, o jedź, mój drogi, przemówiła drżącym głosem młoda wówczas i piękna Brygida; ale chodźmy może raz ostatni wysłuchać razem Mszy świętej.

Właśnie dzwonek z drewnianego kościółka, który ci pokazywałem, wzywał wiernych do modlitwy. Klęcząc przy wielkim ołtarzu, wysłuchali nabożeństwa, a sędziwy proboszcz, uwiadomiony o powodach ich rozłączenia pobłogosławił pochylonym ze łzami u stopni ołtarza.

— Ja ci przysięgam, Janie, że będę czekać twego powrotu, i że innego nie będę żoną.

Wojak podaną rękę ucałował, a ściskając ją, wyrzekł wzruszonym głosem:

— A ja przysięgam, że będę ci wiernym do śmierci.

Dosiadł konia i wkrótce znikł z oczu Brygidy.

Odtąd wiele lat upłynęło, rzadkie o wojaku przynosząc wieści. W boju wszędzie narzeczony panny Brygidy odznaczał się dzielnie, został szefem batalionu, a potem... zginął w górach włoskich, w wyprawie partyzanckiej.

(Dokończenie nastąpi).

Z TRYPOLISU.

W mieście Trypolisie rozwija się nowe życie, a Włosi już zaczynają się aklimatyzować. Rzeczywiście widok Trypolisu i oazy jest bardzo piękny. Na południowo wschodnim krańcu starego miasta wznosi się wielki pałac rządowy, przez Turków zwany serajem, przez innych „kasbachem". Potężne jego mury od północy wyrastają z morza, na południe zaś wychodzą na główną ulicę starego Trypolisu, wiodącą z portu obok seraju do wschodniego krańca miasta, a przez „bramę oaz" (Bab el meszja) w pole. Tutaj styka się stary Trypolis z nowym, Afryka maurytańska z nowoczesną. W tyle wznosi się wysoki mur miejski, na prawo poprzez szachownicę domów nowego miasta widać palmy oazy, na prawo widnieje błękit morza, nad jego brzegiem ciągnie się ogromna targowica.

Przed bramą oaz w niedzielę i święta, gdy przed kasynem wojskowem gra muzyka, przechadza się wielki świat Trypolisu, obok na targowicy panuje ścisk przy kramach z chlebem, dalej zaś przy studni wypoczywają przybysze arabscy z wielbłądami. Idąc z targowicy ulicą „Szar el szot“, dostajemy się na oazę do wielkich „fenaduków“ (magazynów), gdzie robotnicy sortują „halfę“ (trawę), prasując ją w duże sześciany. Do tej dzielnicy magazynów przytyka od wschodu przedmieście Dahra, siedziba Turków, Arabów i Maltańczyków, posiadających kramy i szynki, do których uczęszczają Murzyni z pobliskiej osady. Murzyni w czasie trzech świąt: mahometańskiego piątku, żydowskiej soboty i chrześcijańskiej niedzieli nie pracują i mają dosyć sposobności do wydania pieniędzy, zarobionych w ciągu reszty tygodnia.

Pomiędzy południowym murem starego Trypolisu, a oazą rozciągał się dawniej pas piasku, który jednakże w południowo-wschodniej części został zabudowany, cały zaś rejon przed bramą oaz jest nowem miastem, gdzie jest pałac Walego, pomieszkanie burmistrza, siedziba konsulatów, gdzie wznoszą się szkoły i szpitale, gdzie znajdują się sklepy bogatych kupców, tudzież ich wille.

W stronie południowej przedmieścia zlewają się z oazą, która nie jest pokryta jednostajnym lasem, ale odrębnymi gajami palmowemi, pomiędzy którymi znajdują się ogrody i pola uprawne. Te ogrody są prawdziwym rajem. Tutaj zielenią się nieustannie drzewa i krzewy. Rosną tu drzewa pomarańczowe i cytrynowe, oliwki i granaty, dr ewa figowe, akacye, a nawet jabłonie i grusze. Na grzędach widać prawie wszystkie jarzyny znane w Europie. Mniej zato kwiatów ozdobnych. Ale już wczesną wiosną kwitną narcyzy, a z początkiem maja wspaniałe róże damasceńskie. Oaza tripolitańska jest sucha i gorąca, posiada jednakże o wiele więcej wilgoci, niż oazy w głębi kraju, zwłaszcza w Fessanie.

Trypolis jest krajem afrykańskim wprawdzie, leży jednakże na północy tego lądu i nad morzem. Wiatry od morza ochładzają powietrze. Sierpień, najgorętszy miesiąc w Trypolisie, ma temperaturę 26·4 stopni C., tyle, co ten sam miesiąc w Catanii u stóp Etny, w odległości

500 kilometrów na północ. Przeciętna temperatura stycznia wynosi w Trypolisie 11·7 stopni C. ponad zero. Od maja do września panuje posucha, od listopada do lutego trwa pora deszczów, zwykle ulewnych.

Oaza trypolitańska ma teren pagórkowaty. Na suchych pagórkach rosną drzewa daktylowe, w zagłębieniach leżą ogrody, pilnie nawodniane przez studnie. W ogrodach znajdują się domy, zamieszkane bądź przez właścicieli, bądź przez dozorców. Na długości 20-tu kilometrów od zachodu ku wschodowi ciągną się gaje i ogrody, domy i zabudowania gospodarskie. W pobliżu wielkiego cmentarza są nawet wyszynki wina i piwa.

W kraju «Czarnego Smoka».

Od jednego z Polaków, zamieszkałych w Charbinie, który świeżo odbył dłuższą podróż po Chinach, otrzymał warszawski „Dzień“ ciekawe spostrzeżenia z kraju „Czarneg Smoka“.

Niezwykła zimna krew i obojętność Chińczyków we wszystkich okolicznościach ich życia, zdumiewa wprost Europejczyków, nieprzyzwyczajonych do takiego spokojnego traktowania poważnych objawów życia.

Kiedy całe państwo przeżywa niebywały przewrot, w czasie którego giną całe miasta i setki ludzi, w sąsiednich miejscowościach, często znajdujących się w bardzo nieznacznem oddaleniu, niema żadnych oznak rewolucyi. Wszędzie wre życie, ludzie zajęci codzienną pracą, biegają, duszą się, riksze (maleńkie wózki, popychane przez ludzi) przebiegają ulicę, a policyanci z krótkiemi pałeczkami stoją na środku ulic i z najzimniejszą krwią okładają od czasu do czasu niezgrabnych przejezdnych.

Wszędzie ludzie zajęci handlem, codzienną pracą i nawet nigdzie nie słychać rozmowy, dotyczącej obecnych wypadków.

Tak samo było podczas dżumy, która grasowała przed rokiem. Podczas największego rozwoju epidemii, kiedy gazety ilość trupów obliczały na setki dziennie,

dotknięte dżumą miasta chińskie przedstawiały obraz zupełnego spokoju.

Dżuma niewątpliwie przyspieszyła wybuch rewolucyi, chociaż właściwą jest znana nędza w Chinach.

Dynastya mandżurska doprowadziła Chiny do ostatecznej nędzy. Życie w Chinach, w porównaniu ze stosunkami europejskimi, jest bardzo tanie. Za kilka „czochów“ (10 czochów = 3 halerzy) niezamożny Chińczyk potrafi żyć kilka dni. Pomimo tego cały kraj roi się od obdartych nędzarzy gotowych na wszystko.

W całych Chinach niema ani jednego towarzystwa dobroczynności; ten, ktoby podniósł tę kwestyę, byłby tutaj okrzyczany za ostatniego głupca. Chińczycy twierdzą, że biednymi mogą być tylko źli, nieuczciwi ludzie, ponieważ dobry człowek może być kupcem, złego zaś człowieka nie trzeba wspierać. Z tego powodu nędzarze są pozostawieni na łasce Opatrzności.

Rewolucya dla dynastyi jest bardzo groźna i prawie, że nikt już nie wierzy, żeby dynastya mogła się utrzymać. Wojska rządowe często bez wystrzału przechodzą na stronę rewolucyonistów. Rząd, straciwszy grunt pod nogami, wydaje coraz mniej sensu mające edykty. Z początku groził rewolucyonistom okropnemi karami, potem, widząc, że to nie pomaga, darował im wszystkie przewinienia, byle tylko się uspokoili. I to jednak pozostało bez skutku. Wtedy rząd wydaje edykt, w którym naiwnie przyznaje się do kradzieży, rozboju i nadużyć, prosi jednak darować mu to wszystko, solennie obiecuje poprawę; w edykcie owym rząd nadaje wszystkie prawa Chińczykom i równa ich z nieawistnymi mandżurami.

Wszystko to jednak na próżno, ponieważ rząd rewolucyjny nie chce słyszeć nawet o żadnych ustępstwach na rzecz dynastyi. Wszystkie siły rewolucyi zdążają do Pekinu, gdzie ostatecznie będzie rozstrzygnięta kwestya, jaką formę rządu mają posiadać Chiny.

Okrucieństwa walczących przechodzą wszelkie pojęcie. Rząd mandżurski rozsyła setki szpiegów, którzy pakują podejrzanych do więzień. Jest to najokrutniejsza kara, ponieważ z powodu olbrzymiej ilości uwięzionych istniejące więzienia okazały się niewystarczające i rząd

kazał przygotować tymczasowe więzienia. Takie więzienie przedstawia głęboki dół, wykopany w ziemi i przykryty kratą, a często napełniony wodą i nieczystościami. Do takiego dołu wpędzają dziesiątki uwięzionych i pozornie zapominają o nich. Upływa dzień drugi. Męki głodu i rozpaczy dręczą nieszczęśliwych. Niektórzy tracą zmysły i wygadują bez sensu, każde zaś słowo, to akt oskarżenia dla nich i dla innych, ponieważ szpiegi podsłuchują obok. Co godzina w tej wstrętnej jamie kona człowiek, a potem żywi zjadają trupa.

W więzieniach chińskich kwitnie ludożerstwo na wielką skalę. Okropną rzeczą jest także tak zwana „popatka“ czyli lekka bambusowa deszczułka, którą biją po plecach. Szczytem doskonałości i umiejętności dla kata jest uderzanie w jedno i to samo miejsce, aż do wyrwania kawału żywego ciała. Po takiej operacyi nawet najsilniejsi umierają. Dlatego Chińczycy wolą być wyprowadzeni na plac „hun-dy“ i ścięci, aniżeli poddać się operacyi popatkowej.

Ścinanie głów na placu „hun-dy“ odbywa się z zadziwiającą prostotą. Skazani stoją rzędem jeden za drugim, kat zaś ścina głowy po kolei. Podczas jednej takiej ceremonii ciekawy Europejczyk przyniósł aparat fotograficzny, chcąc zrobić zdjęcie. Skazani z ciekawości spoglądali na aparat, wesoło rozmawiali i śmiali się, a kiedy Europejczyk po zrobieniu zdjęcia z hałasem zamknął aparat, eden ze skazanych, stojący w szeregu, klasnął w dłonie i rzekł ze śmiechem: „szybko szango kapitan“. Za chwilę ten sam Chińczyk oddał głowę katowi.

Praktykowane dawniej bicie w pięty bambusowemi laskami, jako przestarzałe i widocznie, podług pojęć chińskich, za delikatne, zostało wycofane z użycia. Opisane męczarnie zadają Chińczykom przedstawiciele ginącego rządu, rewolucyoniści zaś przeciwników poprostu wieszają podług zwyczaju europejskiego. I tutaj widać już postępy cywilizacyi. W Tientsinie na długi czas przed rewolucyą został wtrącony do więzienia pewien zdecydowany rewolucyonista Czyn-Ty.

W więzieniu Czyn-Ty zaprzyjaźnił się z drugim Chińczykiem, wsadzonym do kozy za jakieś zwyczajne prze-

stępstwo. Po wzięciu Tientsinu przez rewolucyonistów, ci ostatni uwolnili Czyn-Ty i mianowali go prefektem. Nowy prefekt uwolnił i swego towarzysza niedoli, poczem zamianował go swoim sekretarzem. Wypuszczony z więzienia Chińczyk był tylko trzy dni sekretarzem Czyn-Ty. Pewien bogaty Chińczyk ofiarował na cele rewolucyi 30.000 taeli i wręczył je prefektowi za pośrednictwem sekretarza, ten zaś 10.000 schował dla siebie. Gdy się sprawa wydała, sekretarz z rozporządzenia prefekta został na rynku powieszony i tam wisiał dla przykładu kilka dni.

Chęć zarobku gra największą rolę. Pewien generał rządowy otwarcie obiecał przystąpić do rewolucyi za 70 000 taeli, rząd jednak dał mu 100 tysięcy, wobec czego generał pozostał na miejscu. Gdyby jednak rewolucya nie przybrała takich rozmiarów i rząd się czuł więcej silnym, generał ów za zdradę byłby napewno ścięty.

Kiedy rowolucyoniści zdobyli jedno z miast chińskich z okręgu Czifu, w środku miasta odbywało się najspokojniej... wesele chińskie. Jest to dość ciekawy obrzęd. Odbywa się on zwykle na podwórzu. Kilku Chińczyków przynosi stół, nakrywają go czerwonym suknem i ustawiają dwie świece zapalone i dwa naczynia, z których wydobywa się dym z zapachem mogącym przyprawić na mdłości, obok stołu stoją krzesła, na których siadają zaproszeni goście. Przychodzi narzeczona w spódnicy z twarzą przykrytą welonem i zaczyna się ceremonia. Jeden stary Chińczyk przyskakuje do panny młodej, kłania się i pokazuje duży palec, krzycząc w niebogłosy niezrozumiałe dla Europejczyków wyrazy. Potem Chińczyk oblatuje dwa razy podwórze, gasi na stole świeczki i już po ślubie. Pan młody, jak się okazuje,, przy ślubie nie jest obecnym, a czeka on z przygotowaną ucztą u siebie na pannę młodą i gości. Tutaj już odbywa się uczta wedle zamożności pana młodego, często składająca się z kilkudziesięciu nader małych potraw.

Rozmaitości.

Ku czci Kołłątaja. W roku bież., obok innych obchodów ku uczczeniu pamięci wielkich mężów (Krasińskiego, Skargi, Kraszewskiego, Syrokomli), przypada także obchód ku czci X. Hugona Kołłątaja, jednego z głównych twórców Konstytucyi 3-go maja, reformatora ówczesnego szkolnictwa, pisarza politycznego i męża stanu.

Towarzystwo Szkoły Ludowej, które urządza tradycyjnie obchody 3-go maja w każdym roku, w roku bież. postanowiło na całym terenie swej działalności urządzić w tym dniu uroczyste obchody ku czci X. Kołłątaja i zapoznać lud polski z spuścizną jego dzieł, czynów i zasług.

W tym celu postanowił Zarząd Główny Towarzystwa Szkoły Ludowej urządzić w dniu 3-go mają obchody w Krakowie i we Lwowie, we wszystkich Kołach T. S. L., oraz skłonić Koła do urządzenia obchodów po czytelniach wielskich, których liczba przekroczyła już 2.000, przyczem będą wygłoszone popularne odczyty o X. Kołłątaju. Szczegółowy program uroczystości przygotowuje obecnie Zarząd Główny i poda bliższe szczegóły do wiadomości za pośrednictwem czasopism polskich i organu Towarzystwa: *Przewodnik Oświatowy*.

Postępowanie inspektora Rusina. Niedawno otrzymało nauczycielstwo powiatu kosowskiego nowego inspektora szkolnego w osobie Ks. Abrysowskiego Emila, Rusina, który objął urzędowanie po zasłużonym dla powiatu tutejszego inspektorze Lewandowskim, przeniesionym do Przemyśla.

Nowy ksiądz inspektor postanowił za każdą cenę oczyścić powiat z Polaków-nauczycieli. Szykanuje ich tedy na każdym kroku i obsadza posady stałe wyłącznie Rusinami w szkołach polskich.

Niemcy w Galicyi. Kresową miejscowość Wilamowice zamieszkują po części osadnicy, przybyli tu z Niemiec w XIII. wieku po części rdzenni Polacy. Potomkowie osadników niemieckich używają ogromnie skażonego języka niemieckiego, tak zwanej „gwary wilamowickiej“ i żyli dotąd z Polakami w zupełnej zgodzie. Ale i tam prusofilski „Bund der christlichen Deutschen in Galizien“ zapuścił zagony i znalazł dosyć licznych zwolenników. Rzeczy zaszły już tak daleko, że obecnie Wilamowice mogą być stracone dla polskości. Duchowieństwo i nauczycielstwo walczy dzielnie w obronie polskości, niestety jednakże lud polski nie popiera należycie tych usiłowań.

Oto na posiedzeniu w dniu 31-go grudnia 1911 roku Rada gminna uchwaliła, ażeby w tutejszej cztero-klasowej szkole ludowej językiem wykładowym był język niemiecki, chociaż od lat 35-ciu obowiązuje język polski — a następnie zażądała od władz krajowych przysłania nauczycieli niemieckich. Uchwała ta nie jest wcale wyrazem potrzeb ludności tutejszej, lecz jedynie wynikiem agitacyi „Schulvereinu“ i „Bundu“, — języka niemieckiego uczy się

w szkole wspomnianej dziatwa w zakresie tak obszernym, że nie nie ma żadnego powodu do zmiany pod tym względem.

Rada gminna nie ma prawa decydować samodzielnie o języku wykładowym szkoły, tudzież o doborze sił nauczycielskich, gdyż gmina pokrywa zaledwie 10 % wydatków na utrzymanie nauczycieli. W Wilamowicach stanęła nowa szkoła, zbudowana przeważnie kosztem kraju — gdyż subwencya Rady szkolnej krajowej wynosi 35.000, resztę w kwocie 13,000 koron ma pokryć gmina — i oto tę szkołę pragnie tutejsza Rada gminna zgermanizować. Osoby mające głos w tej sprawy, winny zapobiec germanizacyjnym zakusom Rady gminnej i utrzymać polskość w Wilamowicach.

Klasztory w Austryi. Według statystyki jest w Austryi 1.640 klasztorów męskich i 11.116 zakonników, a 2.316 klasztorów żeńskich i 27.389 zakonnic. Z tego Galicya posiada 652 klasztory, w tem 135 klasztorów męskich z 1.895 zakonnikami i 517 klaktorów żeńskih z 4.420 zakonnicami.

Co do ilości zakonników przewyższa Galicyę jedynie Austrya Dolna, która ma 2.211 zakonników i 6.171 zakonnic. Ponieważ jednak cyfry te wyjęte są ze statystyki z 1900 roku, przeto liczba klasztorów i ich członków jest znacznie większa i można śmiało liczbę zakonników i zakonnic w Austryi podać na 40.900

Zwalczanie drożyzny w Niemczech. Rząd pruski rozesłał do zarządów miast okólnik, wskazujący na zbyt wielkie różnice, które wystąpiły między cenami za nierogaciznę, a cenami wieprzowiny. Okólnik podnosi, że zarządy miast winny rozważyć środki celem zmniejszenia nieuzasadnionego podrożenia tej najważniejszej sorty mięsa dla ubogiej ludności.

Gdyby się nie dało to osiągnąć przez porozumienie z rzeźnikami, musiałyby miasta przystąpić do utworzenia własnych jatek. Oprócz tego mają być sprowadzane ryby morskie w większych ilościach, a ziemniaki, owoce strączkowe i jarzyny będą gminy sprowadzały i we własnym zarządzie sprzedawały po cenie własnych kosztów. Dla tego rodzaju transportów zaprowadzono równocześnie zniżki taryfowe na kolejach.

W Bambergu w Bawaryi postanowił magistrat utworzyć komisyę dla notowania cen, która ma sprawdzać różnice między cenami przy zakupnie bydła, a cenami przy sprzedaży mięsa, i ogłaszać je dwa razy tygodniowo. W razie potrzeby będą sprzedawcy wezwani do zniżenia cen, a gdyby się wzbraniali, gmina przystąpi do zorganizowania rzezi bydła i wyrębu mięsa we własnym zarządzie lub na podstawie spółdzielczej. Także sprzedaż kartofli ma być w ten sam sposób poddana kontroli.

CZĘŚĆ POWIEŚCIOWA i NAUKOWA.

Jak dawno człowiek żyje na ziemi.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli więc na rozrodzenie się ludności po potopie przyjmiemy 1000 lat, jeżeli na zajęcie i skolonizowanie Egiptu przez ludy azyatyckie przyjmiemy drugie 1000 lat aż do założenia tam pierwszej monarchii, a do tego dodamy 3.500 lat od Manesa do Chrystusa, to otrzymamy 5500 lat, a to czas chyba dostateczny na rozrodzenie się w miliony potomków Noego.

Vogt, uczony niedowiarek niemiecki, sądzi, że niemożliwem jest, żeby wychodźcy z Azyi zaludnili w starożytności Europę, Amerykę i wyspy australskie i dodaje, że w tych częściach ziemi istnieli ludzie od milionów lat, niezależnie od ludów Azyi.

Ale to twierdzenie jest błędnem, bo przecież z Azyi do Ameryki przez cieśninę Berynga, w zimie zamarzniętą, droga niedaleka i nietrudna, a z wysp aleuckich do Kamczatki przeprawa bardzo łatwa. Nie jest wykluczonem także, aby z wysp australskich nie popłynęli ludzie do Ameryki.

Wiemy także, iż długo przed odkryciem Ameryki przez Kolumba, odbywali Normanowie przez Islandyę i Grenlandyę podróże do północnej Ameryki i mogli ją zaludnić. Chińczycy także znali już Amerykę w odległej starożytności.

Ze ludność Ameryki pochodzi także z Azyi, względnie z wysp australskich, świadczą o tem obyczaje i zwyczaje Indyan amerykańskich, ich skład czaszki i budowa ciała, bardzo do rasy malajskiej i mongolskiej (w Azyi) zbliżona.

A choćby nie było umyślnej kolonizacyi Ameryki, to czyż burza morska nie mogła łodzi z ludźmi zapędzić

z wysp australskich na brzegi amerykańskie i w ten sposób dać początek zaludnieniu tej części ziemi?

Że wszyscy mieszkańcy ziemi chociaż różnią się między sobą barwą skóry i ukształtowaniem czaszki i ciała są z sobą, a względnie z ludami Azyi niejako spokrewnieni, świadczą o tem także różne rasy ludzkie, których jest pięć: kaukaska, mongolska, etyopska (murzyńską), amerykańska i malajska.

Rasa kaukaska odznacza się skórą białą, mongolska żółtą, amerykańska miedzianą, etyopska czarną, a malajska brunatną. Murzyni mają przytem włos czarny kędzierzawy, u innych zaś ras kolor włosów jest mniej więcej jasny i brunatny.

Mimo tej różnicy ras, nie można twierdzić, jakoby wszyscy ludzie nie byli potomkami jednych rodziców. Przeciwnie, między ludami różnych ras, oddalonych nawet bardzo daleko od siebie, widać wiele podobnych cech, wskazujących, że pochodzenie ich jest wspólne od jednej rodziny.

* * *

Nie jest atoli celem tej rozprawki udowodnienie pochodzenia wszystkich ludzi od jednych rodziców, nam chodzi tylko o dawność rodzaju ludzkiego, — więc wracając do tej sprawy zastanowimy się dalej nad wykopaliskami kości ludzkich, które znaleść miano we wnętrzu ziemi, a które mają niby dowodzić, że człowiek żył dawno przed czasem, który Biblia dla Adama i Ewy przeznacza, to jest na tysiące i milony lat przed Adamem.

To jednak twierdzenie nie jest niczem ugruntowane. W Kalifornii znaleziono w roku 1867 czaszkę, która miała pochodzić niby z epoki przed Adamem, tymczasem wkrótce przekonano się, że się miało do czynienia z oszustwem. Kongres antropologiczny (to jest zajmujący się człowiekiem) w Lizbonie w roku 1880 stwierdził, że w warstwach ziemi, w tak zwanej formacyi trzeciorzędnej (to jest dawno przed czasami Adama), nie znaleziono nigdzie ani kości ludzkich, ani nic takiego, z czegoby można wnosić o istnieniu ludzi w tych czasach prastarych.

Niektórzy uczeni twiedzą dalej, że istniały epoki: kamienna i bronzowa, czyli czasy, w których ludzie używali najpierw kamiennych narzędzi do potrzeb życia codziennego, a później dopiero żelaznych.

Dla epoki kamiennej przeznaczają owi uczeni 40 wieków. Najnowsze atoli badania obalają to twierdzenie. Nie było według tych badań żadnych osobnych ściśle odgraniczonych epok, bo metale i ich użycie znane były od kolebki ludzkości, a mimo to posługiwano się kamieniem.

Stwierdzono, że kamień, bronz i żelazo były w użyciu równocześnie. Wszak i obecnie używamy jeszcze kamiennych i bronzowych sprzętów i narzędzi. Egipcyanie używali kamiennych naczyń aż do najnowszych czasów. Assyryjczykom i Chińczykom znane było żelazo od najdawniejszych wieków, tak samo znali je mniej cywilizowani negrowie (murzyni) afrykańscy.

Wprawdzie pierwsi europejscy mieszkańcy używali wyłącznie sprzętów z kamienia i kości, ale to tylko dlatego, bo w długiej wędrówce z Azyi z braku materyału zapomnieli sposobu obrabiania metali, a ztąd nawet w V. wieku przed Chrystusem używano jeszcze w Europie bardzo prymitywnych naczyń kamiennych, jak o tem świadczą wykopaliska z grobów tej epoki, podczas, gdy w tymże samym czasie w Azyi znano już dobrze wyroby z bronzu i żelaza. W rzymskiej strzelnicy, w Moguncyi, znaleziono sprzęty kamienne, choć Rzymianie znali się dobrze z różnymi metalami.

Według Virchowa u ludów starożytnych tylko książęta i wodzowie mieli broń kruszcową, wojownicy zaś szeregowi posiadali broń kamienną lub z kości.

Nie można więc z naczyń kamiennych wnosić o zbytniej starożytności rodzaju ludzkiego.

Jeszcze jeden argument przytaczają niektórzy na dowód, że ród ludzki istnieje bardzo dawno, to jest od dawniejszych czasów, niż to określa Biblia — mianowicie, że ludzie żyli równocześnie z pewnemi gatunkami zwierząt, które dawno już wyginęły.

Ale i to nie dowodzi niczego. W czasach już historycznych, czyli odkąd już mamy pewniejszą historyę ziemi

i człowieka, wygasło mniej więcej 40 gatunków ptaków i zwierząt.

Wódz i historyk rzymski Cezar wspomina, że w lasach teutońskich (niemieckich) żył renifer, którego dziś można spotkać zaledwie na dalekiej bardzo północy. Niedźwiedź, bóbr, ryś, niegdyś powszechne w całej Europie, dziś tylko w północnych okolicach się trafiają, a lwy, według zgodnych doniesień rzymskich i greckich pisarzy, grasowały w Grecyi i w Małej Azyi i dopiero w II. wieku po Chrystusie z Europy zniknęły.

Słoń i nosorożec zamieszkiwały północną Afrykę jeszcze za czasów Chrystusa Pana, później cofnęły się dalej na południe. Z tego więc wypływa, że z równoczesności człowieka z wymarłymi gatunkami zwierząt nie można wnioskować o istnieniu rodzaju ludzkiego.

W roku 1807 znaleziono na Syberyi przy ujściu rzeki Leny w bryle lodu doskonale zachowanego mamuta, na którym utrzymały się jeszcze włosy i grzywa na karku.

Naturalista Fraes pisze: czas, w którym renifer, mamut i niedźwiedź jaskiniowy w Szwabii żyły, a człowiek się tam osiedlił, przypada mniej więcej na czas rozkwitu państwa babilońskiego, albo na okres budowy piramid egipskich, a więc na 3.000 do 4,000 lat przed Chrystusem, a nie na setki tysięcy lub miliony lat.

Inny uczony niemiecki stwierdza, że gdy renifer żył jeszcze na wyżynach południowej Europy, które z powodu bliskości lodowców były zimne, to równocześnie na dolinach pasły się mamuty, a lasy rozbrzmiewały rykiem zwierząt jaskiniowych.

Nie było zaś to tak dawno, bo gdy kolonie Fenicyan były w największym rozkwicie przed dwoma tysiącami lat, na wyżynach Hiszpanii, upędzali myśliwi za reniferami. A w tymże samym czasie, gdy żeglarze feniccy zdążali na morze Bałtyckie po bursztyn, mieszkańcy nadbrzeźni zbroili się jeszcze w kamień i kości.

Nie były zaś to wcale jakieś czasy przedhisoryczne, ale — jak wyżej wspomnieliśmy — czasy na kilkaset lat przed Chrystusem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MYŚLI...

Ojczyzna naszą matką, a myśmy jej dzieci;
Złem dzieckiem, w kim ta matka miłości nie wznieci.

*
* *

Klniesz wrogów, że ci ciało ojczyzny zranili;
Ty jej ducha złem życiem ranisz każdej chwili.

*
* *

Mogą ciało ojczyzny pociąć wrogów noże,
Ale duch chyba tylko sam siebie struć może.

*
* *

My z sobą gwarzym, czas skrzydło-płochy.
I słowa goni i chwile powiewne.

*
* *

Znajdziesz tysiąc pochlebców w pośrodku wesela,
Zła chwila prawdziwego wskaże przyjaciela.

*
* *

Gdy się wątek urwie, każdy co ci sprzyjał,
Będzie twój dom, choć sucho, z daleka omijał.

*
* *

Kto chce czego dokazać, a widzi, że trudno,
Niech tylko wdzieje na się postawę obłudną.

*
* *

Patrzę na dziś, bo któż zgadnie,
Jaka mi kość jutro padnie?

Zwyczaje przy zawieraniu związków małżeńskich u rozmaitych dzikich ludów.

Związki małżeńskie zawierane bywają u rozmaitych dzikich ludów ze wzajemnej miłości, albo wyborem ze

strony mężczyzny, albo przez kupno lub najczęściej przez pośrednictwo rodziców.

Związek małżeński z wolnego wyboru i wzajemnej miłości jest najodpowiedniejszy i znajdujemy go zarówno u narodów cywilizowanych, jak i ludów dzikich.

U Murzynów Loango młody człowiek winien zdobyć sobie przychylność dziewczyny — gdyż bez jej przyzwolenia nic nie znaczą ani wielkie bogactwa, ani przemoc rodziców. Małżeństwo u tego narodu zostaje dopiero po 7 dobach próby utrwalone.

U Dajaków Sinamban stara się konkurent bardzo poetycznie o rękę ukochanej Nie odstępuje jej, pomaga jej w pracy i zarzuca ją podarkami. Gdy się spodziewa z jej strony cokolwiek miłości, zakrada się nocą do jej chaty, budzi ją i częstuje przysmaczkami. Jeśli dziewczyna nie przyjmie przysmaczków lub o zapalenie światła poprosi, to konkurent winien odejść.

U Eskimosów młody człowiek prosi matkę o rękę córki, a gdy otrzymuje przyzwolenie, posyła dziewczynie nową suknię, którą, gdy się przyodzieje, małżeństwo bywa zawarte.

W Abisynii zaręczyny odbywają się w bardzo młodym wieku, lecz od dnia uroczystości narzeczeni nie powinni się widywać. W Tigra ten przepis jest tak surowym, że narzeczona od tego dnia nie może opuszczać domu ojca przed obawą, aby przez węża nie została pożarta.

U Czukorów małżeństwo zawiera się prawie zawsze za pośrednictwem rodziców, a gdy narzeczony ma lat czternaście lub piętnaście, a narzeczona jedynasty lub dwunasty, już łączą się razem.

Zaręczyny u Hererów, z którymi Niemcy mieli przed kilku laty tyle kłopotów, są bardzo ciekawe. Liczba kobiet jest tam mniejszą, niż mężczyzn, to też ojcowie, obdarzeni córkami na wydaniu, pysznią się z tego, jak gdzieindziej matki posiadające dużo synów do ożenku. Zazwyczaj Hereros pojmuje tylko jednę żonę, bo większa ich liczba pociąga za sobą znaczne wydatki.

Przy zawieraniu związków małżeńskich granica wieku dla mężczyzn jest różna, gdyż muszą oni naprzód zdobyć pewną zamożność, aby módz ponieść koszta wesela, oraz

utrzymania dla żony i przyszłej rodziny. Co zaś do dziewcząt, bywają zaręczane niemal w kolebce, a poślubiane najpóźniej w 14 do 15 roku życia.

Małżeństwa zawierane są nieraz w bliskiej rodzinie, pomiędzy dziećmi brata i siostry; nie wolno jednak łączyć się dzieciom dwóch braci lub dwóch sióstr. Jako podarek zaręczynowy otrzymuje oblubienica żelazną perłę, zawieszoną na rzemieniu. Narzeczonemu nie wolno widzieć narzeczonej do dnia zaślubin; widują się jednak potajemnie od dnia zaręczyn, o ile dziewczyna nie jest w wieku niemowlęcym, ułatwia im to nawet matka, wskazując miejsce, gdzie mogą się spotkać.

Na swoje gody oblubieniec powinien ofiarować tłustego wołu, albo owcę z jagnięciem. Ojciec panny młodej zabija dziesięć wołów. Ucztowanie trwa dopóty, dopóki goście wszystkiego nie zjedzą. Przez ten czas oblubienica musi podlegać rozmaitym, niezbyt miłym obrządkom; między innemi bywa smarowana na twarzy tłuszczem wołowym i musi tak chodzić, aż do chwili, gdy ją oddzadzą w ręce oblubieńca. Wtedy ją dopiero obmywają i nakładają czepek, którego nie ma prawa nigdy zdejmować

Panna młoda idzie za mężem do jego domostwa, a to w ten sposób, że kroczy za nim z tyłu, przyczepiona do rzemienia, jak pies. Wedle zwyczaju, powinna przytem płakać, wzdychać, głośno zawodzić i próbować ucieczki. Często jednak nie są to czcze formy, ale rzeczywista rozpacz młodej dziewczyny, oddawanej nieraz starcowi

U Hotentotów jest przyzwolenie dziewczyny sprawą podrzędną. Konkurent zwraca się głównie do ojca lub jego zastępcy, a w razie gdy dziewczyna odrzuci konkurenta, może odzyskać swobodę, lecz tylko pod warunkiem, że od zachodu do wchodu słońca będzie się bronić swemu konkurentowi, używając do tego naturalnego oręża, jak pięści paznogci i zębów.

U Australczyków z zachodniego obwodu Wiktoryi dobierają zawsze rodzice małżeństwa, przyczem nieraz opór to ze strony córki lub syna się znajduje. Również młodzi ludzie z rozmaitych szczepów mogą sobie darowywać siostry lub kuzynki bez przyzwolenia tychże. Jeżeli zaś małżeństwo jest bezdzietnem, to może być rozwiąza-

nem. Kobieta powraca do domu i może znowu wyjść za mąż. Jeżeli z kobietą mężczyzna źle się obchodzi, to może ona udać się pod opiekę innego z zamiarem zostania jego żoną, a jeżeli ten zostaje w walce z opuszczonym mężem zwycięzcą, to staje się prawowitym małżonkiem zdobytej kobiety.

Na Sumatrze musi sobie każdy mężczyzna żonę od rodziców kupić i to za cenę dość wysoką w stosunku do piękności dziewczyny, dla tego też wiele dziewczyn zostaje staremi pannami, a wielu młodzieńców starymi kawalerami. Obrząd ich weselny polega na tem, że mężczyzna opiera swe lewe kolano na kolonach kobiety. W wypadku śmierci męża przechodzi żona w posiadanie najstarszego z jego żyjących braci.

W Ameryce północnej w ogólności małżeństwa kojarzą rodzice, a narzeczeni przyjmują układ nawet wtedy jeżeli się nie kochali poprzednio, lub jeżeli się nawet poprzednio nie znali. Wiedzą o tem, że łatwo mogą się rozłączyć, jeżeli nie będą szczęśliwi.

Kontrakt małżeński zawiera się u szczepu Irokezów przez dwa placki z kukurydzy, które narzeczona składa teściowej, przeznaczając je wszakże dla męża, za co otrzymuje w zamian sztukę zwierzyny.

W Nowej Zelandyi, gdy się zdarzy, że dwaj jednakowo wybitni młodzi ludzie zakochają się w jednej dziewicy, wówczas rodzice radzą obydwom, aby zakończyli spór przemocą i obaj się starają zawlec ją do swego domu, a każdy z nich ciągnie ją za rękę w swoją stronę. Zwycięzca zatrzymuje ją dla siebie, lecz często ręce pożałowania godnej dziewczynie wychodzą ze stawów, poczem leży chora i małżeństwa jej się odechce.

Kryteczne lata życia ludzkiego.

»Nasze życie trwa 70 lat, a jeśli ma być długiem, to dochodzi do 80 lat«, taką zasadę znajdujemy wypowiedzianą w psalmach. Historya i statystyka stwierdzają bardzo dokładnie jej prawdziwość. Według tej ostatniej prze-

ciętna długość życia ludzkiego w poszczególnych państwach wynosi: w Belgii 67 lat, w Holandyi, Niemczech i Szwajcaryi 70 lat, w Anglii i Szwecyi 72 lat, we Francyi 73, a w Norwegii 74. Cyfry te odnoszą się do wieku mężczyzn. Kobiety żyją w tych krajach troszkę dłużej.

Normalna granica życia ludzkiego da się więc prawie na pewno oznaczyć i utrzymuje się mniej więcej stale w jednakiej wysokości. Przeciwnie tak zwany wiek przeciętny czyli średni zmienia się stale i to bardzo. Przed 50 ciu laty oznaczano nim zwykle 30-ty rok życia, obecnie podniósł się on na 35 do 40-tu lat. Podniesienie to granicy wieku średniego wynikło z tego, że umiejętność lekarska i opieka nad niemowlętami zmniejszyła znacznie wśród nich śmiertelność.

Aby wyrównać różnice, jakie zachodzą między granicą wieku średniego, a granicą starości, a tem samem uzyskać dokładne cyfry do oznaczenia długości życia ludzkiego, starali się antropologowie, czyli badacze naukowi ludzi i ich rozwoju zebrać dokładne cyfry statystyczne o śmiertelności u poszczególnych narodów. Z zestawienia cyfr tych wynikło, że w życiu człowieka są lata dobre i złe, w jednych życie nasze rozwija się doskonale w innych znowu stoimy nieledwie nad przepaścią, w którą każdej chwili los życia strącić nas może.

Są więc w życiu człowieka tak zwane lata krytyczne. Jako takie uznano 1, 16, 32 i 54 rok życia.

Największy procent śmiertelności przypada na pierwszy rok życia. Jest on rokiem krytycznym pierwszego rzędu. Niektórzy upatrują w tem wszechwładztwo zasady naturalnego doboru, to znaczy, że to co słabe fizycznie ginie samo przez się, przy życiu zaś zostają tylko natury zdrowe i silne, króre wzmacniają i rozwijają rasę ludzką. Twierdzenie to nie całkiem jednak jest uzasadnione, gdyż obecnie nieraz lekarzowi udaje się przez umiejętne pielęgnowanie i karmienie utrzymać przy życiu bardzo słabo fizycznie rozwięte dzieci, które później wyrastają na dzielnych ludzi. A nowoczesna hygiena społeczna prowadzi obecnie bardzo skuteczną walkę ze straszną śmiertelnością wśród niemowląt.

Życie ludzkie w pierwszych latach najwięcej narażone jest na niebezpieczeństwa. Następnie jednak siła życia wzrasta gwałtownie i rozwija się. Dopiero rok 16-ty życia jest znowu rokiem krytycznym, lecz tylko drugiego stopnia. Od tego roku rozpoczyna się wzrost procentowy śmiertelności aż do następnej granicy krytycznej pierwszego stopnia, to jest do roku 32. Skoro uda nam się szczęśliwie ten okres życia przebyć, mamy przed sobą szereg lat spokojnych i wesołych. Siła życiowa dochodzi w nas do szczytu w swym rozwoju.

Od 54-go roku życia zaczyna się znowu niebezpieczeństwo śmierci gwałtownie wzmagać. Ten rok i kilka następnych stanowią czas zwrotny w życiu ludzkiem.

Najwięcej tu staje cmentarnych krzyżów. W miarę wzrostu ilości lat rosną szybko świeże mogiły. Dopiero w roku 82-gim śmiertelność znacznie spada, może jednak dlatego tylko, iż mało jest takich, którzy tego wieku dożyją.

Rzecz prosta, że cyfry te i uwagi są tylko ogólnej natury i stawiają ogólne tylko zasady. Są życia ludzkie, które nie stosują się do tych prawideł, ale to są wyjątki, które bynajmniej nie osłabiają wydobytych na podstawie statystyki zasad.

Krytyczne lata 1, 16, 32 i 54 dzielą życie ludzie bardzo dokładnie na cztery części o określonym zupełnie rozwoju. Do 15-go roku trwa dzieciństwo, czas złoty, gdzie życie płynie z rozmachem i coraz szerszym potokiem.

Od 15-go do 32 roku trwa młodość, lecz ta zwykle... wiele grzeszy. To też jej lata są złe, niebezpieczne i bardzo krytyczne.

Czas od roku 32-go do 54-o to czas dojrzałości życiowej. Życie domowe obejmuje duszę mężczyzny i kobiety. Namiętności słabną i utrzymują się w pewnych granicach. To też statystyka nazywa te lata szczęśliwym okresem.

Od roku 54-go rozpoczyna się starość. Dla wielu ma ona tylko cienie. Ludzie tetryczeją, stają się niezadowoleni z siebie i drugich. Są jednak i tacy, dla których starość jest również czerstwą, jak i poprzednie życie. Ci dociągają

późnych lat, a wesołym swym umysłem przewyższają nieraz młodych, którzy zbyt prędko swe życie przeżyli.

Ostatecznie przysłowie powiada, że »każdy jest twórcą swego losu«. Życie niezmarnowane przedwcześnie bywa silne, zdrowe i długie. Życie zbyt ciężko przeżyte, pełne żądz i namiętności zjada siły człowieka i otwiera mu wczesny grób.

Dawne kary na oszukańczych przekupniów.

Biedni ludziska, którzy muszą udawać się na targ po zakupno wszelkich wiktuałów, są ustawicznie narażeni na oszukanie ze strony handlarzy, którzy sprzedają im za drogie pieniądze złe artykuły spożywcze, jak zepsute jaja, rozwodnione i mąką zaprawione mleko i śmietanę, fałszowane masło i t. p. Skargi takie słyszymy niemal codziennie...

Oszukaństwa przekupniów nie są jednak wymysłem naszych dni, lecz skargi na nie powtarzały się już za owych starych dobrych czasów. Już w roku 1481 wnieśli mieszkańcy francuskiego miasteczka Ambert skargę do władz, aby pociągnęły do odpowiedzialności oszukańców i w ten sposób położyły kres awanturom i bójkom, jakie wskutek tego wywiązują się między obywatelami, a przekupniami. Wówczas władze wydały następujące rozporządzenie:

Każda przekupka, która sprzedaje rozwodnione mleko, ukarana zostanie w ten sposób, że włoży się jej lejek w usta i będzie się w nią lać mleko w takiej ilości, jaką według orzeczenia lekarza wytrzyma bez niebezpieczeństwa dla życia.

Każdy przekupień, który sprzedając masło, wkłada do niego ziemniaki, kamyki i t. p., aby zyskało na wadze, zostanie publicznie przywiązany do pala. Następnie położy się mu na głowę kawał masła, które tak długo będzie ogrzewane promieniami słońca, aż się rozpłynie, wówczas publiczność może przyprowadzić psy, aby się rozkoszowały tem spływającem masłem. W czasie niepogody roznieci się

obok pala ogień, który ma spełniać taką funkcyę, jak w powyższym wypadku słońce.

Każdy handlarz, sprzedający zepsute jaja, będzie postawiony pod pręgierzem, a zepsutemi jajami mogą sobie dzieci dla zabawki rzucać na twarz i odzienie delikwenta... Takie to były przepisy za onych dawnych, dobrych czasów. I dzisiaj przydałyby się one bardzo.

Słońce domu rodzinnego.

Kto niem jest? Dobra, pobożna i mądra matka. Ona to jest słońcem domu rodzinnego. Pokój i zgoda panuje w rodzinie, w której rządzi taka matka. Dzieci rosną i rozwijają się pięknie, jak kwiaty w rosie niebieskiej. Zbawienną bojaźń Pańską i szczere zamiłowanie dobrego wpaja pobożna, cnotliwa matka w ich serca wrażliwe.

Czem jest taka matka dla swych dzieci, mówi o tem wielu sławnych ludzi. I tak wielki cesarz Francuzów, Napoleon I., tak się wyraził o swej matce Letycyi: »Mojej matce i jej zasadom zawdzięczam moje powodzenie i wszystko co uczyniłem dobrego«.

Letycya była głęboko religijną, wielkoduszną kobietą, pełną surowego poczucia obowiązku, matką ubogich, chrześcijanką, nie unoszącą się z pychą w szczęściu i nie upadającą w nieszczęściu. Na swem wygnaniu na wyspie świętej Heleny opowiadał Napoleon o swojej matce: »Moja matka posiadała wielki charakter, siłę ducha, wiele podniosłości i dumy. Czuwała ona z niezrównaną troskliwością nad pierwszemi wrażeniami dzieci. Niskie uczucia usuwała, obrzydzała i dozwalała przystępu do serc ich tylko temu, co było wielkie i szlachetne. Miała wstręt do kłamstwa, jak do wszystkiego, co tylko miało pozór niższego uczucia. Umiała karać i wynagradzać i śledziła wszystko bacznie u swoich dzieci«.

Znany założyciel niemieckich towarzystw katolickiej czeladzi ksiądz Kolping, zwrócił się pewnego razu do matek: »Wiecie, matki — rzekł — co mię utrzymało wśród wielkiego zepsucia? Miałem biedną matkę, ale matkę, u któ-

rej nie widziałem i nie słyszałem nic, czegobym nie był musiał szanować. A gdy pokusa zbliżała się do mnie, wtenczas pomyślałem o mojej matce, a kusiciel pierzchnął odemnie. Odkąd umarła, tem większego jeszcze dla niej nabrałem szacunku, wtenczas dopiero jasno poznałem, co mam do zawdzięczenia jej modlitwie. Tej modlitwie zawdzięczam, że stoję tu dzisiaj i że nie zginąłem wśród niebezpieczeństw, które mię otaczały, a jej modlitwa także dopomoże mi do szerzenia czci Boga wedle słabych sił moich«.

Gdybyż to wszystkie matki tak żyły i postępowały, aby dzieci ich mogły to samo powiedzieć o nich!

Z życia żaków krakowskich.

W mrocznym, sklepionym korytarzu, na którego końcu słabo widnieje wązkie zakratowane okienko, stoi czternastoletni wyrostek z miną wielce zafrasowaną. Wprawdzie został już zapisany do ksiąg Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, a rektor już go zaliczył w poczet uczniów, wprawdzie ma nawet na sobie strój żaków — długą kapotę sukienną z kształtu do sutanny podobną, a z której na plecy zwiesza się wielka »kapuca«, ma na nogach trepki, jakby był zakonnikiem, u pasa przywiązany kałamarz, a w ręku seksterna, a jednak czuje się bardzo nieswój i opuszczony. Dokoła niego, po korytarzu bursy, w której będzie miał wraz z innymi mieszkanie, wciąż przebiegają chłopcy więksi i mniejsi, a żaden nie minie go bez zaczepki.

»Beanus, beanus« — wołają na rozmaite tony, jeden wybucha śmiechem pogardliwym, drugi naśladuje beczenie kozy, a biedny nowicyusz zmieszany, zaczerwieniony, ze łzami w oczach, sam nie wie gdzie się obrócić i co z soba zrobić.

Wie wprawdzie, że się to wszystko dzisiaj skończy, ale przedtem czeka go taka okrutna przeprawa, że wolałby już może do końca życia znosić zaczepki, niż jej się poddać... Ale rady niema! Oto obskoczyła go gromada

kolegów i wszyscy razem wynurzają się z ciemnych i chłodnych murów w wąską uliczkę, nad którą błękitnieje rąbek czystego lazuru — a stamtąd ciągną jeszcze dalej, za miasto, na świat Boży, zalany blaskami sierpniowego słońca, na błonia, skąd widać groźny zamek królewski i kupiące się ciasno u stóp jego domostwa, ponad które wystrzelają smukłe wieżyce kościołów gotyckich. Wszystko to opasane murem i fosą, jak klamrami spięte bramami warownemi i ozdobione szlakiem srebrzysto-dyamentowej Wisły.

Tam dopiero, daleko od murów szkolnych, miały się odbywać tak zwane »otrzęsiny« nowego kolegi, czyli »beana«. Ile taki biedny chłopak wytrzymać musiał, to i uwierzyć trudno. Związywano go sznurami, bito, udawano na nim piłowanie i heblowanie, kazano mu pisać z kałamarza, w którym niepodobna było umoczyć pióra, bo otworu wcale nie miał, potem w głos się naigrawano, że to taki student, co kałamarza otworzyć nie umie, — czesano go zgrzebłem, myto błotem, a ścierkami obcierano — wszystko wśród nieustannych żartów, dokuczań, przycinków. A biada mu, jeśli się sprzeczał, gniewał, albo, co gorzej, zlitowania prosił. Zato czekałyby go tylko dwa razy dłuższe męczarnie. Jeśli przeciwnie, zachował się z godnością, miał już zapewnioną życzliwość kolegów; trzeba było jeszcze cierpliwie znieść ostatnią próbę najgorszą, bo już nie fizyczną, ale moralną: wysłuchać czytanego głośno listu, nibyto od mamusi, która desperuje, że jej pieszczoszek, benjaminek, cukiereczek znosi od swych kolegów takie udręczenia! Od chwili jednak, gdy się to skończyło, »beanus« stawał się już »żakiem« prawdziwym, i mógł być pewien, że w razie czego wszyscy koledzy staną za nim, jak jeden mąż.

Tak zaczynał dawny uczeń życie szkolne, z wielu względów różne od dzisiejszego. Taki słuchacz uniwersytetu (coprawda młodszy daleko od dzisiejszego) mniej miał swobody od teraźniejszych gimnazyastów. Suknie nosił prawie że duchowne, jak seminarzysta, mieszkał w bursie pod nadzorem profesorów i bakałarzy, tam się stołował, tam lekcye odrabiał, i za najlżejsze wykroczenie przeciw regule, za wałęsanie się po mieście i t. p, karany bywał srodze rózgami, kozą, albo grzywną pieniężną. Jedyny wyjątek stanowiły otrzęsiny beanów, na które władze unwersyteckie

pozwalać musiały, gdyż byl to zwyczaj powszechny, praktykowany wówczas w szkołach całego świata. Na chlubę Ojczyzny naszej powiedzieć możemy, że uniwersytet krakowski, pierwszy w całej Europie skasował ten zwyczaj: u nas najwcześniej przestano się znęcać nad biednymi, bezbronnymi chłopcami, którzy takie otrzęsiny nieraz mogli zdrowiem przypłacić.

Ale studencik taki, jeśli tylko miał rodziców nieco zamożniejszych, stołował się w bursie, w której mieszkał — jeśli zaś nie było komu płacić za niego, musiał w wolnych chwilach od nauki służyć poprostu w jakimś domu, a gdy mu głód dokuczył, wędrował z koszykiem po swojej parafii, zbierając, co kto dać łaskaw. Takie gromadki »żaków« żebrzących, widywać można było zawsze na ulicach Krakowa, a wstydzić się swego ubóstwa nie potrzebowali; przeciwnie żaczek choć biedny, ale wesoły, zawsze z piosenką na ustach, zawsze mile uśmiechnięty, wszędzie bywał chętnie widziany.

Gdy mu się więc przypadkiem zdarzyło grosz jaki zaoszczędzić, starał się natychmiast o kupienie jakiejkolwiek broni, bo to była rzecz honoru studeckiego, jakkolwiek władze nie bardzo chętnie to widziały i tylko patrzyły przez palce. Bogatszy żak mógł sobie sprawić łuk, miecz albo szablę, biedacy chwytali, co się nadarzyło. Kiedyś student Godaczewski spostrzegłszy na ulicy dwóch jakichś ludzi niosących łuk i miecz, zaczął się z nimi targować i po chwili udało mu się wyhandlować to za starą kapotę. Uszczęliwiony, tryumfujący wraca do bursy, rad, że się nareszcie przed kolegami pochwali, ale oto zanim wieczór zapadł, czekała go wielka konfuzya. Broń była kradziona i pan student musiał przed sądem stawać ze złodziejami. Nie dosyć na tem, sprawa oczywiście doszła do rektora, przed którego obliczem musiał się zjawić strapiony Godaczewski. Wyszło na jaw przehandlowanie munduru na broń, zdaje się, że rozciągano na ziemi kobierzec!...

Uniwersytet łaciński, gdzie uczono i mówiono po łacinie, był w owych czasach jakby wspólną macierzą, (*alma mater)* do której garnęła się młodzież rozmaitych »nacyi«. U nas w Krakowie często gęsto napotkać można hyło butne postaci Węgrów, których mimo młodego wieku bujny

już, czarny wąsik ocieniał wargę, a zuchwalstwo z oczu patrzyło, który przy lada okazyi albo i bez okazyi, ze wszystkimi się bili i wiecznie też wzywani byli dokoła, bo ich młodzi Polacy niaraz z upodobaniem turbowali, nie przepuszczając najmniejszej drobnostki, nawet przypadkowego potrącenia we drzwiach.

Ale i wśród »nacyi« polskiej bywały czasem drobne zajścia. Powodowali je głównie swawolni, a buńczuczni Litwini. Znać, że niezbyt odległe były jeszcze czasy, kiedy ich przodkowie w dzikich pogańskich obyczajach borykali się z żubrami w głębi kniei, lub do tychże samych kniei się chronili przed okrucieństwem Krzyżaków. Co chwila wzywać musiał rektor do siebie tego lub innego zawadyakę Litwina, co choć się uczył dobrze, ale kolegom spokoju nie dawał. Najczęściej zaś ofiarą figlów padali łagodni dobroduszni Mazurzy.

Gdy w pozaszkolnych godzinach przepowiadano sobie lekcye w bursie, bakałarz wciąż musiał do porządku przyprowadzać swawolników, którzy zakradając się przez korytarz pod drzwi izby, gdzie mieszkał kolega z Mazowsza, zaczynali akcent mazurski przedrzeźniać; albo znów zaczepiając Mazura, który, chodząc tam i napowrót pilnie sobie przepowiadał lekcye, pytali z obłudną miną o wskazówki z historyi Kościoła, »czy to Judasz czy inny jaki Apostoł wysłany był do nawracania Mazurów?«.

Święta Bożego Narodzenia ze swemi kolędami i święta Wielkanocne dawały pole żakom do rozmaitych popisów i rozrywek.

W Kwietnią Niedzielę, pod bladem niebem wiosennem gromadziły się tłumy wszelakiej publiczności na placu Dominikańskim, gdzie młodzież uniwersytecka miała odegrać całą historyę Męki Pańskiej. Na wzniesionej umyślnie w tym celu estradzie jawili się istotnie w szatach powłóczystych Apostołowie ze świetnie przyprawionemi brodami, rzymcy żołnierze. Żydzi w otoczeniu mnóstwa aniołów i dyabłów i postaci symbolicznych, przedstawiający Grzechy, Cnoty Rozpacz, Smutek, Pobożność i t. p. Wszystko to deklamowało wiersze przez samychże studentów ułożone i odgrywało całe sceny, jak gdyby w teatrze. Taki teatr pobożny trwał w Wielkim Tygodniu, jeśli pogoda sprzyjała,

przez parę dni z rzędu gromadząc zawsze tłumy widzów i nosił nazwę łacińską *misterium.*

W taki to sposób żyli, uczyli się zabawiali i słuchacze akademii Jagiellońskiej, w owym złotym wieku historyi polskiej, kiedy naród nasz przyświecał całej Europie. I wtedy akademia krakowska liczyła między profesorami swymi mężów, których imiona na zawsze pozostały zapisane w historyi i kształciła uczniów, którzy jej chlubę przynoszą odtąd przez wieki całe.

TO I OWO.

Ważna sprawa.

Stwierdzono, że liczba żydów na świecie coraz więcej wzrasta, a to głównie dlatego, że śmiertelność niemowląt u żydów jest daleko mniejsza, niż u chrześcijan.

Dlatego należy koniecznie i jak najrychlej powstrzymać olbrzymią śmiertelność niemowląt i dzieci chrześcijańskich po wsiach i w miastach naszych, a to przez lepszą o nich troskę oraz przez podniesienie warunków zdrowotnych u naszego ludu. Żydzi daleko więcej dbają o zdrowie dzieci, więc z tej przyczyny liczba żydów ciągle wzrasta — z czego dla nas powstaje coraz większe niebezpieczeństwo naszej zagłady.

Gmach „Equitable“.

Pałac Towarzystwa asekuracyjnego »Equitable« znajdujący się na Broadway w Nowym Jorku, a zniszczony niedawno przez olbrzymi pożar, nie należy właściwie do tak zwanych »drapaczy nieba«. Wysokość jego wynosi ponad 70 metrów, co wedle naszych pojęć, jest czemś ogromnem, ale w Ameryce należy do rzeczy zwyczajnych. W ostatnich czasach zaczęto budować w Nowym Jorku gmachy, dochodzące do 200 metrów wysokości. Nowojorski budynek »Equitable« jest zupełnie podobny do gmachów filialnych w Berlinie i w Wiedniu. Jest to imponująca budowla reklamowa, przeładowana marmurem.

Nowojorski gmach został wzniesiony przed laty przeszło 20 i położony jest na dolnem Broadway w City miasta, pomiędzy ulicami (street) Pine i Cedar. Na parterze znajduje się olbrzymia hala mająca ściany i posadzkę z marmuru. Ta hala tworzy sama w sobie jakby małe miasto. Tutaj mieści się restauracya, bar, trafika, księgarnie i agencye dzienników, tudzież liczne biura telegraficzne i telefoniczne. W środku hali znajduje się 12 wind, tworzących koło. Sześć wind służy do ruchu »lokalnego« sześć do ruchu »ekspresowego« dla 16 piętr. Lokalne windy zatrzymują się się na każdem piętrze, ekspresowe wznoszą się od razu na ósme piętro i dopiero od niego mają na każdem piętrze przystanek. Ruch wind, wszystkich wentylatorów, tudzież oświetlenie, odbywa się przy pomocy osobnej elektrowni.

Towarzystwo ubezpieczeń »Equitable« nie zajmuje wszystkich ubikacyj — wystarczają mu trzy piętra. Reszta, 13 piętr, wynajęta jest rozmaitym towarzystwom finansowym, obok których mieszka tam i ma swoje biura, względnie pracownie, około 50-ciu adwokatów, kilkudziesięciu agentów handlowych, lekarzy, dentystów i t. d. Kogo nie stać na pomieszkanie, ten wynajmuje sobie stół («desk«) we wspólnym pokoju. Niejeden miloner rozpoczął swoją karyerę od takiego »desku«. Wogóle przebywało w tym gmachu w porze dziennej około 3000 ludzi.

Środki niszczące zarazki.

Do środków niszczących zarazki chorobotwórcze, należą: ogień, para, woda i różne gazy trujące. Nie wszystkie jednakże dadzą się wszędzie użyć i zastosować do każdego przedmiotu, a tem mniej do osób.

Najprzystępniejszym zaś środkiem desinfekcyjnym jest wapno i karbol. Wapno zwykłe (gaszone) rozpuszczone w wodzie tak, aby stanowiło w niej pięć procent, czyli na sto listów wody pięć litrów wapna — jest znakomitym środkiem desinfekcyjnym, a do tego bardzo tanim. Gdy więc chodzi o dysinfekcyę ścian, podług, sufitów, najlepiej użyć bielenia. Również gdy chodzi o wygubienie zarazków w odchodach i wymiocinach ludzi chorych, zaleca się po-

lewanie ich takiem wapnem. A trzeba pamiętać, że właśnie choroby i wymiociny ludzi, dotkniętych jakąbądź chorobą zaraźliwą, są najniebezpieczniejsze, gdyż najwięcej mają w sobie zarazków.

K w a s k a r b o l o w y wyrabia się ze smoły węgla kamiennego przy bardzo wielkiem gorącu. Jest to silna trucizna. Pali, niszczy wszystko, dlatego używając go, trzeba bardzo uważać. Zwykle w aptekach kupuje się kwas karbolowy już rozpuszczony, ale jeszcze silny i niebezpieczny do zwykłego użycia, n. p. do umycia rąk. Należy go tedy wpierw rozcieńczyć wodą stosownie do jego siły, o czem pouczyć winien aptekarz.

W razie pojawienia się jakiej choroby zaraźliwej, n. p. dyfteryi, szkarlatyny, tyfusu, a tembardziej cholery, kwas karbolowy powinien być w każdym domu. Nie powinno się nic brać do ust, nie obmywszy sobie wpierw rąk w rozcieńczonym kwasie karbolowym. Tem więcej przestrzegać tego winni ci, którzy chodzą około chorych.

Co kosztują zawieje śnieżne?

Mokre lato sprowadza bez kwestyi wielkie straty, zwłaszcza dla rolników; niepogoda w zimie pochłania również sumy olbrzymie. Deszcz, śnieg i mgła są to rzeczy bardzo kosztowne, ale śnieg przecież z pośród nich najdrożej kosztuje. W wielu robotach powoduje zastój. Niezliczeni robotnicy tracą zajęcie, zwłaszcza przy budownictwie. I w dokach robota ustaje; obliczono że robotnicy londyńscy pracujący u brzegów Tamizy, tracą 650.000 koron jeśli nie pracują przez jeden dzień. Oceniają dalej, że jeśli ludzie z powodu śnieżycy nie wychodzą z domu, to w ciągu jednego dnia tracą kupcy w Londynie 600 000 koron, biedni przekupnie uliczni 80.000 koron, a teatry sprzedają o 2.000 do 4.000 biletów mniej niż zwykle. Towarzystwa omnibusowe tracą tysiące pasażerów. Ale najgorzej wychodzą na śnieżycach koleje.

Nietylko liczba podróżnych zmniejsza się ogromnie, ale nadto przysparzają się wydatki, jak oczyszczanie toru, naprawa popsutych sygnałów, telegrafów i t. p. Statystyka angielskiego Towarzystwa kolei północnej podaje, że jeden

dzień zawieruchy śnieżnej kosztował Towarzystwo 2 miliony koron, a dwa inne Towarzystwa musiały wydawać codziennie po po 32.000 koron na samo oczyszczenie toru, gdy przez cały tydzień padał śnieg. Podatnicy słusznie płaczą, gdy śnieg pada, bo to oznacza nowe wydatki na odmiatanie ulic.

W Londynie obliczają koszta jednorazowego odmiatania ulic ze śniegu, na przestrzeni jednej mili, na 8.000 kor. W innych miastach kosztuje to jeszcze więcej, a właściciele domów — naturalnie nie u nas — tysiące muszą codziennie wydawać za zamiatanie chodników przed domami.

Amazonki w Szangaju.

Rewolucya w Chinach znajduje także wśród płci zwolenniczki. Wszyscy starzy i młodzi zachwycają się rewolucyą.

Ciekawy jest list Chinczynek, uczenic wyższej szkoły żeńskiej w Szangaju, wysłany do rządu rewolucyjnego. List ten brzmi, jak następuje: »Już od dawna kobiety mają te same prawa i obowiązki, co mężczyźni. I my chcemy brać udział w oswobodzeniu naszej ojczyzny, która od czasów dynastyi mandżurskiej jęczy pod jarzmem obcych zdobywców. Wiemy, jakie niebezpieczeństwo straszne wojna w sobie kryje, ale nie mamy obawy, i życie nasze młode chętnie poświęcić chcemy na ołtarzu ojczyzny. Ożywione jesteśmy nadzieją, że po krwawych walkach Madżurowie z kraju zostaną wypędzeni i kraj nasz będzie naówczas szczęśliwy. W tym celu pragniemy utworzyć pułk dziewcząt i z niecierpliwością oczekujemy dnia, w którym w szeregach naszych męskich współbojowników będziemy mogły przypuścić szturm do wroga«.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rocznik IV. Kraków 1-go marca 1912. (Półrocze I-sze) Nr. 3

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** koron — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Pójdźmy w ich ślady!

Mimo niesłychanej ostrej walki wrogów Kościoła i ładu społecznego, udało się stronnictwu „centrum“ przy ostatnich wyborach do parlamentu niemieckiego utrzymać swój dotychczasowy stan posiadania z niewielką stratą kilku zaledwie mandatów.

Nasuwa się teraz pytanie, w jaki sposób katolicy niemieccy potrafili utrzymać się dalej, jako stronnictwo jedno z najsilniejszych, chociaż mieli przeciwko sobie olbrzymią falangę wrogów.

Odpowiedź jest łatwa. Siła katolików niemieckich tkwi w ich jedności, w ich wspaniale wyrobionej prasie i wzorowej organizacyi, przedewszystkiem zaś w sławnym „Związku ludowym dla katolickich Niemiec“ (Volksverein für das katholiche Deutschland). Dopóki katolicy w Niemczech tych r eczy nie stracą, tak długo zostaną niezwyciężeni.

Katolicy innych krajów powinni się wzorować na tych przykładach pod względem jedności, prasy i organizacyi. I wzorują się — ale nie u nas — lecz na Węgrzech, gdzie podobny, jak w Niemczech „Związek ludowy“ istnieje już od kilku lat i rozwija coraz gorętszą działalność dla dobra Kościoła i kraju

Z ostatniego sprawozdania tegoż „Związku ludowego“ dowiadujemy się, że niesłychanie szybki rozwój związku jest chyba bez przykładu w nowoczesnych dziejach ruchu ludowego: zgromadzić w przeciągu czterech lat około 300 tysięcy mężczyzn koło sztandaru prawdziwego szczęścia ludu — to chyba bardzo pomyślny wynik, który dowodzi jasno, co potrafi zdziałać potęga wielkiej idei i dobrze obmyślona, żywotna organizacya.

Do dnia 1-go października 1911 zgłoszono w centralnym zarządzie związku w Budapeszcie 279.320 członków, o 38.382 więcej, aniżeli ich było w roku 1910. W tem jest Węgrów 155.010, Niemców 66.115, Słowaków 52.435, Chorwatów 3.210, Rusinów 2.570, z 3.394 gmin. W 2.679 gminach organizacya jest przeprowadzona regularnie według statutu. To znaczy, że nici tej olbrzymiej sieci biegną niemal przez całe Węgry.

Ta armia jednak nie jest jeszcze do boju gotowa, bo brak jej oficerów, brak inteligencyi. Żeby temu brakowi zapobiedz, urządza kierownictwo „Związku“ dla intelligencyi kursa z naukowymi odczytami o różnych sprawach dotyczących „Związku“, a dla ludu odbywają się zebrania agitacyjne, oświatowe i naukowe. W tym względzie dokonano pracy wprost olbrzymiej, bo liczba zgromadzeń, na których omawiano sprawy oświatowe i inne, przekracza cyfrę 10 tysięcy. Gdzie nie można było szerzyć wzniosłych ideałów związkowych za pomocą żywego słowa, tam wysyłano odpowiednie pisma i druki. „Białych zeszytów“ związku ludowego rozdano w liczbie więcej jak dwa i pół miliona egzemplarzy. Pism ulotnych i innych druków wydano 1,210.006. Taka praca była możliwa tylko dzięki centralnemu zarządowi, który funkcyonował bez nagany. To biuro centralne ma 14 fachowo wykształconych urzędników.

Wobec takiej pracy zrozumiałą jest rzeczą, że wrogowie Kościoła, nie mogąc zaprzeczyć faktów, a chcąc osłabić wpływ „Związku“ przedstawiają ruch związkowy jako czynnik niebezpieczny, który zakłóca spokój w kraju.

Ale to właśnie jest dobrym znakiem dla „Związku“, bo nienawiść jego wrogów pokazuje, że „Związek“ jest

na dobrej drodze i będzie się starał coraz usilniej, aby fale niewiary i zepsucia nie zalały królestwa węgierskiego.

My, Polacy, patrzymy na Węgrów często z góry, mamy się za coś wyższego od nich, a jednak w tej sprawie, o której tu mowa, powinniśmy brać sobie z nich wzór i zabrać się do rzeczywistej pracy.

U nas już od dość dawna mówi się, że trzeba coś robić, ale jak ciężko zabrać się do prawdziwej pracy! Zazwyczaj zdobywamy się na programy i projekty, lada chwila powstają komitety i komisye z subkomitetami i subkomisyami i znowu wszystko na nic, znowu dawny rozgardyasz, bo się nie chcemy uczyć od drugich. Każdy chce „coś zrobić“, ale po omacku i na własną rękę a każdy zazwyczaj zaczyna budować od dachu, zamiast nabrać dość przekonania, że ta praca musi się zacząć u podstaw, a nie od stworzenia stronnictwa politycznego, że pierwszym krokiem jest lepienie komórek, które się złożą na wielki organizm.

My zawsze zawieszamy na ścianach piękne ramy, a nie masz, ktoby choć skromny obraz namalował. Nauczmy się od drugich, nie puszczajmy się na pole coraz to nowych wynalazków, lecz bierzmy to, co inni już próbowali i zakasawszy rękawy, zabierzmy się do twardej pracy, skromni, ufni w moc i siłę idei chrześcijańsko-społecznej, w imię Boże!

K.

O opiekę nad starcami.

Nigdzie zapewne w żadnym kraju nie ujrzy się tyle włóczącej się po ulicach miast i wiosek nędzy, jak u nas w Polsce, zwłaszcza pod zaborami rosyjskim i austryackim.

U nas gdzie się tylko ruszyć, wszędzie napotyka się żebrzących jałmużny dziadów lub baby błagalnie wyciągających ręce, a nawet wprost chwytających za odzienie przechodniów.

Gdy raz przybyła do naszego kraju bogata cudzoziemka i gdy tylko wyszła z wagonu na ulicę, została obstąpiona przez natrętne żebractwo. Cudzoziemka owa,

nie znająca naturalnie naszych stosunków społecznych, a w dodatku nie znając naszego języka — sądziła, że jest to napad jakiś, o jakich często czytała w gazetach i przelękła się nie na żarty. Dopiero dowiedziała się, że są to żebracy proszący jałmużny, zdziwiła się tembardziej, i zawołała: Dla Boga! jacyż tu są ludzie, jacy obywatele w tym kraju, że nie zaopiekują się tymi nędzarzami, że nie postarają się o jakieś schronienie dla tych nieszczęśliwych starców!.. Wszak u nas nikt dziada nie ujrzy na ulicy.

Można sobie wyobrazić, jaką opinię dała owa cudzoziemka o nas przed swoimi współziomkami, gdy powróciła na łono swego cywilizowanego kraju, widząc taką niezaradność społeczną u nas.

I słusznie... Bo my genialnością myśli nie jesteśmy niższymi od innych narodów, ale gdy przyjdzie coś zdziałać dla dobra ogólnego, choćby utworzyć jakąś opiekę nad nędzą wyjątkową — to niema, ktoby się tem zajął. U nas dużo się mówi, dużo się i pisze, porusza się sprawy nawet i wielkiej wagi, ale... nie czyni się ich, a tymczasem w innych krajach mniej mówią i piszą, ale wszystko już mają zrobione, co zrobić należało, i nic im prawie nie brakuje.

U nas, jeżeli coś się zrobi, to zaledwie w połowie, a przez to, zdaje się, jakby nic jeszcze nie było zrobione, i każda niemoc wyciąga ręce o pomoc, odbijając się na tle naszych stosunków czarnemi kolorami niezaradności i obojętności.

Smutna, niewesoła przyszłość...

Czas by już był nareszcie, ażebyśmy zaczęli coś działać; czas by już był, abyśmy się zajęli tą nędzą, która na każdym kroku rzuca nam się w oczy, wyciągając ręce i prosząc o wsparcie.

A nie trzeba nam na to robić z siebie dużej ofiary. Oto gdybyśmy tylko przez jeden rok wstrzymali się wszyscy od picia trunków alkoholicznych a grosz na nie dawniej stracony obrócili na ten cel — toby nam w zupełności wystarczyło na urządzenie takich ochron dla starców. Przepijamy rocznie kilkaset milionów koron, a więc, powstrzymajmy się tylko jeden rok chociaż od tego

nałogu, co nas poniża i gubi, a za te pieniądze otoczymy opieką tych, którzy powinni zasługiwać u nas na szacunek, a jednak wałęsają się po ulicach prosząc o kawałek chleba.

Jaka by to była wspaniała ofiara!.. Nie zrobiłoby nam to żadnego uszczerbku w naszym budżecie, a musiało by nam dać wiele przyjemności i zadowolenia moralnego, gdyż jednocześnie robilibyśmy dwie ofiary: jedną — wyrzekając się hańbiącego nałogu, jakim jest pijaństwo, a drugą, że wyrzekamy się tego nałogu dla tak wzniosłego celu, jakim jest opieka nad starcami.

Zaiste, byłoby to piękne i szlachetne... Warto by też o tem pomyśleć naprawdę.

Pomiędzy żebrakami a starcami jest dość zdrowych fizycznie, którzy mogliby jeszcze wykonywać różne lżejsze roboty, jako to: wyplatać koszyki, trzepaczki, robić miotły, szczotki i t. p.

Trzeba ich tylko umieścić w odpowiednim domu, zaopatrzyć w rzeczy potrzebne, a taki żebrak względnie niedołężny, może się jeszcze przydać na coś i zarobić nawet na swoje potrzeby. A więc, zakładać takie domy trzeba koniecznie i to nie w paru miejscach, ale wszędzie, w każdem mieście, w każdej większej wsi...

† Ks. Bronisław Markiewicz.

Pomiędzy działaczami społecznymi wielu było i jest takich, którzy szczególniejszą zwracali uwagę na zaniedbane dzieci i usilnie starali się o to, aby je od zepsucia zachować i na pożytecznych dla społeczeństwa ludzi wykierować.

Do takich należał zmarły 29-go stycznia bież. roku ks. Bronisław Markiewicz, który w zakładach, kierowanych przez Towarzystwo „Powściągliwość i Praca“ uratował 1.400 takich dzieci, które pozbawione opieki, zapełniałyby szpitale lub więzienia.

Już bowiem taka liczba wychowanków opuściła zakłady przez Towarzystwo prowadzone. Wszyscy niemal

są zdrowymi i pożytecznymi członkami naszego społeczeństwa i pracują skutecznie na rozmaitych placówkach. Wielu z nich zajęło nawet poważne stanowiska. Sądzimy, że czytelnicy „Światła“ zechcą poznać, jakiemi drogami prowadził Pan Bóg ks. Markiewicza do dzieła, jakiem było zajęcie się opuszczonemi dziećmi i dlatego kreślimy pokrótce jego czynne życie.

Ś. p. ks. Bronisław Markiewicz urodził się w roku 1842, w miasteczku Pruchniku, z mieszczańskiej, niezamożnej rodziny. Miał on czterech braci, z których każdy wybitne w społeczeństwie zajmował stanowisko. Najstarszy Michał, był profesorem gimnazyalnym, autorem dzieł geograficznych i historycznych, drugi Władysław był adwokatem w Krakowie, prezesem Izby adwokackiej, Starszym Arcybractwa miłosierdzia i Banku pobożnego, założonego przez ks. Piotra Skargę, wiceprezesem pierwszego wiecu katolickiego, trzeci Stanisław był właścicielem znanej firmy kupieckiej we Lwowie, czwarty Dominik, adwokat, zmarł w Krakowie licząc 37 lat życia. Ks. Bronisław ukończył gimnazyum w Przemyślu. Żyjący dotychczas kolega i rodak powiada o nim, że w gimnazyum o znaczał się nadzwyczajną pracowitością.

Po ukończonych studyach gimnazyalnych wstąpił do seminaryum duchownego w Przemyślu. Wyświęcony na kapłana w roku 1867 został wikaryuszem w Harcie, gdzie pracował do roku 1870. W tym roku przeznaczono go na wikarego katedralnego w Przemyślu. W parafii przemyskiej pracował szczególniej po wioskach należących do parafii, do których odbywał całodzienne katechetyczne wycieczki, nauczał po chatach i po polach. Kiedy w roku 1872 wybuchła cholera w Przemyślu, stał si Aniołem opiekuńczym chorych i ich rodzin.

Widząc, ile zależy na tem, aby młodzież gimnazyalna przejęła się i żyła według zasad katolickich, zapragnął poświęcić się tej młodzieży i aby zostać profesorem gimnazyalnym, udał się w roku 1873 na filozofię do Lwowa, a następnego roku do Krakowa.

Zdaje się, że go przekonano, iż więcej zdziała dla chwały Bożej i dla dobra społeczeństwa, jeżeli pracować będzie w duszpasterstwie, bo w rok 1875 objął probo-

stwo w Gaci. Po trzech latach przeniósł się na probostwo do Błażowej, gdzie obok pracy w duszpasterstwie zajął się podniesieniem tkactwa w okolicy Błażowej. W roku 1884 powołał go ówczesny ks. Biskup Solecki na profesora teologii pasterskiej, którą to katedrą zajmował się do roku 1886. Jako profesor teologii pasterskiej przygotował pracę: „O wymowie kaznodziejskiej“ dzieło dobre, które wydał znacznie później, bo w roku 1898.

W roku 1886 udał się do Włoch i wstąpił do zgromadzenia księży Salezyanów, pracujących nad opuszczonymi, zaniedbanymi chłopcami. W roku 1892 ofiarował mu ś. P. Jan Trzecieski probostwo w Miejscu Piastowem, które on przyjął. Powróciwszy do kraju zajął się, obok pracy parafialnej, opieką nad zaniedbanemi dziećmi i to najpierw w starej plebanii, którą stosownie przebudował, a później we wspaniałym gmachu wybudowanym ofiarami całego kraju. Obecnie znajduje się w zakładzie w Miejscu Piastowem przeszło 220 dzieci ze wszystkich dzielnic polskich, wydartych z nędzy i zepsucia, uratowanych dla społeczeństwa.

Ś. p. ks. Bronisław Markiewicz, tak zarządził swem dziełem, że pod względem materyalnym ma ono byt zapewniony. Można się spodziewać, że pod względem duchownym wychowankowie ks. Markiewicza w duchu swojego nauczyciela dalej prowadzić będą, a kiedy domy takie, jak w Miejscu Piastowem i Pawlikowicach znajdować się będą we wszystkich mniejszych miastach kraju naszego, wtedy rozwiązane będą szczęśliwie dwie piekące kwestye: pierwsza drobnego przemysłu w kraju naszym, druga Opieki nad zaniedbaną dziatwą naszych miast.

Hierarchia Kościoła katolickiego.

Pod tytułem: *Annuano Pontificio per l'anno* ukazała się dawna *Gerarchia cattolica* na rok 1912. Książka w zeszłym roku jeszcze liczyła 596 stron, obecnie ma ich 675.

Rocznik dzieli się na pięć części: 1) hierarchia katolicka, 2) kurya rzymska, 3) członkowie dworu papieskiego, 4) sekretaryaty i zarządy dworu papieskiego, 5) dodatek.

Z obfitej treści tego rocznika papieskiego wyjmujemy niektóre daty ważniejsze.

Kolegium kardynałów składa się obecnie z 62 członków, a mianowicie z 6 kardynałów Biskupów, 48 kardynałów kapłanów i 8 kardynałów dyakonów. Z tej liczby 28 kardynałów mianował Ojciec sw. Leon XIII., a 33 Pius X. Dziekan kolegium, kardynał Oreglia di Santo Stefano, mianowany jeszcze za pontyfikatu Piusa IX., w roku 1873. Najstarszy wiekiem jest kardynał Capecelatro, liczy obecnie 88 lat, najmłodszy kardynał Merry de Val 47 lat. Za pontyfikatu Piusa X. przeniosło się do wieczności już 34 kardynałów, a zatem prawie tylu, ile tenże Ojciec św. mianował nowych.

Zajmujące wiadomości podaje nam rocznik o hierarchii Kościoła. Kościół łaciński liczy 8 patryarchatów, 180 arcybiskupstw, 767 biskupstw i 25 stolic *nullius dioeceseos* bez żadnej dyecezyi). Kościół wschodni obejmuje 6 patryarchatów, 17 arcybiskupstw i 53 biskupstw. Nadto jest jeszcze 89 arcybiskupich i 521 biskupich stolic tytularnych. W krajach misyjnych jest 11 delegatów apostolskich, z których pięciu amerykańskich podlega Kongregacyi Konsystorskiej, sześciu zaś innych Kongregacyi Rozkrzewiania wiary; dalej 155 wikaryuszów i 68 prefektów apostolskich. Za panowania Piusa X. powiększyła się hierarchia katolicka o 10 arcybiskupstw 38 biskupstw, 18 apostolskich wikaryatów i 14 prefektur.

Zakony męskie — o żeńskich niema żadnej wzmianki — rocznik dzieli na 6 klas, a mianowicie: 1) Kanonicy regularni, n. p. przy kościele Bożego Ciała w Krakowie; 2) mnisi: Benedyktyni, Kameduli, Cystersi, Bazylianie: 3) zakony żebrzące: Dominikanie, Bracia Mniejsi, Franciszkanie, Kapucyni, Augustyanie i Karmelici; 4) klerycy regularni: Jezuici, Teatyni, Barnabici; 5) Kongregacye, n. p. OO. Zmartwychwstańcy, i 6) instytuty zakonne, n. p. Bracia szkolni we Lwowie.

Rozdział *la cappella e la famiglia pontificia* zawiera długie szeregi protonotaryuszy, prałatów domowych, szambelanów, kapelanów i innych dygnitarzy papieskich.

Dodajemy, że na całej ziemi liczba katolików wynosi obecnie przeszło 292 milionów i 787 tysięcy (Europa 188,577,058, Azya 13,661.498, Australia i Oceania 1,244.055, Afryka 2,689.839, Ameryka 87.614.635.

Taki to obraz przedstawia nam rocznik papieski — Kościoła Chrystusowego, którego gałęzie i konary cały świat obejmują.

Zwycięstwo czerwonych pogan.

Ostatnie, to jest tegoroczne wybory do parlamentu niemieckiego skończyły się walnem zwycięstwem socyalnych demokratów, prawdziwych czerwonych pogan.

Pisma polskie w zaborze pruskim sądzą, że przywódzcy socyalistów z tego zwycięstwa nie bardzo są — jak się zdaje — zadowoleni, bo teraz skończył się czas mądrowania i obiecywania.

Socyalni demokraci stali się teraz najsilniejszą partyą w parlamencie, a robotnik niemiecki będzie teraz żądał, aby pokazali, co umieją.

Lud roboczy polski wie dobrze, iż umieją oni tylko łgać i tumanić, ale robotnik niemiecki jeszcze w nich wierzy, bo głupszy od polskiego.

Dotychczasowa praca socyalnych-demokratów w parlamencie ograniczała się na wygłaszaniu popularnych mów wiecowych, aby się mogli ich mowcy pochwalić przed ludem, jakiemi są obrońcami jego.

Mogli się socyaliści dotąd zastawiać wymówką, że byli w mniejszości, chociaż byłaby się znalazła w parlamencie większość, któraby dla dobra ludu wiele zdziałać mogła, gdyby tylko socyalni demokraci byli chcieli rzetelnie i energicznie dla ludu pracować Ale oni tego nie chcieli, bo im było wygodniej stawiać żądania, których

żadna potęga świata spełnić nie może, aby się przed ludem pochwalić, jacy oni są przyjaciele ludu.

Zobaczymy, czy się to teraz wszystko zmieni. Partya socyalno-demokratyczna, jako najliczniejsza, a zatem i najwpływowsza, będzie miała sposobność do spełnienia swych obietnic, jakiemi lud roboczy tak chętnie obdarza, będzie miała okazyę pokazać, co to ona umie. Lud zaś, zwłaszcza ten, który w swem obałamuceniu politycznem oddawał kartki wyborcze na kandydatów socyalistycznych, niebawem przekonać się będzie mógł o tem, czy socyalni demokraci umieją i czy chcą uprawiać politykę korzystną dla ludu.

To jednak będzie nieraz strasznie niewygodną rzeczą dla socyalistów. Bo inna rzecz krzyczeć i udawać przyjaciela ludu, a inna rzetelnie pracować; inna rzecz, stawiać żądania, których nikt spełnić nie może, a inna uprawiać mądrą politykę. Polityka bowiem jest sztuką uzyskania tego, co uzyskać można, a nie tego, co socyaliści ciągle wmawiają w lud, aby go ogłupić. Skoro socyaliści będą chcieli teraz udowodnić, że zamierzają rzetelnie pracować dla ludu, trzeba im będzie nieraz układać się z rządem — stać się partyą „ugodową“! Przywódzcy socyalistów będą chodzili coraz częściej na konferencye z ministrami, a będą się musieli zrzec obietnic niewykonalnych, któremi przez długie lata okłamywali i łudzili lud.

Teraz musi się niebawem wykazać, czy partya socyalnych demokratów zechce korzystać z swoich sił i czy będzie pracowała rzetelnie dla ludu, czy też pozostanie na dotychczasowem stanowisku jarmarcznego krzykactwa. W każdym razie lud ma prawo żądać od najliczniejszej partyi w parlamencie, aby dla niego rzeczywiście coś zdziałała. Z chwilą jednak przystąpienia socyalistów do pracy rzeczywistej, zmaleją krzykaczom socyalistycznym gęby, a lud przekona się, że „ugodowcami“ staną się ci, którzy zwłaszcza Polaków tem mianem chętnie obdarzyli.

Co do nas, to co prawda nie wielką mamy nadzieję, żeby socyaliści, choć są dziś największą partyą w parlamencie, mieli cokolwiek zrobić dla ludu roboczego. Socyaliści tak się przyzwyczaili do ciągłego kłamania, tu-

manienia i ogłupiania szczególnie niemieckiego ludu roboczego, li tylko dla swej korzyści, li tylko na to, aby wyciągać ludowi roboczemu z kieszeni rocznie milionowe składki na wygodne życie swych przywódzców i agitatorów, że do uczciwej i szczerej pracy dla ludu robotniczego zabrać się nie będą chcieli. Bo najłatwiejszą rzeczą jest przecież mądrować i opowiadać tylko, co to się w przyszłości dla ludu roboczego zrobi — niż na prawdę rzetelnie i szczerze pracować w czasie obecnym dla niego, jak to n. p. czynili posłowie polscy, za co im w dodatku płacono niewdzięcznością.

To też sądzimy, że czerwoni towarzysze znowu znajdą jakiś sposób, żeby się wyłgać. Już oni tam niemieckim Michałkom znowu w jaki sposób nasypią piasku w oczy i już im tam wytłómaczą znowu, dla czego to niby nic zrobić nie mogą. Grunt, żeby nic nie robić, a udawać przed ludem, że się bardzo dużo robi. Tak nieraz co prawda i gdzieindziej się dzieje, ale najczęściej jednak u czerwonych towarzyszów.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Zygmunt Krasiński ujrzał światło dzienne w Paryżu 1812 roku dnia 19-go lutego. Ojcem Zygmunta był hr. Wincenty, walczący w tym czasie pod Napoleonem w randze generała, następnie po jego upadku w wojsku polskiem, ale już pod panowaniem rosyjskiem. Matką była Marya z książąt Radziwiłłów. Generał Krasiński, sam człowiek oczytany, wykształcony, dziecku swemu chciał oprócz dóbr Opinogórskich, zapewnić majątek umysłowy. Pierwszym nauczycielem ośmioletniego Zygmunta był Józef Korzeniowski, potem Chlebowski, a wreszcie Jakubowski, człowiek wielce ceniony współcześnie dla wielkiej nauki. Kiedy w roku 1826 młody Krasiński wstąpił do Liceum Lindego już był dobrze przygotowany i wyróżniał się szczególniejszą znajomością łaciny. Jego przekład »Świtezianki« Mickiewicza w podziw miał wprawić nauczycieli i uczniów.

W 13 roku życia pisywał już bardzo mądre poetyczne listy, w 16 i 17 roku rozmaite utwory i powieści, w których przebijała gorąca miłość kraju ojczystego. Roku 1828 wstąpił na uniwersytet warszawski. Tu poznał Konstantego Gaszyńskiego i Kostantego Danielewicza.

Naraz pokrzyżowało mu się życie. W tym czasie młodzież stawała w szeregach walczących za wolność narodową— młody Zygmunt chciał iść z drugimi — ale ojciec przeciwny wszelkim szlachetnym wprawdzie, jak mówił, ale nierozsądnym porywom, najsurowiej zabronił mu tego i wysłał go do Genewy, gdzie zetknął się z Mickiewiczem, a następnie do Rzymu. Tu w roku 1831 w 22 roku życia przychodzą mu pomysły do dwóch dzieł filozoficzno powieściowych: Irydyona i Nieboskiej Komedyi. Prócz tych i innych głównych dzieł, zostawił po sobie wiele jeszcze innych, jak »Przedświt«, »Psalm żalu», »Psalm dobrej woli«, które są pełne wiary i zapału w słuszność sprawy narodowej i moc Bożą, i w zakryte dla nas rządy Opatrzności. Często przebywał w kraju, jak w Warszawie i innych miastach. Był ożeniony z hr. Elżbietą Branicką, którą poznał w Petersburgu. W roku 1857 sierpień i wrzesień przepędził w Złotym Potoku, gdzie opłakał śmierć swojej kilkoletniej córeczki Aniołeczka Elski, jak mówił Krasiński. Tu prawdopodobnie przebywając i patrząc zdala na wieżę klasztoru Jasnogórskiego powtarzał wiersz jeden ze swoich wizyi ułożonych na cześć N. Panny:

W koło herby — tarcze znaki
I tłum szabel i szyszaki
Przeciągają. — Patrz! tam żywa
Twarz z powietrza się wyrywa,
Twarz, czy widzisz, Anielicy!
Jak gwiazdeczka na ciemnicy
W górze, w górze zawieszona,
Wschodzi, weszła — tli — drga — płonie.
Ot z błękitów i szkarłatów
Już otacza ją przesłona!
Na tle pereł, na tle kwiatów
Dyamentowa lśni korona...
W krzyż na piersiach zwite dłonie,
Złote gwiazdy na jej łonie,

Czy poznajesz ty, kto Ona?
Witaj, witaj — to Królowa —
Po swym ludu długo wdowa,
I dziś wraca w tej koronie,
Którą w polskiej Częstochowie
Niegdyś dali Jej Ojcowie;
I tych ojców przez te tonie
Patrz prowadzi...

Na Jasnej Górze znajduje się votum Zygmunta Krasińskiego, w postaci obrazka M. B. Częstochowskiej w ramce złotej, ofiarowanego w roku 1851 na pamiątkę cudownego uzdrowienia syna Władysława, zmarłego w rok 1873.

Krasiński chory, cierpieniem złamany wyjechał do Drezna 1858 roku, a potem do Paryża dla poratowania zdrowia. Dnia 13-go lutego 1959 roku położył się do łóżka, aby więcej z niego nie powstać. Po dziewięciu dniach niewymownych cierpień w nocy 23-go lutego 1859 roku zamknął na zawsze powieki. Ciało sprowadzono do Warszawy dnia 2-go czerwca wystawiono w kościele Kapucynów, a we dwa dni później tłumy ludu warszawskiego przeprowadziły śmiertelne szczątki wieszcza daleko za rogatki. Była to wielka uroczystość. Trumnę złożono w grobach familijnych w Opinogórze. Tu czeka Krasiński spełnienia swych pragnień i modli się za nami słowy swego »Psalmu dobrej woli«:

Zmiłuj się Panie! broń nas — bądź Ty z nami!
. . . .

A wspomnij, wspomnij, żeśmy dawne sługi,
Że nim wiek począł się ten dziejów drugi,
My w przeszłym wieku twój nakaz już czcili
I nie czekali chwil spełnionych chwili,
By uznać Ciebie za ziemskiego Władcę
W Królowej Polskiej — Twojej ziemskiej Matce.
Odtąd w mgły czasów naród wyjawiony,
Z ciał polskich — polskich dusz wyszło miliony
Z Jej świętem śmierci na ustach imieniem!
Niech im dziś Ona od wspomnień wspomnieniem!
Niech z wielką zmarłych tych ubrana chmurę,
Na tych niebiesiech do Ciebie się modli,

By nie związali nam stóp dążnych w górę
Szatani z piekła — lub też ludzie podli
Spójrz na Nią, Panie! — Śród Serafinów grona
Oto u Tronu Twego rozklęczona —
A na Jej skroniach lśni polska korona.

Słuszność wymaga, aby cały naród uczcił stuletnią pamięć tak wielkiego męża, jakim był Zygmunt Krasiński. Modląc się do Matki Najświętszej w Jasnogórskim obrazie cudownej za tego, który nauczył nas, jak mamy czcić i kochać ideały narodowe, powtarzajmy często do Boga:

Błagamy ciebie razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu...
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serca czyste —
Odnów w nas umysły — z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr twych dobro — daj nam dobrą wolę!

Statystyka uczniów i uczenic szkół średnich w Austryi.

Ze świeżo nadeszłych do ministerstw oświaty wykazów liczby uczniów uczęszczających do średnich w Austryi, pokazuje się — że ogólna liczba uczniów gimnazyalnych wynosi w bież. roku szkolnym w Austryi 105.102 (w tem 3.584 uczenic), a mianowicie:

Austrya dolna	12.869	(412)
Austrya górna	2.324	
Siedmiogród	562	(29)
Styrya	3.246	
Karyntya	1.065	
Kraina	2.407	
Pobrzeże	3.394	
Tyrol	4.123	
Czechy niemieckie	7.534	(62)
Czechy czeskie	11.236	(720)
Morawa niemiecka	2.418	

Morawa czeska	5.226	(118)
Śląsk	2.383	
Galicya	37.855	(2.243)
Bukowina	6.142	
Dalmacya	1.338.	

Uczniów szkół realnych jest 49.065, z czego przypada na Galicyę tylko 4.014, (Austrya dolna 10.293, górna 864, Solnogród 369, Styrya 1.848, Karyntya 405, Kraina 758, Pobrzeże 2.093, Tyrol 961, Czechy niemieckie 5.151, Czechy czeskie 10.732, Morawa niemiecka 4 017 i czeska 4.706, Śląsk 1.468, Bukowina 657, Dalmacya 722).

Razem zatem liczba uczniów szkół średnich w Austryi wynosi 164.066 (w tem 3.584 uczenic).

Do liceów żeńskich z prawem publiczności uczęszcza ogółem 11.286 uczenic (Austrya dolna 2.902, górna 376, Solnogród 92, Styrya 219, Pobrzeże 1.027, Tyrol 272, Czechy niemieckie 639, Czechy czeskie 1.1*7, Morawa niemiecka 685 i czeska 307, Sląsk 62, Galicya 1.619, Bukowina 1.281).

Wzrost i ubytek ludności żydowskiej.

Niedawno wyszła w Berlinie książka Dra Rupina pod tytułem: „Żydzi w dobie obecnej“, zawierająca cyfry wzrostu i ubytku ludności żydowskiej w poszczególnych epokach.

Autor podaje jako ilość ludności żydowskiej obecnie dziesięć milionów.

Cyfra ta jest wynikiem długotrwałego wzrostu.

Wedle obliczeń Dra Rupina, wynosiła ludność żydowska po powrocie z niewoli babilońskiej, zatem 2.500 lat w stecz — 100.000. W czasach narodzin Chrystusa było 4 miliony żydów, z czego 70 tysięcy mieszkało w Palestynie; zatem więcej niż pięć szóstych mieszkało już przed zburzeniem Jerozolimy poza Palestyną; z tego 1 milion w Egipcie, 1 milion w Syryi.

Począwszy od XIV. wieku zaznacza się ubytek ludności żydowskiej, a złożyły się na to rzezie i prześlado-

wania, tak, że w połowie XIV. wieku pozostał tylko milion żydów. Odtąd liczba ich poczyna wzrastać, a z początkiem XIX. wieku wynosi 3 miliony.

Wzrost ludności żydowskiej nie zaznacza się równomiernie we wszystkich krajach. Zdanie o nadmiernym rozroście żydów jest przesadne. Liczba nowonarodzonych jest u nich znacznie mniejsza, aniżeli u ludów, wśród których mieszkają. W Rosyi n. p. rodzi się na tysiąc osób rocznie 31 dzieci żydowskich, zaś 51 rosyjskich. Większą ilość dzieci ma ludność uboższa.

W krajach, gdzie żydzi stanowią warstwę bogatą, procent wzrostu jest znacznie mniejszy, aniżeli w krajach o ludności przeważnie ubogiej. W Prusiech rodzi się na tysiąc osób 99 dzieci, w Austryi 32 dzieci żydowskich. Mała stosunkowo ilość narodzin mogłaby wskazać na to, iż rozrost ludności żydowskiej jest stosunkowo mniejszy, aniżeli ludności innych wyznań, ale temu zapobiega ta okoliczność, iż liczba wypadków śmierci dzieci, jest znacznie u nich mniejsza, w ogóle zaś osiągają późny wiek życia.

Na liczebny wzrost lub ubytek wpływa niemało ilość przyjmujących wiarę chrześcijańską. Przyjmowanie chrztu było dość częste zwłaszcza w wiekach średnich. W roku 1200 było w Kastylii 850 tysięcy żydów, w roku 1474 zmniejszyła się ich liczba na 700 tysięcy, a i ci przyjmomali chrzest. Z początkiem XIX. wieku przybiera większe rozmiary chrzest w Niemczech. W Berlinie w czasie 1819 do 1823 roku, zatem w przeciągu czterech lat ochrzciła się połowa ludności żydowskiej.

Rzadkie są w historyi fakty przechodzenia na żydostwo. W pierwszym tylko wieku po Chrystusie dużo Rzymian przyjmowało wiarę żydowską, zaś w drugim wieku kilka szczepów arabskich, ale i te póź iej przeszły na mahometanizm.

Obecnie najmniej wychrztów liczy Rosya, wypada tu rocznie jeden na 4 tysiące, w Austryi jeden na 2 tysiące, na Węgrzech jeden na 1.700, w Niemczech jeden na 1.230. Na Węgrzech *przyjmuje rocznie przeszło 400 chrześcijan religię żydowską*, a przy-

czyną tego, małżeństwo, w Niemczech przechodzi na żydostwo z tego powodu rocznie 23.

Wypadki chrztu zdarzają się najczęściej w wielkich miastach. Pierwsze miejsce zajmuje Wiedeń, potem Berlin, dalej Budapeszt. Małżeństwa mieszane pojawiają się dość często u żydów. W Niemczech szósta część małżeństw żydowskich jest mięszaną, w Prusiech podniosła się liczba małżeństw mięszanych w ostatnich 15 latach. Najwięcej małżeństw mięszanych między żydami, a chrześcijanami jest w Szwecyi, Danii, Francyi i Australii, pierwsze zaś miejsce zajmują wielkie miasta; w Berlinie trzecia część żydów zawiera małżeństwa mięszane. Większość dzieci z małżeństw mięszanych chrzci się, tylko 10 do 15 procent pozostaje przy żydostwie, głównie tam, gdzie ojcowie są żydami.

Rozmaitości.

Agitacya „wolnej myśli" wśród młodzieży szkolnej. Do kolegów i koleżanek wydało odezwę „Zjednoczenie", będące organizacyą tak zwanej postępowej młodzieży — stojącej pod sztandarem masońskiej „Wolnej myśli".

W odezwie tej, którą naturalnie pisali żydzi i socyaliści do spółki, zastawiono łapki na młodzież polską. Odezwa zwraca się do młodzieży szkół średnich męskich i żeńskich (!!), aby zapisywali się licznie do tej organizacyi samokształceniowej, której zadaniem jest kształcenie wolnej myśli, bo szkoła dzisiejsza „zostająca pod przemożnym wpływem klerykalizmu (!) dławi wszelki odruch wolnej myśli i wpływa na wytwarzanie się szowinizmu narodowego"!!

Coś podobnego nie odważył się jeszcze nikt powiedzieć o szkole galicyjskiej. — W każdym razie wstrętną tą odezwą powinny się zająć, jak również tem „Zjednoczeniem" władze i wyświetlić jego działalność, aby raz położyć kres bezczelnym napaściom na naszą religię.

Litwini do Watykanu. „Litwini z parafii Naczskiej i Raduńskiej w powiecie lidzkim, wysłali za pośrednictwem departamentu spraw duchownych wyznań obcych skargę do Papieża na Polaków, którzy przemocą sprzeciwiają się wprowadzeniu języka litewskiego do nabożeństw

„W skardze wspomniano, że Litwini z parafij wymienionych odwoływali się do Administratora dyecezyi wileńskiej, X. Michalkiewicza,

ale prośba ich pozostała nieuwzględniona. Dochodzenie w tej sprawie było powierzone X. dziekanowi Gintowtowi, który we własnej parafii prowadzi politykę polonizatorską. Litwini proszą, aby Papież polecił rzecz całą zbadać osobie pochodzenia nie polskiego".

Że w tem wszystkiem jest ręka moskiewska — tego udowadniać nie potrzeba. Rosya popiera usiłowania Litwinów, aby ich prędzej od Polaków oddzielić i przyciągnąć do prawosławia.

Chrzty żydów w Wiedniu. Ukazał się obecnie statystyczny wykaz żydów w Wiedniu, którzy w ostatnich dziesięciu latach przeszli na chrześcijaństwo:

W roku 1902 przeszło 658 żydów na chrześcijaństwo, w 1903 — 639, w 1904 — 618, w 1905 — 606, w 1906 — 658, w 1907 — 603, w 1908 — 624, w 1909 — 565, w 1911 — 571 żydów.

Z tabeli tej widocznem jest, że od roku 1908 liczba stale zmniejsza się. Co do grup społecznych, z których rekrutują się osoby zmieniające wyznanie — to pierwsze miejsce zajmują dziewczęta, które wychodzą za mąż za chrześcijan, drugie co do ilości miejsce zajmują fabrykanci i więksi przemysłowcy, a w dalszym rzędzie idą adwokaci, literaci i artyści.

Zamykanie czytelń w Królestwie. Po porozumieniu się z ministerstwem spraw wewnętrznych generał-gubernator warszawski rozwiązał w dyecezyi płockiej „Towarzystwo bibliotek parafialnych" z powodu, że na podstawie przedstawionych katalogów władze uznały działalność tego Towarzystwa za „niezgodną z zamiarami rządu".

Rozporządzenie to nie ma nic wspólnego z poprzedniem rozporządzeniem ministerstwa o zamknięciu wszystkich bibliotek i czytelń katolickich Związku katolickiego w całem Królestwie Polskiem. Towarzystwo bibliotek parafialnych istniało tylko w dyecezyi płockiej i liczyło 70 bibliotek.

Wzrost długów austryackich. Ostatniego sierpnia ubiegłego roku odbyło się ostatnie posiedzenie parlamentarnej komisyi długu państwa, której działalność trwała cztery lata i dwa miesiące.

Według sprawozdania tej komisyi wzrósł w ciągu tego czasu dług państwa austryackiego o 2.264,378.69 K czyli z 9.847,071,883 K na 12.111,449.952 K, zaś odsetki od tegoż o 83,637.121 K, a mianowicie z 394,207.541 K na 477,844.662 K. Z tej nadwyżki przypada 47,610.546 K na odsetki długu od objętych w tym czasie przez państwo kolei, zaś reszta 36,026.574 K na odsetki od innych długów. Zwiększenie tych długów powstało wskutek upaństwowienia kolei prywatnych wartości 1.363,073.709 K i wydania renty państwowej w kwocie 901,394.360 K

Ogładzanie robotnika polskiego Robotnik Bury z Bielska zwrócił się do katowickiego miejskiego biura wskazywania pracy o robotę. Biuro to wskazało mu posadę służącego w hotelu Friesera w Katowicach przy ulicy Jana. Hotelista przyjął go do pracy.

Gdy jednak później robotnik poszedł zameldować się do „centrali“ na urząd celny, napisano mu na legitymacyi: „Der Mann ist Nation Pole und als derjenige kann er im Gesinde nicht beschaeftigt werden“. (Człowiek ten jest narodowości polskiej i jako taki nie może być jako służący zatrudniony). Następuje podpis: Grenzamt Kattowitz i t. d.

Oto suchy wypadek, któy dowodzi, że hakatyzm usiłuje ogłodzić Polaków i pozbawić ich zarobku i chleba.

Wykopane stare monety. W Leszniowie nad Styrem wykopali wieśniacy szklanną, czworoboczną flaszkę, w której znajdowało się przeszło ośmset drobnych monet. Inżynierowi p. Kornelli udało się uratować 745 sztuk razem z flaszką. Między temi jest 275 polskich monet, pochodzących z czasów Jana Kazimierza, jest i kilka sztuk monet pruskich, elektorów Jerzego Wilhelma i Fryderyka Wilhelma, a są także i szwedzkie króla Gustawa, królowej Krystyny i duńskie króla Krystyana II. Prawdopodobnie kiedyś należały one do jakiegoś z uczestników wyprawy duńskiej. Obecnie znajdują się w posiadaniu p. Korneli.

Ile wydają państwa rocznie na flotę Angielskie ministerstwo marynarki ogłosiło następujące daty statystyczne o wydatkach państw na flotę w roku 1941:

Anglia	1.112,051.175	franków
Francya	417,034.550	„
Rosya	331,759.400	„
Niemcy	202,771.475	„
Włochy	209,498.500	„
Stany Z. A. P. . .	664,614.275	„
Japonia	220,075.375	„

Listy - telegramy. W Niemczech od października zeszłego roku wprowadzony został nowy rodzaj korespondencyj pocztowo-telegraficznej, a mianowicie tak zwane listy-telegramy. Są to właściwie telegramy, nadawane w godzinach między 7-mą wieczorem, a 12-tą o północy i wysyłane na miejsce przeznaczenia przy pomocy przewodników telegraficznych, a następnie doręczane adresatom, jako zwyczajna korespondencya listowa, o ile możności przy pierwszem jej roznoszeniu.

Dla listów-telegramów wprowadzona została zniżona taryfa telegraficzna, wynosząca jednego feniga od wyrazu; opłata za jeden taki list ogólna wynosić może nie mniej, jak 50 fenigów. Przyjmowanie listów telegramów dokonywane jest we wszystkich stacyach telegraficznych. Doręczanie ich pocztą odbywa się bez żadnej specyalnej dopłaty.

Handlarze dziewczętami Policya paryska aresztowała szajkę handlarzy dziewczętami, której „specyalnością“ było uprowadzanie i sprzedawanie tak zwanych polskich żydówek. Aresztowanie nastąpiło w chwili, kiedy niecni handlarze zabierali się do odjechania pociągiem nad morze, aby ztąd wyruszyć dalej do Ameryki.

U jednego z nich znaleziono różnych kosztowności za około 40 tysięcy franków, które prawdopodobnie pochodzą z kradzieży.

Najwyżej płatni urzędnicy w Rzeszy niemieckiej. Rozpowszechnione jest zdanie, że kanclerz niemiecki wśród urzędników Rzeszy pobiera największą pensyę. Zdanie to jest mylne. Kanclerz pobiera 36 tysięcy marek pensyi i 64 tysiące marek na koszta reprezentacyjne. Oprócz tego ma wolne pomieszkanie w pałacu kanclerskim.

Sześciu innych dyplomatów pobiera jednak wyższą pensyę, aniżeli kanclerz. A mianowicie największe pensye pobierają ambasadorzy niemieccy w Londynie i Petersburgu. Każdy z nich otrzymuje 150 tysięcy marek, obok wolnego pomieszkania, 120 tysięcy marek prócz wolnego pomieszkania pobierają ambasadorzy w Konstantynopolu, Paryżu, Waszyngtonie i Wiedniu. Po 100 tysięcy marek ambasadorzy w Rzymie i Madrycie. Następnie idą ambasady w Tokio z 80 tysięcy marek, w Pekinie z 75 tysięcy marek, w Teheranie z 60 tysięcy, w Meksyku z 55 tysięcy i w Rio de Janeiro z 53 tysięcy marek.

Sprzedawczykowstwo na Litwie. Mamy do zanotowania świeży smutny fakt zaprzepaszczenia ziemi polskiej na Litwie. Siostry Ogińska i z Ogińskich Oskierczyna przed paru tygodniami u jednego z rejentów wileńskich sprzedały Bankowi włościańskiemu majątek rodzinny Użmionę, w powiecie dziśnieńskim za 150 tysięcy rubli. Użmiona, obejmująca przeszło tysiąc dzies. ziemi wybornej z lasem, leży niepodal Dryssy, w sąsiedztwie Franopila, sprzedanego niedawno przez książąt Lubomirskich, również Bankowi włościańkiemu. Jak wiadomo Bank włościański sprzedaje ziemię przedewszystkiem chłopom rosyjskim.

Szczególna gorliwość o chwałę Bożą okazuje młoda Weronika Murphy, która się wykształciła u Sióstr szkolnych w Chicago. Jest majętna z domu, a swój talent muzykalny obraca na budowanie kościołów i kaplic. Jeździ po kraju tam, gdzie ją zapraszają do dawania koncertów, a dochody z tychże wpływają do funduszów kościelnych.

W roku 1910 w stanie Waschington w małej miejscowości wybudowano jej nakładem kaplicę. W tym roku spodziewa się tyle zebrać, żeby z tego można dwie kaplice wystawić. Dochód z każdego koncertu, który wykonuje, kładzie do banku w Chicago, aż wzrośnie suma, potrzebna do budowy kaplicy.

Ona też przyczyniła się do wybudowania pierwszego wagonu kaplicznego, który na kolei żelaznej jedzie na miejsca, gdzie katolicy mieszkają rozproszeni między inowiercami. Zaiste, nowoczesna bohaterka!

CZĘŚĆ POWIEŚCIOWA i NAUKOWA.

Jak dawno człowiek żyje na ziemi.

(Dokończenie).

W wielu jaskiniach znaleziono ślady, z których można poznać, że w nich przed wiekami, bo przed 200.000 lat — jak liczą niektórzy uczeni — mieszkali ludzie. Inni jednak udowodnili, że głębokość, w jakiej odkryto w jaskiniach narzędzia kamienne ręką ludzką obrobione, nie daje wcale powodu do odnoszenia ich aż do tak odległej przeszłości.

Dr. Schlieman odkopał resztki miasta Troi w głębokości 20 do 30 metrów, a przecież zburzenie tego miasta przypada na czasy historyczne. W muzeum w Montpellier znajduje się działo, które znaleziono w ujściu Rodanu, głęboko pod pokładem wapienia, a przecież nie zbyt wiele czasu musiało upłynąć od jego zatopienia. Głębokość przeto wykopalisk nie może wcale stanowić dowodu zbyt wysokiej starożytności, a już wcale nie takiej, jak to wyżej wspomniano.

Blisko niektórych wybrzeży morskich, szczególnie w Danii, znajdowano w głębokości trzech metrów kupy odpadków na 30 do 500 metrów długie, składające się z muszli, kości bydlęcych, naczyń kamiennych i skorup z garnków. Między temi kośćmi trafiały się też kości głuszca. Z tej osobliwości wnioskowano, że tam niegdyś rosnąć musiały świerkowe i jodłowe lasy, bo głuszce żywią się pędami tych drzew. Tymczasem od setek lat niema już w Danii lasów świerkowych i jodłowych, a tylko w pokładach torfowych tu i ówdzie napotkać można stare pnie świerkowe i dębowe, a w górnych warstwach bukowe.

Z tego dalej wywnioskowano znowu, że czas lasów świerkowych był przed 16-tu tysiącami lat, a więc i te kupy śmiecia i w nich ślady życia ludzkiego muszą z owych czasów pochodzić, czyli, że człowiek żył już w Danii przed 16 ma tysiącami lat.

Lecz i te wszystkie obliczenia są błędne. Porost lasów zmienia się bowiem nie w setkach lub tysiącach lat, ale w dość krótkim czasie. Historyk rzymski Tacyt opowiada, że słoneczne dziś okolice nadreńskie, pokrywał za jego czasów ciemny bór, z którego dziś niema śladu, a Tacyt żył przed niespełna dwoma tysiącami lat.

Z lasów i gajów świętych opiewanych przez starożytnych greckich poetów, dziś śladów nawet odszukać nie można — a przecież te gaje istniały nie na wiele lat przed Chrystusem.

Zresztą widzimy, że n. p. po pożarze lasu wyrastają na tem samem miejscu inne zupełnie gatunki drzew. Jeżeli zaś taka zmiana nie nastąpi przez pożar lub wycięcie — to nastąpić musi sama z siebie w ciągu wieków.

A więc i owych kup śmiecia na wybrzeżach Danii nie można odnosić aż do dziesiątek tysięcy lat wstecz, tem więcej, że wśród nich wiele jest kości turów — a te zwierzęta żyły tam jeszcze w czasach nie zbyt dawnych.

Roczny przyrost pokładów torfowych nie może być także brany w rachubę do mierzenia okresów czasowych, bo przyrost ten zależy głównie od wilgoci i stosunków klimatycznych. Mamy przykłady nadzwyczaj szybkiego przyrostu torfu. Koło Flensburga znajdowano tarcze rzymskie pod warstwą torfu na 10 do 11 stóp głębokiej. W Frieslandzie wypełniają się sześciostopniowe doły na torfowiskach w przeciągu 30 lat. W Islandyi kopią torf co 10 lat na tych samych torfowiskach. W bagnie torfowym w Sraffodshire znaleziono w głębokości 18 stóp monetę króla Edwarda IV., który umarł w roku 1483. Stąd też najwięcej prawdopodobnem jest twierdzenie uczonego Steenshupa, który owym kupom odpadków znalezionym w Danii przypisuje wiek około 4 tysięcy lat.

* * *

Gdy w roku 1853/4 wskutek nadzwyczaj suchej zimy stan wody jeziora Zurychskiego i w ogóle wszystkich jezior szwajcarskich był bardzo niski, chcieli mieszkańcy nadbrzeźni wyzyskać tę okoliczność, aby wodzie wydrzeć kawałki ziemi.

Stawiano więc mury, a mniejsze próżnie napełniono szlamem. W jednej części uzyskanej w ten sposób przestrzeni, natrafiono na wielką ilość pali obramowanych, pomiędzy którymi znaleziono wiele odpadków świadczących o ludzkiej działalności i czaszkę ludzką.

To odkryoie stanowi dowód, że pierwotni Szwajcarowie budowali mieszkania na wodzie. Znaleziono tam topory, kamienie, kości dzików i jeleni, groty strzał i skorupy naczyń glinianych. Poczęto więc szukać w innych jeziorach i wszędzie znaleziono ślady budowli na polach. Także w Austryi, na Węgrzech, w Bawaryi i w ogóle na wszystkich jeziorach europejskich natrafiano na ślady podobnych budowli.

Te budowle miały nieraz dość pokaźne rozmiary. Znajdowano w niektórych miejscach do 100 tysięcy pali, na których stały całe wsi nadwodne.

Początkowo uczeni dawali tym budowlom wiek, od 6 do 10 tysięcy lat. Dziś jednak przyszliśmy do przekonaia, że one są znacznie późniejsze. Według Pfaffa, w niektórych wsiach nadwodnych mieszkali ludzie jeszcze na kilka wieków przed Chrystusem, bo świadczą o tem znajdowane wśród pali kości kur, które dopiero około VI. wieku przed Chrystusem do Europy przywieziono z Azyi.

W budowie palowej koło Sipplingen znaleziono włócznie, groty lance, miecze i sierpy rzymskiego wyrobu, a nie brak także rzymskich cegieł. Uczeni francuscy odnoszą budowle na palach nad Izerą do czasu panowania Karolingów, a jeden z arabskich pisarzy wspomina o takich budowlach jeszcze w XIV. wieku.

Wirchow twierdzi, że wioski nadwodne istniały w Prusach jeszcze po X. wieku Zresztą budowle na palach frafiają się jeszcze obecnie nad brzegami mórz i rzek.

Niewłaściwem jest także mniemanie, że mieszkańcy tych budowli nadwodnych byli ludźmi półdzikimi i niecywilizowanymi. Przecie ci ludzie, uzbrojeni kamieniem i koś-

cią trudnili się rolnictwem. Oprócz naczyń zwęglonych i pieczonego chleba znaleziono naczynia do rozgniatania ziarna i miary do mierzenia, siano, pszenicę i jęczmień. Umieli oni także prząść i tkać, bo znaleziono wśród chat nadwodnych szczątki tkanin i wrzeciona. Hodowali zwierzęta domowe, jak o tem świadczą kości wołów, koni, psa, świni, osła, kozy i owiec. Także nie ulega wątpliości, że mieszkańcy chat nadwodnych prowadzili handel z oddalonymi krajami. Artykułami ich handlu był bursztyn, zboże i len. To też niektórzy uczeni najdawniejsze budowle palowe datują na VI. wiek przed Chrystusem.

Z szlamu rzek i odsypisk, w których znachodzą się często ślady po ludziach, próbowano również oceniać wiek istnienia rodu ludzkiego. W ujściu rzeki Missisipi (w Ameryce) znaleziono czaszkę Indyanina, której dawano 57 tysięcy lat.

W mule nilowym znajdowano skorupy gliniane, pochodzące niby z przed 20-tu tysięcy lat — a według Dra Schmidta tylko z przed 1676 lat — ale i ta ostatnia cyfra jest bardzo niepewna.

Te obliczenia z odsypisk i mułu rzecznego są z gruntu fałszywe, bo przecie rzeki w dawnych czasach, szczególnie w epoce lodowej toczyły inne masy wód, jak dzisiaj.

Dupont mówi, że w epoce mamutów koryto Mozy miało szerokości 12 kilometrów, kiedy obecnie zaledwie 60 metrów.

Sekwana w okolicach Paryża była niegdyś na 6 kilo metrów szeroka, dziś jej koryto ma tylko 37 metrów; Ren koło Strasburga był 48 razy szerszy, jak obecnie.

Wskutek obfitszych opadów atmosferycznych w pokrytej lasami Europie i wskutek tajenia lodowców dzisiejsze małe rzeki były niegdyś potężnymi strumieniami.

* * *

Z powyższych wywodów wynikałoby, że błądzą ci, którzy twierdzą, iż ludność istnieje na ziemi dawniej, niż 6 tysięcy lat a słuszność mają ci, którzy opierając się na Piśmie świętem dowodzą, iż człowiek pojawił się na ziemi

nie zbyt dawno, bo dopiero 6 tysięcy lat wstecz. I tak też wierzy i mniema wielu katolików.

Niestety, to drugie mniemanie przypisujące rodzajowi ludzkiemu pojawienie się jego na ziemi dopiero przed 6-ma tysiącami lat — jest błędne, chociaż Pismo święte pozornie je popiera. Mówimy »pozornie«, gdyż nowsze badania Pisma św., a zwłaszcza krajów, w których była kolebka ludzkości, wykazują dawniejsze istnienie rodzaju ludzkiego.

Ks. Dr. Musil, profesor języków wschodnich na wydziale teologicznym w Wiedniu w dziełku swem »Od stworzenia do potopu« pisze, iż według prawdziwej nauki nie wiemy po prostu, ile lat upłynęło od stworzenia pierwszej materyi światowej, aż do czasu, kiedy się z niej ukształtowała ziemia do tego stopnia, że człowiek mógł na niej zamieszkać.

Prawdziwa nauka — mówi dalej ks. Dr. Musil — naucza nas o stosunkach jakie na 4 tysiące lat panowały przed Chrystusem w znanym wówczas świecie, ale nigdy nie może ona podać dokładnie liczby lat od Adama do Chrystusa Pana, bo tej liczby znać nie może.

Święty Hieronim, największy znawca Pisma św, tak się wyraża o tych, którzy na podstawie Pisma św., chcą obliczać lata stworzenia świata i człowieka: »Przeczytaj wszystkie księgi Starego i Nowego Testamentu, a znajdziesz takie różnice, co do liczby lat, że ten, kto się tą sprawą uporczywie zajmuje, nietylko nic nie wskóra, ale nadto niepotrzebnie drogi czas marnuje«.

Raz na zawsze trzeba to sobie spamiętać — że Pismo święte można tłumaczyć w rozmaity sposób. Nie powinniśmy więc trzymać się uporczywie jednego tylko wykładu, jak gdyby on tylko był prawdziwy, zwłaszcza, gdy się pokaże, że tak nie jest.

Innemi słowy, skoro badania ziemi i historyi ludzkości wykazują, że człowiek istniał na ziemi dawniej, niż to wynikałoby z Pisma św. czyli dawniej, jak 6 tysięcy lat — to nie trzeba upierać się przy owym wykładzie Pisma św., ale przyjąć, że istotnie człowiek pojawił się na ziemi daleko wcześniej przed 6 tysiącami lat — ale kiedy to się stało, i ile lat od owej chwili dotąd upłynęło — tego

nie wiemy, bo ani Pismo święte dokładnie tego nie zaznacza ani nowoczesne nauki.

Ostatni kulig staropolski.

(Dokończenie).

Kiedy kapitan, ciężko ranny, powrócił do rodzinnej wioski, na samotnym ganku skromnego dworu ujrzał stojącą Brygidę.

— Twój Jan zginął, jak na mężnego przystało. Oto po nim pamiątki, które ci składa

I doręczył jej krzyż legii honorowej, krzyż polski i szlifę skrwawioną.

— Tę szlifę zmaczałem we krwi jego, ostatnie słowa, które wymówił były: ojczyzna i twoje imię.

Brygida upadła na kolana i przyjęła te pamiątki, jak drogie relikwie.

Kapitan wtedy wyrzekł ze łzami:

— Miałaś być moją bratową, Bóg inaczej rozporządził, ale przyjął wasze śluby. Oboje, wierni przysiędze, dotrwaliście razem. Powstań Brygido, odtąd uważam cię jako wdowę po moim bracie.

— Tak, jestem wdową; — odrzekła.

I pozostała wierną pamięci swojego Jana.

Pan kapitan się ożenił. Po urodzeniu Hanny, Brygida ją pokołysała, a dziś, razem z matką, czuwają nad nią troskiwie, jak nad pięknym, a wątłym kwiatkiem.

Z cześcią i uwielbieniem patrzyłem odtąd na panią Brygidę.

Trzy dni trwała wesoła zabawa. Powtórzyła się tu znowu scena bandy cyganów, tylko już pan Jacenty nie przedstawiał niedźwiedzia, bo zastąpił go jeden ze zwinnych parobczaków folwarcznych. Przybył do tej bandy jeszcze tur i żóraw, z gromadą wiejską, która po odśpiewaniu pieśni kolendowych, hojnie uraczoną została.

Na czwarty dzień skoczek, przebrany za arlekina, pod wieczór wyruszył swojemi saneczkami do dworu pań-

stwa kapitanostwa, z zapowiedzeniem kuligu. Mieliśmy bowiem nazajutrz napaść ich skromny dworek.

Kiedyśmy oczekiwali z utęsknieniem jego powrotu, w miejsce skoczka naszego, zajechał stary wiarus Maciek, i zatrąbiwszy pobudkę wojskową, na której odgłos wszyscy wypadliśmy na ganek, doręczył panu skarbnikowi pismo w formie urzędowej, z wielką pieczęcią.

Pismo na wielkim arkuszu było tej treści:

»Ja niżej podpisany, z polecenia j. w. starosty i skarbnika, przybywszy do dworu wielmożnego kapitana, wedle przyjętego zwyczaju, po wyskoczeniu z sanek, wbiegłem do pierwszego pokoju i zacząłem krzyczeć: kulig! kulig! Ale kiedy po skończeniu mojej misyi, chciałem wrócić do sanek, wielmożny kapitan z gołą szablą zastąpił mi drogę i kazał się poddać, oświadczając, że bierze mnie w jassyr. Tak mając do wyboru śmierć lub niewolę, wybrałem ostatnią. Siedzę w lochu na pięć sążni głębokim, wilgotnym, zagrożony głodem, gdyż postawiono mi kubeł wody i wiązkę siana. Wzywam prędzej pomocy prześwietnego kuligu, ażeby raczył wyzwolić z ciężkiego karceresu wiernego Skoczka arlekina.

Pan Jacenty po przeczytaniu tego pisma, zawołał groźno:

— Starego Maćka porwać jako zakładnika i związać, a jeżeli nie wróci zaraz skoczek, powiesić na lipie.

Pan starosta odrzekł poważnie:

— To parlamentarz! nietykalna jego osoba.

— To poseł od sąsiedniego państwa, ktoś zawołał, a drugi dodał:

— Co on winien? Poseł, to jak osieł, co na niego włożą, to dźwiga.

Pan skarbnik dobył dukata obrączkowego i wsunął go w rękę siwego Maćka; pan starosta dodał drugiego. Kobiety obstąpiły go kołem i prosiły, ażeby nie zamorzono biednego skoczka.

— Ma się on tam z pyszna — odrzekł z uśmiechem Maciek, dosiadł sanek, a po otrąbieniu pobudki, odjechał szybko.

Nazajutrz rano wyruszyło kilka sań ładownych dobrze w stronę dworku kapitana, z kucharzem i kuchtami. Ster-

czały z nich baryłki wina, miodu i wystałego piwa, trzy sarny, dwa dziki, a ptactwa dzikiego i swojskiego co nie miara.

Przy zmierzchu wieczornym ruszył nasz kulig cały, powiększony gronem rodziny skarbników. Pani Brygida z Hanną już od dwóch dni wyjechały.

W mgnieniu oka przesunęliśmy się po ubitej drodze; ale zaledwie wjechaliśmy w opłotki, huk wystrzałów z moździerzyka i ręcznej broni, odbił się głuchem echem w ciemnej puszczy.

Na ganku oczekiwali już kapitan, pani Brygida i Hanna. Kapitanowa, nieco słaba, pilnowała naszego więźnia. Starosta ze skarbnikiem uściskali serdecznie wszystkich i prosili o uwolnienie skoczka.

— Złożyliśmy już haracz należny — mówił skarbnik. Jako mieszkańcy puszczy nie mamy, złota ni srebra. Dlatego proszę przyjąć trofea myśliwskie i miodek z naszej leśnej pasieki...

— A czy to się godzi, mości skarbniku, tak ubogą moję chatę obsypywać?

— Chodźmy zobaczyć czy żyje jeszcze nasz uwięziony arlekin.

— Prosimy! prosimy!

I weszliśmy do wielkiej izby; za stołem siedział nad resztkami pieczeni huzarskiej, dobrze podpojony i śpiący skoczek: wypróżnione dwie opleśniałe butelki po węgrzynie, stały przed nim. Sędziwa kapitanowa z macierzyńską troskliwością ocierała pot kroplisty z jego czoła. Stał jednak i kubeł wody i leżała wiązka siana. Pan Jacenty, stanąwszy przed śpiącym, załamał ręce niby z rozpaczą.

— Otóż przyszedł ci koniec, dzielny nasz towarzyszu! Śpij, śpij spokojnie.

Kapitanowa przeprowadziła nas do saloniku od ogrodu.

Że bawiliśmy się ochoczo, że dokazywał wesoło skoczek rozbudzony, nie potrzebuję dodawać. Dwa dni były przeplatane to radosną pohulanką, to chwilowym spoczynkiem.

Pan Jacenty tańczył tylko z panną Hanną — nikt dobić się do niej nie mógł. Trzeciego dnia, kiedy już sanie nasze zajechały, kapitan na klęczkach uprosił do pozo-

stania jeszcze dzień jeden. Skarbnikowa i starościna pierwsze mu przyrzekły, że zostaną: reszta drużyny poszła za ich przykładem. Jacenty zacierał ręce z radości; snać spodziewał się jakiegoś szczęścia dla siebie.

Po sutym obiedzie, kiedy wniesiono puhar staroświecki, starosta napełniwszy go powstał, a prosząc o głos, w te odezwał się słowa.

— Mościwi, a mnie wielce miłościwi panowie bracia i przezacne damy! Używając w domu tym szanownym takiej staropolskiej gościnności, pozwolicie, że wniosę i powtórzę raz jeszcze zdrowie gospodarstwa, ich dorodnej córy i zacnej pani Brygidy!

— Niech żyją! — zawołało do stu głosów.

— Pijąc zdrowie to szanowne, wspomnieliśmy o pięknej, a dorodnej córze wielmożnych kapitanostwa...

Jacenty drżał cały od wzruszenia, zbladł i łzy stanęły mu w oczach.

— Owoż dobra pora, jako baczymy, ażebyśmy wnosząc jej zdrowie, wstawili się zarazem za naszym miłym krewniakiem panem Jacentym, który oddawna stara się o jej affekt, i teraz przez moje usta prosi o jej rękę.

Jacenty z głośnym płaczem upadł do nóg kapitanostwa.

— Pewnym będąc aprobaty, projektuję, abyśmy dziś pozostawszy, zaręczyny młodej pary odbyli...

Kapitan, hamując wzruszenie głębokie, wyrzekł tylko:

— Na tak poważne życzenie z chęcią się z moją żoną zgadzamy.

— Vivat! — zawołali starosta ze skarbnikiem, vivat! uradowane całe koło.

Przyniesiono pierścionki na tacy, ksiądz proboszcz miejscowy, następca tego co błogosławił Brygidę i Jana przed laty, poświęcił je: radość Jacentego była nie do opisania.

Kiedy młodzież hulała raźno i wesoło, w bocznej alkowie siedzieli starosta, skarbnik i kilku poważniejszych. Kapitan dolewał starego węgrzyna w opróżnione kieliszki. Zajmująca gawęda tych starców, co pamiętali tak dobrze dawne czasy i sami mieli w nich udział nie mały, przywabiła mnie do ich grona.

Wspomniano konfederacyą barską. Gospodarz wtedy dał znak chłopcu, ten przyniósł szkatułkę, a z niej kapitan wyjął skrzypce swoje.

— Panie starosto, mości skarbniku! posłuchajcie! zagram wam piosenkę dobrze wam znaną. Grywałem ją we Włoszech, i śpiewaliśmy ją razem z Janem w wigilią śmierci jego.

I pociągnął smyczkiem, tęskne, a rzewne tony poruszyły obu starców. Kapitan, jakby nie zważając na ich wzruszenie, wtórował sobie słowami, których dosłyszałem tylko te dwa wiersze:

»Już nie będę przestępować
Puławskiemu drogi!«

Skarbnik i starosta porwali się na równe nogi, ręce ich prawe spoczęły nagle na lewem biodrze, jakby szukały rękojeści szabel; ale zaraz rzucili się w objęcia wzajemnie i głośno zaszlochali.

O! był to widok, który się zachowuje wiernie do grobu w pamięci. Płacz starców roztkliwił wszystkich obecnych. Padały łzy kapitana gęstemi kroplami na skrzypki, a on grał, dopóki nie dograł piosenki całej.

Tak się skończył kulig staropolski. *K. W. W.*

Z życia Chińczyków.

Rewolucya, jaka obecnie w Chinach się dokonuje, zwróciła znowu uwagę całego świata na to »niebieskie państwo«. Niedawno wyszła książka francuskiego oficera d'Ollone, który narażając się na wielkie niebezpieczeństwa zbadał nieznane części Chin, dotarł nawet do wysokich gór leżących w środkowych Chinach, gdzie mieszkają górale chińscy nieuznający władzy swych nizinnych pobratymców. Narażony był też z tego powodu na liczne niebezpieczeństwa, gdyż jedni brali go za wysłannika rządu chińskiego, który przybywa ich podpatrywać, drudzy zaś za zbrodniarza, który uciekł przed sprawiedliwością chińską. Cała karawana d'Ollonego została pochwycona, trzymano

ich jakiś czas więzieniu i tylko dzięki ogromnej dozie zimnej krwi, jaką francuski oficer w czasie dochodzeń zachował, mógł ujść z życiem.

Opisuje on obszernie zwyczaje i stosunki codziennego życia Chińczyków. Stwierdza, iż Chińczycy z zamiłowaniem pielęgnują drzewa w około swoich domów, są bardzo religijni i posiadają wrodzone zdolności wojskowe.

Chińskie plemiona mieszkające w górach różnią się bardzo od mieszkańców nizinnych. Nie są oni tak małego wzrostu, owszem, przeciwnie, są dobrze zbudowani, mają odrębną mowę i odmienne zwyczaje. Całe życie schodzi im na wojaczce. To też z pewnem lekceważeniem spoglądają na Chińczyków zamieszkujących doliny.

Ważną rolę w ostatnich czasach odgrywają w Chinach coraz bardziej mnożące się gazety. Od kilkuset lat było już znane w Chinach peryodyczne wydawnictwo wychodzące co roku, jako kalendarz przez rząd wydawane. W ostatnich dziesiątkach lat, w miarę, jak wpływy cywilizacyi europejskiej coraz bardziej w Chinach się rozszerzały, zaczęły obok gazet wydawanych w językach europejskich ukazywać się gazety chińskie. Ilość gazet wydawanych przeważnie w języku angielskim jest bardzo duża.

Wszystkie prawie większe miasta portowe mają gazety wydawane dla europejczyków. W Schanghaju wychodzi pięć gazet codziennych w językach europejskich, a cztery dzienniki chińskie. Oprócz tego wychodzi cały szereg tygodników chińskich i sześć tygodników europejskich, z tych jeden niemiecki. Dzienniki wydawane w językach europejskich kosztują numer około 50 hal., chińskie zaś, można dostać już za 2 hal.

Na południu Chin główny ruch dziennikarski skupia się w Hongkong, gdzie Anglicy wydają cztery dzienniki, dwa poranne i dwa wieczorne, zaś Chińczycy aż sześć dzienników.

W ostatnich czasach, zwłaszcza pod wpływem Japonii, zaczynają dzienniki chińskie pojawiać się także w większych miastach chińskich w głębi kraju.

Przy sposobności wspomnieć wypada, iż w prawodawstwie chińskiem do dziś dnia zachowało się wiele z tych strasznych przepisów, które w wiekach średnich

znane były w postępowaniu karnem ludów europejskich. Francuz Henri Furot odbył w roku 1900 podróż po wschodnie Azyi, Chinach i Japonii, którą potem opisał w osobnej książce. Przytacza on tam starożytne ustawy Kambodży prowincyi, która obecnie jest pod panowaniem francuskiem. Przepisy te dzisiaj już tylko w części mają zastósowanie, gdyż rząd francuski zniósł wiele z nich. Warto jednak z nimi się zapoznać.

Ustawy Kambodży znają 22 rodzai wykonania wyroków śmierci, a jeden straszniejszy, niż drugi. Kilka dla przykładu przytaczamy.

Kat wlewał skazanemu do ust olej i zapalał go; albo też przybijał skazańca żelaznym trójzębem do ziemi, zaś boki palił mu ogniem póty, aż ten umarł. Inny rodzaj śmierci zadawano w ten sposób, że kaci zdzierali skórę nożem, a następnie żywe ciało »czesali« póty żelaznym grzebieniem, aż ono od kości odpadło. Innym razem znowu zakopywano skazańca w ziemię aż po pachy, nakrywano potem słomą, którą zapalono. Kiedy słoma się spaliła zaorywano miejsce pługiem rozszarpując skazanego w kawałki.

Inny rodzaj śmierci zadawano w ten sposób, że kat wycinał skazanemu kawałki ciała, piekł je na oleju i zmuszał go, aby je jadł.

Można sobie wyobrazić jakim torturom poddawano oskarżonych poczas badania w śledztwie. Najczęściej używano tortury zwanej keap, która polegała na tem, że głowę badanego chwytano w dwa kawałki bambusu w ten sposób, że ściskały mu one skronie, następnie wtłaczano między bambus o skroń orzechy tak, że wysadzały one zupełnie na wierzch oczy skazańca.

Obok tortur i kar cielesnych używano także tak zwanych »sądów bożych«. Były one połączone z bogatym ceremoniałem kościelnym i przed ich przeprowadzeniem trzeba było składać ofiary bogom i »bondzom» kapłanom. Najczęściej używanym był »sąd boży« przy pomocy nurkowania w wodzie. Nad brzegiem rzeki zbierał się wtedy cały sąd i na dany znak obaj procesujący się lub skarżący zanurzali się w wodę. Skoro tylko znikli pod zwierciadłem wody, sędzia powstrzymywał oddech jak długo tylko

potrafił i czynił to trzykrotnie, jeśli po upływie tego czasu żaden z nurkujących nie ukazał się na powierzchni, służba sądowa wydobyła ich na gwałt, a proces uważano za nierozstrzygnięty. Jeśli zaś jeden ze skarżących się wynurzył z wody wcześniej nim urzędnik zaczął oddychać, to ten przegrywał.

Innej próby dokonywano ogniem. Wgłębienie w ziemi wypełniano żarzącemi się węglami, po których musieli przejść obaj przeciwnicy bosemi nogami, które przed tem dokładnie zbadano i obmyto. Następnie przez 7 dni sądownie badano im stopy, u którego najpierw wystąpiły bąble oparzeliny, ten był winny. Jeśli zaś obaj mieli poparzone nogi to sprawa była nierozstrzygnięta i próbę zaczynano na nowo.

Najmniej niebezpieczną i nieprzyjemną była próba z kartkami. Sędzia pisał osiem kartek. Na czterech pisał: »to jest słuszne«, na czterech zaś: »to jest niesłuszne«, wszystkie zaś kartki wrzucał do nowej urny z bronzu. Każdy z przeciwników musiał wyciągnąć cztery kartki, jeśli jeden wyciągnął wszystkie kartki z napisem »to jest słuszne«, wygrywał, jeśli zaś tylko na trzy trafił, to wprawdzie wygrywał, ale w każdym razie sprawa jego nie bardzo była pewna.

Tam, gdzie nadzór państw europejskich umożliwia pewien wpływ umoralniający, usunięto już te średniowieczne zwyczaje, ale w głębi Chin, jako też wśród plemion zamieszkujących góry, »sądy boże« i inne okropności średniowieczne mają i dzisiaj swoje uprawnienie.

Dobre i złe słowa.

W przypowieściach Salomona, pełnych głębokiej mądrości i wzniosłej poezyi, znajdujemy następujące piękne porównanie:

»Dobre słowo jest jakoby złote jabłko na srebrnej tacy«. Znaczy to zapewne, że dobre słowo jest czemś pięknem i kosztownem.

Dobre słowo! o gdyby wszyscy zrozumieli co to znaczy!

Dobre słowo, to nietylko słowo miłości, słowo czułe i słodkie, ale i słowo rozumne, cierpliwe, wyrozumiałe słowo przebaczenia i pokoju.

Zkąd powstają kłótnie i niezgoda w rodzinie? Oto ze złych słów, które padają, jak iskry na łatwo zapalne serca i wzniecają pożar nienawiści i zemsty.

Dobre słowo w stosownej chwili wymówione, zażegnałoby ten pożar i stłumiło w samym początku Złe zaś słowo rozdmuchało tlejącą iskrę w silny płomień.

Są słowa zimne i twarde, jak kamienie, to znów ostre, jak miecz, słowa gorzkie jak piołun, brzydkie i wstrętne, zbrodnicze i obłudne, na wzór owych słów Judasza, któremi zdradził Mistrza swego i Pana.

Matki, miejcie dla dzieci waszych zawsze dobre słowo — słowo zachęty, które powstrzyma je od złego, do dobrego nakłoni.

Matka, mająca zawsze dla dziecka dobre słowo, trzyma niejako duszę jego w swem ręku. Choć ta młoda dusza płocha, niby motyl odleci na rozkosze, choć ją uniesie wicher światowych wrażeń — powróci znów do ciebie, gdy ją dobrem słowem przywołasz.

Są matki, które dla dzieci mają tylko złe słowa nagany, gniewu, zniechęcenia. Stępiała więc i skamieniała dusza dziecka i znieczuloną została na dobre wpływy.

Są żony i mężowie, którzy mają dla siebie tylko słowa zimne i twarde, jak lód. Ach, jedno dobre słowo, a roztopiłaby się lodowa powłoka ich serc, jak śnieg w promieniach kwietniowego słońca. Jedno dobre słowo rzuciłoby most nad przepaścią, dzielącą ich dusze — a nawiązałoby zerwane węzły miłości stargane jednem słowem zimnem, nie dobrem.

Kobiety, które tak często grzeszyeie mową, nie rzucajcie bliźniemu owych złych słów, które jak zatrute strzały, ranią śmiertelnie duszę jego, lub zabijają dobre imię. Jak strzała wypuszczona z łuku, tak owo złe słowo leci niepowstrzymanym biegiem, niosąc drugim przykrość i zgryzotę.

Płacz i śmiech u zwierząt.

W mowie potocznej znane są wyrażenia: »płacze, jak bóbr«, albo »wylewa łzy krokodylowe« — albo płacze »krwawemi łzami«.

Zdawałoby się, że te wyrażenia nie mają żadnej podstawy rzeczywistej, że są tylko wytworem fantazyi — a jednak są one odźwierciedleniem rzeczywistości.

W naszem pojęciu płacz, ogólnie mówiąc, oznacza żal i ból. Czy zwierzę, jako istota żyjąca i niepozbawiona czucia, nie miałoby możności okazywania uczuć żalu i bólu? Mnóstwo przykładów, podpatrzonych z życia zwierząt, potwierdza w zupełności prawdę wyrażeń powyżej przytoczonych.

Wyrażenie »płacze jak bóbr« oznacza, że płaczący długo wylewa łzy, spokojnie bez szlochania i łkania. W rzeczywistości, gdy bóbr zostaje złowiony, zwątpiwszy o ratunku, płacze gorzko. Płacze ustawicznie gorącemi łzami bobrzyca, gdy zabierają jej bobrzątko, smuci się do dwóch tygodni i wysycha jak szkielet.

Nad brzegami Nilu, w Egipcie, często rozlega się płacz dziecięcy. Zwabiony tym głośnym udanym płaczem dziecka, niedoświadczony człowiek przekonywa się, że wygłodniały krokodyl płacze, szukając żeru, a nieostrożny poszukiwacz płaczącego dziecka może stać się ofiarą głodnego potwora, gdyby za blizko doń podszedł. Stąd wzięto wyrażenie »wylewa łzy krokodylowe«. W obecnych jeszcze czasach niektóre plemiona ziemi kapskiej w Afryce otaczają bałwochwalczą czcią krokodyla i obowiązkiem tak zwanej świętej straży jest dostarczanie padliny żarłocznemu potworowi.

Pewien gatunek ociężałej mekykańskiej jaszczurki płacze krwawemi łzami; to jest wydzielina krwawa gruczołu łzowego, wytryskająca podczas niebezpieczeństwa w walce z inną jaszczurką.

Znane są przykłady płaczu, to jest obfitego wylewu łez u małp, gdy im zabierają małpiątka, drażnią je, biją lub gdy zostają ranione, wyrażając w taki sposób uczucia żalu i bólu.

U śmiertelnie ranionej sarny z dużych czarnych ócz płyną obfite łzy.

Psy płaczą bardzo łatwo.

Ścigany zając wydaje okrzyk podobny do płaczu i z ócz płyną łzy.

Stary szczur płacze, gdy widzi utopionego towarzysza lub złowionego w pułapce.

U zwierząt przeżuwających istnieje stosunkowo wielki gruczoł i kanał łzawy w oczodole i możność łatwego łzawienia, trafnem przeto jest przysłowie ludowe »płacze jak cielę«.

Powyżej przytoczone przykłady, jak i wiele innych, wykazują, że u zwierząt żal i ból ujawniają się przez łzy, w ogóle jednak zwierzę nie płacze tak łatwo, jak człowiek i w wielu razach znosi ono niedolę z godną podziwu cierpliwością.

Dziwnem wydawaćby się mogło pytanie, czy zwierzę się śmieje. Możność śmiechu, jako wyraz uczuć radosnych, jest właściwą człowiekowi. Jednakże ze spostrzeżeń przy odruchach mięśni wargowych wnioskować należy, że małpy i psy również są zdolne się uśmiechać.

TO I OWO.

Tytoń przyczyną zwapnienia arteryj.

Mężczyźni, zwłaszcza w starszym wieku, podpadają dolegliwościom, głównie zaś nogi odmawiają posłuszeństwa, a często bardzo nawet utykają; jest to rodzaj mniej znacznego kulenia.

— Osłabione mam nogi — powiadają wtedy.

Lecz cóż wywołuje ten objaw zwapnienia arteryj, cóż go przyspiesza?

Profesor Dr. Erb w Heidelbergu długo badał symptomy tej choroby i stwierdził, że najcięższe jej objawy występują u mężczyzn, którzy nadmiernie używają tytoniu. Z tego wyciąga profesor Erb wniosek, że tytoń jest czynnikiem zwapnienie arteryj wspomagającym i że rozmaite nieprawidłowości w obiegu krwi wywołuje.

Nawołuje więc do mierności w używaniu tego szkodliwego dzieła, do ograniczenia tegoż konsumcyi.

Objawy znużenia u starszych, dotkliwe często bóle w stawach, przyspieszony puls, to wyniki przyzwyczajeń do nikotyny — działa ona skrycie, podminowuje zdrowie, odbiera rzeźkość i tężyznę organizmowi, a często prowadzi do kalectwa.

A gdy się jeszcze zważy, że tytoniem puszczamy krocie w powietrze, to zaiste nawoływanie do trzeźwości pod tym względem, nie powinno być głosem wołającego na puszczy.

Urąga bowiem wszelkiej logice: za drogie pieniądze kupować sobie chorobę — a względnie kalectwo lub niedołęstwo na starsze lata.

Jak ludzie ogrzewali i ogrzewają mieszkania.

W dziejach kultury ludzkiej, spotykają się często z najnowszymi wynalazkami stare, czasem dawno zarzucone przez ludzkość sposoby udogodnienia życia. Tak też jest i z ogrzewaniem mieszkań. Dzisiejszemu centralnemu ogrzewaniu zupełnie odpowiada »hypokanston« starych Rzymian, co znaczy palenie od dołu. Było ono urządzone tak, że posadzka opierała się na niziutkich słupkach i w tę wąską przestrzeń wpuszczano gorące powietrze, które ogrzewało kamienie posadzki i całą izbę.

Ten sposób ogrzewania stosowali Rzymianie tylko w większych przestrzeniach, głównie w łaźniach. Przeważnie zaś używali i dziś jeszcze rozpowszechnionych we Włoszech, południowej Francyi i Hiszpanii małych piecyków, które napełnione węglami, ogrzewają przez promieniowanie ciepła.

W ten sam sposób ogrzewają znane kominki, tak rozpowszechnione swego czasu u nas w Polsce i w całej północnej Europie. Wyrugowany przez piece kominek wraca dziś znowu, jako ozdoba salonów, ale niema w nim już tego, co tak nęciło dawniej zziębniętego — niema żaru ogniska i tego tajemniczego trzaskania i syczenia palącego się drzewa, które zastąpiono siłą elektryczności lub gazem. W ostatnich latach cały szereg domów w Dreźnie poczęto

już ogrzewać za pomocą elektryczności, sprowadzanej z centrali.

Wspomnieć tu należałoby jeszcze praktykowany przez włoskie przekupki sposób ogrzewania nóg flaszkami z gorącą wodą, co, jak opowiadają nasi ojcowie, stosował także zarząd kolejowy przed laty pięćdziesięciu niespełna, dla ogrzewania wagonów, a raczej nóg pasażerskich.

Ile lekarzy posiada Europa?

Pytanie to rzuciła gazeta francuska »La Nature«. Z odpowiedzią pospieszył pewien lekarz francuski, który zebrał dane statystyczne i tak określa liczby, przypadające na poszczególne państwa europejskie.

Pierwsze miejsce zajmuje Anglia, posiadająca 29 tysięcy doktorów. Na drugiem miejscu znajdują się Niemcy. Dalej idzie Rosya, posiadająca 21.400 lekarzy, następnie Francya — 19.800, Włochy — 18.240, Hiszpania — 13.700 i ostatnie miejsce co do liczby zajmuje Austrya, rozporządzająca liczbą 10.400 lekarzy.

Liczby te jednak inaczej przedstawiają się w stosunku do liczby ludności poszczególnego państwa. I tak pierwsze miejsce zajmuje Anglia, gdzie na 10 tysięcy mieszkańców przypada 8 lekarzy. W Hiszpanii na 10 tysięcy przypada 7 najmniej lekarzy, czyli różnica z Anglią niewielka. W dalszym ciągu następują: Belgia — 5, Włochy — 5, Francya i Szwecya — 5, Norwegia — 4, Niemcy — 4, Portugalia — 3, Holandya i Dania — 3, Austrya — 2, Rosya — 1, Grecya — 1.

Statystyka miast pierwsze miejsce daje Brukseli, gdzie na 10 tysięcy mieszkańców wypada 24 doktorów. Dalej stosunek stale się zmniejsza i następują po sobie miasta: Madryt, Chrystyania, Rzym, Wiedeń, Berlin, Londyn, Ateny, Petersburg, Paryż, Lizbona, Kopenhaga, Stokholm i Amsterdam.

Ogólnie biorąc, podług danych statystycznych liczba lekarzy zamieszkałych w Europie dochodzi do 200 tysięcy.

Wyprawa włoska na Trypolis w XVIII. wieku.

Z okazyi obecnej wojny turecko włoskiej, przypominają dzienniki, że nie poraz pierwszy wojenna flota wło-

ska zbliżyła się z wrogimi zamiarami do wybrzeży trypolitańskich.

Pierwsza wyprawa włoska na Trypolis odbyła się w roku 1764, gdy operacye piratów (rozbójników) morskich, którzy mieli swą główną siedzibę w Trypolis, poczęły narażać na szwank handel morski Wenecyi.

Rząd Rzeczypospolitej weneckiej zwrócił się do beya Trypolisu z żądaniem ukarania piratów, którzy złupili kilka okrętów weneckich. Wobec odmownej odpowiedzi wyruszyła flota wenecka pod komendą kawalera Jacopo Nain, który stanąwszy przed Trypolisem, wysłał do beya *ultimatum*, domagające się w terminie trzydniowym ukarania piratów i wynagrodzenia wszystkich szkód i zapowiadające, że w przeciwnym razie miasto zostanie zbombardowane. Zatarg ówczesny zakończył się jednak pokojowo: w ostatniej chwili bey trypolitański ustąpił, spełniając wszelkie żądannia Rzeczypospolitej weneckiej.

Groźba braku węgla.

Znany przyrodnik angielski, sir Wiliam Ramsay, obejmując przewodnictwo w *British Aseociation* w Portsmoucie, wygłosił mowę, w której oświadczył, że Anglicy powinni oszczędzać węgli, gdyż za 175 lat zapas węgli angielskich wyczerpany będzie zupełnie.

Według obliczeń przyrodników, wszystkie kopalnie angielskie zawierają 10 tysięcy milionów ton węgla, wobec, jednak wzrastającego zużywania tego materyału opałowego, ogromny jego zapas starczy zalewie jeszcze na 175 lat, co jest w życiu państwa okresem krótkim. Sir Ramasy więc wzywa do stosowania już teraz środków zaradczych, jak zalesienie kraju i dążenie do wynalezienia maszyn oszczędzających węgle, jak również poleca utworzenie komisyi państwowej dla ochrony bogactw naturalnych kraju, inaczej bowiem Anglii grozi ubóstwo, oraz upadek handlu i przemysłu.

Nowy latawiec.

W Ameryce zbił się w powietrze Orville Wright na latawcu, zbudowanym na nowych zasadach. Latawiec z pagórka wzbił się w powietrze podczas silnego wiatru

na jakie 60 metrów, przyczem lotnik używał kilku dźwigni na sposób robienia wiosłami. Mimo, że wiatr pędził z szybkością 65 do 80 klm. na godzinę, latawiec zachowywał się spokojnie. Lotnik latał następnie w kierunku poziomym, nagle stanął przez dwie minuty, nie ruszył się z miejsca, uleciał powtórnie kawałek dalej i znowu stanął.

Tym razem utrzymał się na jednem miejscu nieruchomie 7 minut i 15 sekund i po tym czasie na znak towarzysza Wright opuścił się. Dotykał niemal ziemi, poczem wzniósł się w powietrze po raz drugi, znowu zawisł nieruchomie w powietrzu i opuścił się potem na ziemię.

Szczegółów wynalazku nie zdradzają. Wyrazili się, że maszyny swej używać mogą tylko podczas wiatru. Wynika z tego, iż płaszczyzny tak są ustawione, że wiatr zwracając się napowrót, utrzymuje latawiec w powietrzu. Chodzi o należyte zużycie siły wiatru. Kto zna zasady tego, może dmuchaniem utrzymać kawałek papieru w powietrzu. Nie jest to rzecz niemożliwa. Rodzaj tego sposobu latania wynaleziono — na papierze — już dosyć dawno temu: Wrightowie zamienili go w czyn.

Potęga słońca.

Prastara wiara w moc leczniczą promieni słonecznych, coraz szersze znajduje zastosowanie. Promienna energia, którą wydziela słońce, ma bardzo silny wpływ na organizmy. Działa niszcząco, lub wzmacnia. Zabija epidemiczne zarazki; wzmacnia organizm tak ludzki, jak zwierzęcy, uzbraja go przeciw chorobie. Większą jest siła słońca na wysokich górach; zarazek suchot liczne niszczą jego promienie w wyższych okolicach z potrójną mocą.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rocznik IV. Kraków 1-go kwietnia 1912. (Półrocze I-sze) Nr. 4.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce
wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** koron — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Życie polityczne w Galicyi.

Ostatnie lata zaciążyły bardzo smutnemi przejściami nad naszem społeczeństwem. Zupełnie uzasadnionem każdemu, kto spokojnie i trzeźwo patrzy na życie nasze społeczne i polityczne wydać się musi powiedzenie ks. Biskupa Wałęgi na kongresie Maryańskim w Pr emyślu, że jeszcze jedne takie wybory, jak ostatnie, a zatracimy duszę ludu.

Zastanawiając się nad stosunkami naszymi, zapytać się musimy, czy istotnie to, co nazywamy życiem politycznem jest niem u nas w Galicyi? czy też miejsce życia politycznego zajęła zupełna nieświadomość spraw politycznych, samolubstwo posunięte do ostatecznych granic i zawiść partyjna? Powiedział ktoś, że gdyby w społeczeństwie nie było różnych partyj, a natomiast wszyscy na jedno się godzili, to wtedy nie byłoby w takiem społeczeństwie rozwoju i postępu. Aby należycie osądzić sprawę, zastanówmy się pokrótce, do czego doszliśmy u nas, mając tak wiele partyi i czy istotnie to, co partye polityczne w kraju robiły i robią, można nazwać postępem i rozwojem.

Smiało można twierdzić, że u nas życie polityczne sprowadziło się dzisiaj tylko do walki o mandaty poselskie. Poza takim celem zupełnie osobistym i najczęściej przenoszącym osobiste korzyści o innych celach się nie

słyszy. Wszystko cokolwiek u nas w życiu politycznem się robi, dzieje się po cichutku, jak to nazywają „za kulisami“, aby nikogo nie drażnić, ani też nikomu się nie narazić, albo aby podstępnie drugiemu dokuczyć i coś odebrać.

Wszyscy, kiedy nadchodzi czas wyborów, obiecują. Obiecuje kandydat, gdzie tylko może i komu może; obiecuje komitet, który kandydata popiera; obiecuje władza, która życzy sobie wyboru pewnego posła. Obietnic tych jest tyle, że gdyby tylko mała cząstka ich została spełniona, Galicya stałaby się rajem. Po wyborach jednak wszystko zazwyczaj jak sen znika. Ani wybrany poseł nie pokazuje się w swoim okręgu wyborczym, ani też nie spełniają się tak szybko porobione obietnice. Ma się rozumieć, przez to daje się do ręki broń niezadowolonym, albo też partyom radykalnym i nieraz dzięki takiemu lekceważeniu, okręg wyborczy najbardziej katolicki i zachowawczy zamienia się nagle przy następnych wyborach w okręg na wskróś radykalny. Tam gdzie przedtem przechodził z łatwością konserwatysta nagle z urny wychodzi poseł socyalistyczny.

Dzieje się to zaś dlatego, że u naszych przewodników wyrodziło się to przekonanie, że wyborca jest dobry tylko wtedy, kiedy ma głosować, a poza tem nie zna go się wcale.

Życie publiczne właściwie u nas zamarło. Utrzymują je jedynie prawie tylko socyaliści, gdyż ich posłowie stosunkowo najczęściej jeszcze pokazują się między wyborcami.

Drugim powodem, który niszczy u nas wszelkie polityczne dążenia i działania, jest przekupstwo i oszustwa, jakie dokonywają się przy każdym pojawie życia politycznego. Czy to wybory do parlamentu, czy do sejmu, czy nawet do rady gminnej, zawsze szerokim strumieniem płynie wódka wyborcza, tysiącami idą pieniądze, którymi kupuje się zwolenników i głosy. Czynią tak wszystkie partye bez wyjątku zarówno socyalistyczne, jak demokratyczne lub konserwatywne.

Wszyscy uprawiają na szeroką skalę oszustwa wyborcze, tak, iż po przeprowadzeniu w kraju takiej walki wyborczej, pod względem moralnym ludność wygląda tak,

jakby zaraza przeszła. Wszelkie poczucie moralności i uczciwości zanika, a natomiast szeroko rozwija się nieuczciwość i niesumienność.

Trzeci powód zaniku zupełnego życia politycznego w Galicyi leży w tem, że stronnictwa zwalczają się w sposób nieuczciwy. Niema oszczerstwa, niema dość zręcznego podstawiania nogi, którego nie użyłoby jedno stronnictwo, aby obalić i zniesławić kogoś z innego stronnictwa. Dzięki temu gazety raz wraz przynoszą wiadomości o jakichś sensacyjnych „odkryciach“ z tajników tej lub innej partyi politycznych, które zwykle właściwie ograniczają się do wywłóczenia brudów i osobistych skandali osób, a z właściwą polityką nic nie mają wspólnego!

Czwarty powód upadku tkwi w tem, że za dużo mamy w Galicyi stronnictw, jeszcze więcej prezesów ich i wydziałów, a za mało pracy owocnej i dla dobra ogólnego przeznaczonej. Zaledwie zbierze się kilku ludzi odmiennego zapatrywania, zaraz powstaje stowarzyszenie, potem, klub. a wreszcie nawet stronnictwo. Przysłowie powiada, że „co głowa, to rozum“, my w Galicyi możemy śmiało powiedzieć, że „co trzy głowy, to stronnictwo“. Rosną one, jak grzyby po deszczu, każde ogłasza szumny program i stara się na piękne swe hasła, często pożyczone od innych lub dla konkurencyi tylko rozszerzone i upiększone łapać, jak najwięcej zwolenników i wybierać od nich, jak najwięcej wkładek na najrozmaitsze fundusze. Pierwsze miejsce pod tym względem zajmują socyaliści, u których każdej chwili i na każdy niemal tydzień przywódcy gotowi są wymyślać coraz nowe fundusze, aby jak najwięcej pieniędzy zagarnąć.

Ma się rozumieć dzięki takiemu prowadzeniu życia politycznego, coraz więcej ludzi trzeźwo myślących, odwraca się z wstrętem od polityki, a każdy taki zapytywany potem, dlaczego się usuwa, powiada otwarcie: „nie będę maczał rąk w takich brudach“.

Zapytać się jednak musimy. do czego nas takie stosunki prowadzą? Odpowiedź bardzo prosta, a znajdujemy ją w naszem codziennem życiu. Zamiast, żeby nam było coraz lepiej, jest coraz gorzej. Drożyzna wydziera nam krwawo zapracowany grosz, odbiera nam często dach

nad głową, podatki zabierają to, czego drożyzna jeszcze nie zabrała, a my sami pozostajemy nędzarzami skazanymi na łaskę i niełaskę tych, których obdarzyliśmy naszem zaufaniem politycznem; długo jednak w takich stosunkach żyć nie potrafimy. Społeczeństwo musi dojść do tego, że przyjdzie chwila, kiedy powie „dość już tego!“ i kiedy wszyscy uczciwie myślący ludzie podadzą sobie ręce do wytępienia zła, które jak zmora nas gniecie. Dzisiejsze życie polityczne w Galicyi jest jednem wielkiem oszustwem popełnianem na ludności zarówno od „góry“, jak i od „dołu“. I czas najwyższy, aby stosunki gruntownie zmienić i poprawić.

Ks. Hugo Kołłątaj.

Do postaci jubileuszowych bież. roku należy też mąż nie powszedniej miary, którego całe życie jest dla nas jakoby księgą wiedzy, ks. Hugo Kołłątaj.

Światło dzienne ujrzał roku 1750. Kształcił się na uniwersytecie Krakowskim. Czując potrzebę oddania się sprawom publicznym, a wiedząc, że jako kapłan najwięcej będzie mógł zrobić, wstępuje do seminaryum, a później kształci się w Akademii w Rzymie. Jako człowiek nadzwyczaj zdolny, z łatwością przyswaja sobie nauki filozoficzne i tologiczne, poznaje gruntownie prawo kościelne i z tymi zasobami wiedzy, jako mąż uczony wraca do Ojczyzny.

Za granicą poznali się na nim, to też sława uczonego przedostała się do nas i tu mu szykowała zaszczytne stanowisko. Po śmierci Biskupa kijowskiego, który zarazem miał kanonię krakowską, ta kanonia była do objęcia i otrzymał ją ks. Hugo Kołłątaj. W czasie, gdy zajmował to stanowisko, miał zatarg z władzami duchownemi, ale i to minęło.

Osiedla się w Krakowie i tu zaczyna owocną dla kraju ojczystego pracę. Powstała wówczas w Warszawie instytucya państwowa dla spraw szkolnych, tak zwana „Komisya edukacyjna“, a tworząc wydział „Towarzystwo

do ksiąg elementarnych“ powołała ks. Kołłątaja na przewodniczącego.

Ks. Kołłątaj z całym zapałem wziął się do roboty. Reforma po reformie wychodziła z pod jego rąk, zmieniając w szkolnictwie wszystko to, co było przestarzałe, co nie odpowiadało czasowi, w którym żył i działał. Zmiana dotknęła i szkoły i nauczycieli.

Odtąd na nauczycieli poczęto brać tylko Polaków. Dotychczasowy język łaciński, jako zbytnio szkodzący językowi polskiemu usunięto na drugi plan. Trzeba tu zaznaczyć, że łacina przed nim w szkołach była prawie językiem wykładowym, nic więc dziwnego, że nasza szlachta lepiej mówiła po łacinie, jak po polsku.

Zmienił też i same szkoły, bo na miejsce dawnych wiejskich, miejskich i szlacheckich, ustanowił początkowe, powiatowe i prowincyonalne, poddając je zarządowi szkół głównych, z siedzibą w Wilnie i Krakowie.

Mając liczne nieprzyjemności z różnych stron, przerzucił się w drugim okresie swej działalności na pole polityczne.

Ale jeszcze był przez trzy lata rektorem Akademii Krakowskiej. Ta najwyższa uczelnia od pewnego czasu zaczęła się chylić ku upadkowi. Podniósł ją Kołłątaj, obsadził katedry zdolnymi profesorami, ulepszył sposoby wykładów i uporządkował stan majątkowy. Jednem słowem, że „Uniwersytet krakowski miał w nim Odnowiciela“.

W roku 1776, otrzymał referendacyę litewską (referendarz, tytuł dawnych wyższych urzędników, zdających sprawy z próśb podawanych na imię króla). Na tem polu zaczął działać jako polityk. Na sejmie czteroletnim wykazał wielką bystrość umysłu i zdrowy sąd o każdej rzeczy.

Swoje zapatrywania wyjaśnił w „Listach Anonyma do Stanisława Małachowskiego“. Pisał też wiele pomniejszych książek i broszur. Wszystkie jego prace piśmiennicze cechują wielki talent, szczerość uczucia, prostota, oraz równowaga duchowa. Chociaż trzeba przyznać, że nieraz był zbyt skrajnym w swych poglądach, jak to mówią, zbyt liberalny.

Głosił śmiało równość stanów, żądał praw dla włościan i mieszczan, określał ich wielkie stanowisko w narodzie; zwrócił uwagę na dziedziczność tronu królewskiego i kreślił plany rządzenia państwem przy pomocy sejmu.

Kiedy chciano ratować konającą Ojczyznę przy pomocy Konstytucyi Trzeciego Maja, on, można powiedzieć był jedynym człowiekiem, który na piśmie tę Konstytucyę wygotował.

Na jego pracy Korona i Litwa wiele zyskała. Podał bowiem zarys kodeksu cywilnego i projekt sądów assesorskich, uregulował podatki, uporządkował prawo o miastach.

Był to człowiek, który utworzył nawet swoje stronnictwo po napisem „Kuźnica", jako przeciwstawienie partyi konserwatywnej. Pod tym względem dał się nieraz unosić zbyt krewkiemu temperamentowi, za co go spotykały zarzuty.

W roku 1791 został Kołłątaj mianowany podkanclerzem królewskim, pomimo protestu nawet króla. Na tę godność pchał go klub konstytucyjny.

Zaplątał się, może najniepotrzebniej, w sprawę Targowicką, ale i to mu się wybacza, bo w tem, podług siebie, widział ratunek dla ginącej Ojczyzny. Z chwilą upadku Konstytucyi Trzeciego Maja i jego gwiazda zaczęła blednąć.

Upadek Warszawy był powodem jego uwięzienia przez Austryaków w murach Josephstadtu i Ołomuńca. Osiem lat przepędził pod zamknięciem, ale i tu nie próżnował, bo napisał książkę: „O porządku fizyczno-moralnym, czyli o nauce i powinnościach człowieka".

Wyszedłszy z więzienia, resztę swego życia spędził na Wołyniu, a później udał się do Księstwa Warszawskiego, gdzie też skończył swe życie 28 go lutego 1812 roku.

Miał, umierając, żal do społeczeństwa, które go nie mogło rozumieć i wyrzekł te słowa: „Grób stał się dla mnie pożądanym, spieszę się do tego domu wieczności, gdzie wolny od niesprawiedliwości i niewdzięczności ludzkiej — odpocznę na zawsze". Wyrzut ten spotyka społeczeństwo zawsze od mężów, którzy za życia

bardzo wiele robili, a byli zapominani. Dopiero po śmierci ludzie ich oceniają i wynoszą na piedestał sławy.

Po procesie o zbrodnie na Jasnej Górze.

Przez cały pierwszy tydzień marca bież. roku toczyły się rozprawy przed sądem piotrkowskim o zbrodnie i przestępstwa popełnione przez szajkę zdrajców na miejscu świętem, a sercu polskiemu przedewszystkiem drogiem.

Wrogowie Kościoła katolickiego, jak sępy głodne, rzucili się na tę sposobność nie tak łatwo się nadarzającą, by zohydzić Kościół katolicki i czynić go odpowiedzialnym za grzechy niegodnych jednostek. Gazety ich przez cały tydzień z rozkoszą rozpisywały się o wszelkich szczegółach w rozprawach ujawnionych, chociażby były najbrutalniejszemi i najwstrętniejszemi. Zaiste przyznać trzeba, że obraz zepsucia, który się roztoczył przed naszemi oczyma w tym procesie piotrkowskim, jest pełen zgrozy i budzi obrzydzenie.

Wciąż sobie człowiek musi zadawać pytanie, jakimże sposobem tacy Macochowie mogli nietylko otrzymać święcenia kapłańskie, ale stać się nawet stróżami największej świętości katolików polskich? Gdyby społeczeństwo polskie żyło w normalnych warunkach, gdyby miało własny ustrój państwowy lub gdyby przynajmniej miało możność rozwoju swobodnego, gdyby Kościół katolicki, który dla nas jest kościołem narodowym, cieszył się potrzebnemi mu swobodami, a zaszłoby na Jasnej Górze to, co się stało, wówczas wrogowie nasi mieliby słuszność, wołając: W Piotrkowie na ławie oskarżonych siedział Kościół katolicki i duchowieństwo polskie.

Ale tak nie jest. Pod rządami cara, Kościół katolicki wogóle, a Kościół katolicki w Polsce, w szczególe, wiodą życie niewolnika ograbionego z praw i swobód mu przynależnych. Rząd rosyjski wie doskonale, że Kościół katolicki dla narodu polskiego stanowi niewyczerpane źródło siły moralnej; że on daje wyższość kulturalną

narodowi naszemu po nad Moskalami go gnębiącymi, od lat dziesiątek używa więc najbrutalniejszych środków, aby siłę Kościoła osłabić, a duchowieństwo polskie zdemoralizować; poniżyć je do poziomu popów prawosławnych i zrobić z niego powolne narzędzie rządu i policyi, oto cele rządu rosyjskiego.

Aby ten cel osiągnąć, rząd rosyjski nie cofał się przed żadnymi środkami. Biskupom ogranicza prawo dozorowania księży parafialnych i klasztornych i czuwania nad ich moralnością. Jeżeli Biskup mimo to spełnia swe obowiązki pasterskie, rząd uważa go za podejrzanego pod względem politycznym. Biskupom zabrania się objazdów dyecezyi, a księży szpieguje się na każdym kroku. W kościele na kazalnicy nawet widzi ksiądz zwrócony na siebie wzrok szpiega, czychającego na każde słówko, nawet w spowiednicy podsłuchują szpiegowie księdza, jakich nauk udziela przy spowiedzi.

Władzy kościelnej zaś rząd odebrał nieomal zupełnie wpływ na wychowanie księży i skrępował jej ręce w doborze młodzieńców, poświęcających się stanowi duchownemu. Wszak o przyjęciu kandydata do seminaryum lub do klasztoru rozstrzyga w gruncie rzeczy policyant. A całe wychowanie młodzienców rząd właściwie dla siebie zagarnął i trzyma je na niskim poziomie duchowym i umysłowym.

Bogu dziękować, że mimo to wszystek ogół dochowieństwa polskiego jest nieskażony i w tak trudnych warunkach okazuje się godnym swego powołania i tak dzielnia spełnia swoje obowiązki. Ale w tych warunkach nieuniknioną jest rzeczą, by tak parszywe owce, jak Macoch, i t. d. nie zakradły się do trzody, szczególnie, że przemycają je możni opiekunowie rządowi.

Macoch jest wybitnym okazem wychowania systemu rządowego. Służył rządowi, jako pisarz gminny; urząd to w Królestwie pogardzany, ale dla ludności naszej niebezpieczny, bo piastun urzędu tego, to niemal zawsze szpieg, złodziej i łapownik. Taki pisarz gminny musiał być rządowi bardzo miłym kandydatem na zakonnika katolickiego i stróża Jasnej Góry. Takimi stróżami najłatwiej gnębić majestat Kościoła katolickiego, tak mniemał rząd.

Ostatecznie Macoch i jego towarzysze we własnych osobach dowiedli, do czego są zdolni wychowańcy systemu rządowego. Nie cofają się przed niczem, dusza ich zupełnie zatruta i wyzuta, z wszelkich uczuć górnych i wszelkiego szacunku dla świętości ludzkich. Popełniają zbrodnie ohydne, tem ohydniejsze, że ich sprawcy noszą znamiona kapłanów, i że ich się dopuszczają w tych właśnie okolicznościach.

I zasiedli na ławie oskarżonych, ale nie kapłani, nie przedstawiciele Kościoła polskiego, nie synowie poczuwający się do wspólności z społeczeństwem polskiem, nie, na ławie oskarżonych zasiedli wychowańcy systemu rosyjskiego, renegaci polscy z duszą zruszczoną, a w ich osobach cały barbarzyński system rządów carskich. A sąd rosyjski musiał sądzić twory rządu rosyjskiego i wydać na te twory i rząd sam wyrok potępiający, który świat cywilizowany dawno już wydał przed nim.

Kościół katolicki z tej sprawy wychodzi nieskalany, społeczeństwo polskie bez winy, ale obydwaj z tego zdarzenia wysnuwają wniosek, że z barbarzyńskiem caryzmem należy staczać bezustanną walkę o swobodę i prawa Kościoła, aby nie zatruwał serc polskich i katolickich.

*
* *

I jeszcze jedna uwaga. Niema już prawie wątpliwości, że Macoch był szpiegiem — prowokatorem, wysłanym na Jasną Górę przez „ochranę“ rosyjską, aby tam urządził skład broni, bomb i podburzających odezw, które miały potem być wykryte i służyć za dowód przygotowanego powstania, za pozór do rozpoczęcia nowego wściekłego prześladowania polskości i Kościoła katolickiego, no i do nowych zdzierstw i rabunków.

Tymczasem ten ich najemnik odegrał na Jasnej Górze tylko rolę plugawego zbrodniarza i złodzieja. To też można sobie wystawić, w jakim kłopocie był rząd moskiewski, gdy mu przyszło rozpoczynać proces przeciwko temu swojemu najemnikowi, zwłaszcza, że w toku śledztwa zapisano w aktach całych 14 stron zeznań takich, które bez osłony ujawniały całą sprawę o wysła-

niu Macocha do klasztoru jasnogórskiego i o zadaniach, jakie tam miał spełnić.

Wyjęto tedy i zniszczono co prędzej owe 14 stron z aktów; a prokuratorowi i sędziemu śleczemu, który tak nieoględnie prowadzili śledztwo, nakazano na czas procesu zachorować.

Te i inne okoliczności ujawnione w procesie wykazały po nad wątpliwość, że Macoch byłplugawym zbrodniarzem wynajętym przez rząd rosyjski, a więc zbrodnie jego i towarzyszy nie plamią ani Kościoła katolickiego, ani narodu polskiego — ale dowiodły raz jeszcze, jak zbrodniczym jest sam rząd rosyjski, który potrafi wychować takich zbrodniarzy!

Przedwczesnemi więc były tryumfy wrogów Kościoła i Jasnej Góry. Zbrodnia częstochowska napełnia serca polskie żałobą i boleścią, lecz niezdołała wygasić w nich miłości gorącej, którą cały naród polski płonie do królującej na Jasnej Górze Królowej korony polskiej.

To zrozumiał nawet Rosyanin, prokurator Niedźwieckij, który w mowie swej oskarżającej w procesie piotrkowskim, omawiając narodowe i religijne znacznie zbrodni Macocha oświadczył — (może niezbyt zgodnie z intencyami rządu rosyjskiego) — że „czyny haniebne trzech ludzi nie mogą zachwiać wiary narodu w obraz cudowny i nie przestaną ciągnąć do niego niezliczne tłumy pobożnych“.

Jak nam żydzi szkodzą w Ameryce.

W niektórych krajach Ameryki stosunki przedstawiają się dla Polaków pod względem moralnym bardzo przygnębiająco.

Doszło w Brazylii i Argentynie do tego, że nazwa Polak oznacza to samo, co handlarz „żywym towarem“, a Polka znaczy tam tyle, co kobieta lekkich obyczajów. Wiadomo, że kraje te stanowią główne rynki zbytu „żywego towaru“, którzy dostarczają przeważnie żydzi z Królestwa i Galicyi.

Przyjeżdżajac tam, podają się za Polaków, a przywożone żydówki przedstawiają się za Polki. Żydzi później dorobiwszy się na takim „czystym“ interesie majątku zmieniają narodowość, stają się Niemcami, zostawiając na imieniu polskiem piętno, które nietylko jest dojmujące dla polskiej sławy, ale dla uczciwych robotników polskich jest niezmiernie ciężką kulą u nóg, bo naraża ich na niechęć i lekceważenie władz, u których oni zmuszeni są szukać pomocy i opieki.

Podobne stosunki panują i w innych państwach południowo-amerykańskich. W San Paolo n. p. wyraz „Polka“ długi czas oznaczał nierządnicę; miejscowe domy publiczne wypełniane były wówczas żydówkami polskiemi, które jakkolwiek ich współwyznawcy tu w naszym kraju nie zawsze przyznają się do polskości i pod każdym względem starają się wyróżniać od społeczeństwa polskiego, tam na drugiej półkuli, zmuszone do uprawiania hańbiącego zawodu, podają się za rodowite Polki. Skutek był ten, że robotnice Polki co prawda nieliczne, musiały wypierać się swej narodowości, chcąc uniknąć krzywdzących podejrzeń.

Takie są skutki przyznawania się żydów do polskiej narodowości.

Życie uliczne w Kairze.

Tocząca się obecnie wojna włosko-turecka zwróciła znowu uwagę całego świata na narody wschodnie. Turcy i Arabowie są dzisiaj przedmiotem żywego zainteresowania wszystkich społeczeństw, a opisy ich zwyczajów i kultury znajdujemy we wszystkich pismach.

Parę uwag poświęcić pragniemy dzisiaj opisowi pomieszczonemu w jednej z gazet wiedeńskich, a przedstawiającemu życie uliczne w Kairze, jednem z największych miast Egiptu. Jak wiadomo Egipt graniczy z jednej swej strony z Tripolisem i odbywa w obecnej wojnie dosyć ważną rolę, gdyż przez jego granicę przedostają się zarówno oficerowie tureccy, jak i transporty broni i amu-

nicyi do Tripolisu. Egipt jest wprawdzie prowincyą turecką, stoi jednak właściwie pod opieką Anglii, która rządzi się tak prawie, jak u siebie w domu.

Przystępując do rzeczy zauważamy, że życie uliczne w wielkiem mieście wschodniem jest zupełnie inne, niż w innych miastach. Tam właściwie wszyscy żyją na ulicach, nie w domach. Mieszkaniec lub mieszkanka miasta wschodniego załatwiają nawet domowe sprawy rodzinne częstokroć przed domem, tak że kto obserwuje życie uliczne wielkiego miasta, równocześnie poznaje i zwyczaje narodu, który w niem mieszka.

Kairo pod tym względem stanowi typowy przykład, gdyż na jego ludność liczącą około pół miliona głów, składają się prawie wszystkie narodowości wschodu. Aby je dokładnie poznać, trzeba dotrzeć, aż do wązkich uliczek odleglejszych stron miasta, gdzie Arabowie i Egipcyanie rozłożyli swe bazary w ciemnawych uliczkach. Bazary te najczęściej obwieszone są dywanami, a dachy tworzą wielkie rozpięte chusty.

Aby się jednak tam dostać, trzeba powierzyć się opiece przewodnika, który uzbrojony w tęgą pałkę pogania cichego osła używanego zamiast dorożek. Uwagę cudzoziemca przedewszystkiem zwracają kobiety. Noszą one na twarzy długie czarne zasłony sięgające im prawie do kostek. Z poza nich przechodzień dostrzedz może tylko parę ciemnych błyszczących oczu, które nieraz wyglądają, jakby należały do jakiegoś ducha.

W innej cokolwiek weselszej postaci przedstawiają się kobiety i dziewczęta, które na ulicach sprzedają kwiaty i owoce. Śpiewnym głosem wywołują po arabsku swoje towary, zachwalając je przy tem w bardzo obrazowy sposób.

I tak przekupka sprzedająca róże zachwala je, oświadczając, że „róża jej była pączkiem, użyźniona potem proroka rozwinęła się w przecudny kwiat“. Sprzedająca pomarańcze niesie zgrabnie swój towar w okrągłym koszyku na głowie i obiecuje, że pomarańcze słodkie są jak miód. Inna wreszcie zachwala migdały lub inne łakocie, czyniąc to także w formie bardzo obrazowej.

Woda! słowo to stanowi kwestyę życia wschodniego miasta. W Kairze mimo wodociągów, brak wody w mieście, to też specyalni tragarze zajmują się jej dostarczaniem. Zwią oni się „sakkas“, a dzielą się na dwie grupy.

Jedna zajmuje się dostarczaniem wody potrzebnej do kropienia ulic. Za marne wynagrodzenie kilku piastrów noszą cały dzień wodę z Nilu w ogromnych bezkształtnych workach skórzanych, które dźwigają na plecach. Ubranie ich zazwyczaj jest raczej podobne do łachmanów.

Druga grupa znowu sprzedaje po ulicach wodę do picia. Ci noszą ją także na plecach, ale w olbrzymich glinianych butlach i zwabiają do siebie przechodniów, dzwoniąc w duże miedziane kubki, służące do picia wody.

Typową osobą, którą spotyka się na każdej prawie ulicy, koło kawiarń, restauracyi, hoteli i t. d. są czyściciele butów. W różnym wieku, od małych chłopaków do zgrzybiałych starców czychają na gości, powtarzając monotonnym głosem okrzyk „boye“ co znaczy farba, przy czem wskazują na obuwie przechodniów. Czasem stają się oni nawet bardzo natrętni. To samo da się powiedzieć o poganiaczach osłów, używanych tu zamiast dorożek. Stoją oni gromadnie na rogach ulic, a gdy zauważą kogoś z przechodniów, o kim przypuszczają, że mógłby ich usług potrzebować, rzucają się nań całą gromadą pędząc swe osły przed sobą. Otaczają nieszczęśliwca i rozpoczyna się zachwalanie zalet osła ofiarowanego we wszystkich możliwych językach. Przytem poganiacze krzyczą na siebie, wymyślają sobie i t. p. tak, iż powstaje nieopisany hałas.

Tak wyglądają obrazki uliczne z miasta wschodniego. Dodać jeszcze wypada, że domy przeważnie nie mają okien zwróconych na ulicę, albo też są one zamknięte na drewniane okiennice. Za to partery domów zajęte są przez sklepy i kawiarnie lub restauracye cały dzień na oścież otwarte.

Ile czasopism drukuje się na świecie?

Każdy, kto chce posiadać dzisiaj trochę oświaty, musi czytać. Nauka sama choćby prowadzona przez kilka, czy kilkanaście lat nie wystarcza do zdobycia wiedzy, ale trzeba ciągle potem jeszcze to, czego się nauczyło, odświeżać w umyśle przez ciągłe czytanie coraz nowych pism i książek. Nie wszyscy jednak mają czas na to, aby zagłębiać się w licznych tomach książek i ci wiadomości swoje czerpią z czasopism, a więc z miesięczników, tygodników lub dzienników.

Ciekawem też będzie zapytanie, ile na świecie wychodzi czasopism peryodycznych, to jest stale wydawanych oraz, w którem państwie jest ich najwięcej. Statystyka pod tym względem zebrana, wykazuje, że na czele wszystkich państw w Europie kroczą Niemcy.

W kraju tym wychodzi przeszło 10 tysięcy czasopism. 4 tysiące czasopism jest wydawanych z zabarwieniem politycznem. Dzienników wychodzi w Niemczech 1.500, a nakład ich razem wynosi dziennie 25 milionów egzemplarzy. W roku czyni ta suma okrągło 6 miliardów numerów.

Po Niemczech na drugiem miejscu stoi Francya Wychodzi w niej 9 tysięcy czasopism, jednak tylko 500 dzienników. Za to w Paryżu wychodzą dzienniki mające po milionie i więcej egzemlarzy dziennego nakładu.

Austro-Węgry stoją na trzeciem miejscu i posiadają 5.600 czasopism. Czwarte miejsce zajmuje Anglia wydająca 4.400 czasopism. Dzienników wychodzi w Anglii 230, a niektóre również w milionowych dziennych wydaniach.

Włochy wydają 3 tysiące czasopism, wśród których jest tylko 100 dzienników o stosunkowo małej liczbie prenumeratorów.

Hiszpania również nie może poszczycić się wielkiem zamiłowaniem czytania u swych obywateli, gdyż wydaje tylko 2 tysiące czasopism w tem 300 dzienników.

Rosya wykazuje stosunkowo największy analfabetyzm, mimo, iż zarazem ostatnie dwadzieścia lat dowodzą, że chęć czytania wraz z swobodą konstytucyjną coraz bardziej się zwiększa. 100 milionów ludności rosyjskiej posiada 2 tysiące czasopism, a więc tyle co Niderlandy, mały kraik na północy Francyi. W roku 1890 było jeszcze gorzej, gdyż w Rosyi wychodziło tylko 800 czasopism. Obecnie więc liczba ich zwiększyła się trzykrotnie, a zarazem wychodzi już 200 dzienników.

Tanie bardzo, a tem samem prawie przez wszystkich czytane są gazety i czasopisma w Belgii. Procent analfabetów wynosi tylko dwa procent, czyli, że na stu ludzi tylko dwóch nie umie czytać. To też wychodzi tam 2.200 czasopism, a niektóre dzienniki mają nakład wynoszący po 200 tysięcy numerów dziennie. Jak tanie są tam dzienniki dowodzi n. p. to, że dziennik katolicki »Le patriote« mający nakład 200 tysięcy egzemplarzy kosztuje rocznie 10 franków (9 koron) i dostarczany jest trzy razy dziennie do domu.

Szwajcarya z swoimi trzy i pół miliona mieszkańcami wydaje — 1.200 czasopism w tem 100 dzienników. Dania zaś dla 3 milionów mieszkańców ma 1.450 czasopism. W Szwecyi wychodzi 1000 czasopism, w Norwegii i Rumunii po 600, w Turcyi 300, w Grecyi 150, zaś w Bułgaryi, Serbii, Portugalii i Luksemburgu po mniej, niż 100.

Razem licząc Europa posiada około 50 tysięcy czasopism. Prasa stanowi w niej więc potęgę pierwszorzędnej wagi.

Jeszcze bardziej jednak uwydatnia się wpływ i znaczenie prasy w Ameryce. Stany Zjednoczone stoją na pierwszem miejscu wśród państw całego świata co do ilości wydawanych czasopism, gdyż posiadają ich około 22 tysiące. Dzienników wychodzi w Stanach Zjednoczonych 2,500. Jak wielki jest zbyt na pisma w Ameryce dowodzą inne jeszcze cyfry. Prasa codzienna Stanów Zjednoczonych zużywa rocznie papieru za 130 milionów koron, dochody brutto wynoszą rocznie około miliarda koron, anonse przynoszą same 500 milionów koron, zaś prenumerata blisko 450 milionów koron. Inne kraje amerykańskie przedsta-

wiają bardzo skromne cyfry. Kanada ma 1.200 czasopism w tem 100 dzienników, Mexyk, Brazylia i Chile po 300 czasopism, Venezuela 170, Ecquador 40, Argentyna 750.

W Azyi na czele kroczą Japończycy. Podczas gdy w Chinach wypada zaledwie jedno czasopismo na dwa miliony mieszkańców, to jest razem 200 czasopism, wydaje Japonia ich aż 2 tysiące, a niektóre dzienniki mają po 400 tysięcy numerów dziennego nakładu. Indye wydają 1.890 czasopism, Australia około tysiąc.

W Afryce, w Egipcie, Algierze i południowych krajach wychodzi około 300 czasopism, w Abisynii, Maroku, Kongo, Ugandzie i innych na pół dzikich krajach nie ma ich wcale.

Najcharakterystyczniejsze jest, że na całej kuli ziemskiej w stosunku do ilości mieszkańców najwięcej czasopism posiada Islandya... 80 tysięcy mieszkańców tej wyspy ma aż 30 czasopism.

Z przeglądu tego możemy nabrać przekonania, że prasa, jeżeli chce, naprawdę może dziś obalać władców i kierować opinią publiczną całej kuli ziemskiej.

Rozmaitości.

Obchód narodowy 50-cio lecia powstania polskiego z roku 1863. W roku 1913 przypada pięćdziesiąta rocznica ostatniej walki naszego narodu o niepodległość. Lwów dał początek do godnego uczczenia tego jubileuszu bohaterstwa i miłości Ojczyzny, a prace przygotowawcze już się rozpoczęły.

Prezydyum Komitetu uroczystego obchodu tej rocznicy uchwaliło, że prócz obchodu we Lwowie winny się też odbyć obchody we wszystkich miastach kraju, a w tym celu postanowiono się odnieść do wybitnych osobistości na prowincyi o zawiązanie komitetów miejscowych, na których pierwsze posiedzenie przybędzie delegat Komitetu lwowskiego.

Wystawa pamiątek z roku 1863 odbędzie się w roku przyszłym we Lwowie, a urządzeniem jej zajmują się z ramienia Komitetu obchodowego dr. Rutowski i dr. Czołowski.

Wystawa będzie miała dwa działy: pierwszy obejmie wszelkie pamiątki, dokumenty i t. p. tyczące się powstania z roku 1863, przyczem chodzić też będzie o zebranie około 8 tysięcy fotografij uczestników powstania; drugi dział tej wystawy będzie obejmował dzieła sztuki. które mają za przedmiot wypadki

z roku 1863, a które są bardzo liczne i niejednokrotnie należą do największych arcydzieł sztuki (n. p. rysunki Grottgera).

Kontrakt stapińszczyków ze stańczykami. Przypierani przez ludowców niezawisłych, mają stapińszczycy wkrótce opublikować tekst układu zawartego w roku 1907 z konserwatystami na dowód, że układ obejmował tylko czas wyborczy.

Lecz sojusz stapińszczyków z konserwatystami i rządem opiera się nie na jednym dokumencie. Jest podobno więcej podpisanych zobowiązań, które nigdy nie ujrzą zapewne światła dziennego.

Szkółka polska w Londynie. Polacy londyńscy obchodzili niedawno w lokalu przy ulicy Oid Ford, wynajętym przez panią Pace, Polkę, zamężną za Anglikiem, na szkółkę i czytelnię polską, jubileusz dziesięciolecia założenia pierwszej szkółki dla dzieci polskich w Londynie.

Szkółka ta jest tam prawie jedyną polską szkółką, gdyż dopiero od zeszłego roku i w innych bardzo oddalonych od Old Fordu dzielnicach, raz, lub dwa razy na tydzień, odbywają się lekcye języka polskiego i religii.

Marzeniem pani Pace jest uzyskać stały i własny lokal na szkółkę polską. Tymczasem brak jeszcze funduszu, koniecznie potrzebnego dla zaczęcia budowy. Szkółka ta przeciętnie 50-ciu dzieciom daje możność uczenia się po polsku i niezapominania swego języka. A oprócz tego ciągłe stykanie się z sobą dzieci, jest jakby ogniwem, łączącem szkołę z biedną i porozrzucaną po wszystkich dzielnicach Londynu polską ludnością i daje możność pani Pace i jej współpracownikom przychodzenia z pomocą potrzebującym wsparcia lub opieki.

Godnem naśladowania jest zarządzenie węgierskiego ministra oświaty hr. Zichy, wystosowane do wszystkich inspektorów krajowych na Węgrzech, w którem poleca, ażeby począwszy od tego roku we wszystkich szkołach ludowych jeden dzień poświęcony był wyłącznie pouczaniu młodzieży szkolnej o szkodliwych skutkach alkoholizmu. Dzień ten wyznaczy inspektor krajowy. Za tym przykładem mógłby także pójść i nasz wiceprezydent Rady szkolnej krajowej p. Dembowski.

Prawa kobiet w Norwegii. Parlament norweski przyjął projekt ustawy przyznającej kobietom możność uzyskania urzędów państwowych, z wyjątkiem stanowiska ministrów, oraz urzędów duchownych, konsularnych i wojskowych.

Kosztowny zbiór marek. Węgierski handel markami pocztowemi Bela Szekula zakupił od peszteńskiego budowniczego R. Holtischera jeden z największych i najkosztowniejszych zbiorów marek, jakie istnieją na świecie. Za zbiór ten miał zapłacić Szekula — tak przynajmniej donoszą dzienniki peszteńskie — olbrzymią sumę 714 tysięcy koron. Zdaniem znawców, zbiór Holtischera zawiera marki rzadko spotykane nawet w zbiorach naj-

bogatszych. Sam zbiór marek hiszpańskich ma być wart 145 tysięcy koron. Są też w zbiorze sprzedanym, obejmującym 17 grubych tomów, marki oceniane każda na kilka tysięcy koron.

Klub samobójców w Petersburgu. Dzienniki rosyjskie przynoszą wiadomość o wykryciu w Petersburgu klubu czyli Stowarzyszenia samobójców, liczącego bardzo wielu członków. Rada tego klubu odbywa co pewien czas posiedzenia.

Na każdem takiem posiedzeniu członkowie rady ciągną losy na dziesięć ofiar samobójstwa z pośród członków. Wylosowani obowiązani są w określonym czasie dokonać żywota. Posiedzenia tego śmiercionośnego trybynału odbywają się za każdym razem gdzieindziej. Członkowie rady samobójczej nie są znani innym członkom klubu.

Co pewien czas odbywają się ogólne zebrania, na których odczytywane są wykłady o potrzebie zbawienia ludzkości od cierpień przez samobójstwa Agitatorami samobójstwa są mowcy płomienni, elektryzujący słuchaczów. Liga zwoleników samobójstwa zakłada podobno oddziały w Moskwie, Charkowie, Odessie, Kijowie i do wszystkich miast, jak również do Warszawy, wysłała swoich agitatorów.

Dwa zapisy. W Almaraz (w Hiszpanii) jakiś bogaty mason zapisał testamentem 125 tysięcy pesetas na założenie szkoły bezreligijnej. Za to pani, niechcąca być wymieniona, ofiarowała natychmiast 200 tysięcy pesetas na szkołę katolicką na tem samem miejscu.

Restauracya bez usługi. Wszystkie stare bajki zaczynają się urzeczywistniać dzięki wynalazkom nowoczesnym. W latach dziecięcych wierzyliśmy, że za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki nakryje się stoliczek i poda nam różne przysmaki.

Pewien restaurator paryski do obsługi wezwał jedynie elektryczność. Nie ma w jego lokalu ani jednego kelnera — usługują duchy niewidzialne. Pod lampką, osłoniętą różowym papierem, na każdym stoliku stoi malutki telefon; przy jego pomocy gość zamawia w kuchni, co chce jeść i pić.

W parę minut potem stolik rozszczepia się w środku, a z dołu na tacy wynurzają się zamówione potrawy i napoje. Taca ustawia się sama na stole, który natychmiast zsuwa się znowu. Zabieranie talerzy, widelcy i noży niepotrzebnych odbywa się w ten sam sposób. Rachunek przychodzi także automatycznie z dołu i gość kładzie pieniądze i otrzymuje resztę przy pomocy elektryczności, a napitków nie potrzebuje płacić żadnych.

Ulice Paryża obsadzone są drzewami których liczba wynosi 87 tysięcy sztuk — prócz parków. Pomiędzy wszystkiemi drzewami rośnie tylko jeden jedyny dąb, a natomiast ocieniają ulice drzewa prawie nieznane w Europie. Obok platneanów, kasztanów, akacyi, lip i klonów, wznoszą się japońskie Patownias, indyjskie

sofory, amerykańskie orzechy. Utrzymanie plantacyj kosztuje Paryż 350 tysięcy franków rocznie.

Biblijna odpowiedź. W pewnej parafii niemieckiej w kościele zaprowadzono oświetlenie elektryczne, które po pewnym czasie zaczęło szwankować. Prezes dozoru kościelnego zwrócił się do firmy, która urządziła oświetlenie z żądaniem przesłania montera, ale ten jakoś nie kwapił się z przyjazdem — wreszcie wiceprezes, zirytowany, zatelegrafował we wyrazach dość ostrych i niebawem otrzymał również odpowiedź telegraficzną tej treści: „Biblia rozdział 20, wiersz 5“.

Nie było innej rady, tylko pójść za tą wskazówką i prezes, otworzywszy wskazane miejsce, przeczytał: „A oto zjawi się we wspaniałości i cierpieniu, a płacz w radość zmienione zostaną. Miejcie przeto wasze lampy w pogotowiu, albowiem jest on już w drodze“. I rzeczywiście monter niebawem nadjechał i doprowadził wszystko do porządku.

Samobójstwo z powodu kandydatury Roosevelta. Bogaty kupiec William Volmilya Beging popełnił w Nowym Jorku samobójstwo. W pozostawionym liście samobójca twierdzi, że targnął się na swe życie z tej przyczyny, ponieważ Roosevelt zyskuje coraz więcej zwolenników, popierających kandydaturę jego na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych, co dla kupiectwa może przynieść bardzo wielkie szkody.

Zaćmienie słońca w Paryżu. Pisma francuskie zajmują się obszernie wypadkiem, jaki czeka Paryż w dniu 17-go kwietnia bieżącego roku o godzinie 12 minut 10; całkowite zaćmienie słońca, zjawisko w Paryżu po raz pierwszy po 120 latach. W dniu 17-go kwietnia będzie widocznem to zaćmienie jako częściowe w krajach południowej Europy.

Wygrany los w trumnie. Z Gracu donoszą, że notaryusz jednego z sąsiednich miasteczek dr. Schmeterling, trzymając do chrztu pierworodnego syna włościanina Hellmanna, podarował mu los turecki.

Przed kilku dniami dr. Schmeterling, przeglądając ostatnią listę ciągnięń, dostrzegł, iż na los, który przed 25 laty darował swemu chrześnikowi, padła wygrana kwocie 50 tysięcy franków. Ucieszony doniósł o tem Hellmannowi i prosił, by tenże nadesłał mu los, a on już zajmie się podjęciem wygranej.

W domu Hellmanna, po nadejściu listu od notaryusza, nastał sądny dzień. Rozpoczęto poszukiwania losu, lecz bez skutku; przepadł jak kamień w wodzie. Przeszukano wszystkie skrytki, dom cały, stajnie i stodołę, lecz napróno.

Po trzech dniach przypomniała sobie Hellmannowa, gdzie przed 15-tu laty schowała los. Oto włożyła go do starej książki do nabożeństwa, którą następnie dano do trumny zmarłej przed 10-ciu laty babce (Obecnie czyni Hellmann w starostwie starania o pozwolenie na ekshumacyę zwłok babki).

Tureccy jeńcy we Włoszech. Francuskie czasopismo „Opinion“ opisuje pobyt jeńców tureckich na dwu wyspach sycylijskich Ustika i Favlgnana. Ta ostatnia służy zwykle za więzienie zbrodniarzom. Po wybuchu wojny trypolitańskiej ustąpili oni miejsca tureckim jeńcom, ku wielkiemu żalowi krajowców, albowiem nie mają oni żadnego zysku z Arabów i Turków, poprzestających na strawie, udzielanej im przez rząd włoski. Nie jest ona obfitą, ani smakowitą. Składa się tylko z zupy. Ale to jeńcom wystarcza, nie skarżą się, nie dokupują pożywienia.

W chwili obecnej jest ogółem 170 jeńców, lecz ma niebawem przybyć nowy transport, złożony z 200 głów. Mieszkają w sześciu kamiennych domach, pokrytych słomą, a są tak potulni, iż dozorcy zaniechali noszenia broni. Jeńcy spełniają wszelkie narzucone im posługi: dźwigają wodę, zamiatają ulice i t. p. Są to przeważnie ludzie młodzi, od lat 15-tu do 30-tu, jest wśród nich paru tylko starych, nie nadających się do żadnej roboty.

Jeńcy na wyspie Ustika więzieni są w domach prywatnych pod osłoną straży i strzeżeni przez bersaglierów, którzy obchodzą się z nimi nielitościwie. Jeńcy stłoczeni są po 10-tu w małych izdebkach, w razie choroby umieszczani w lazaretach pozbawionych wszelkich urządzeń zdrowotnych. Włosi od czasów najdawniejszych nie słynęli z litości dla rozbrojonego przeciwnika.

Największym dworcem na świecie ma być co dopiero ukończony dworzec kolejowy w Lipsku. Wybudowano go kosztem 5 milionów marek. Z ruchu, jaki tam panuje, można mieć jakie takie wyobrażenie, jeżeli się zważy, że przybywa tam codziennie 300 tysięcy, a więc przeszło ćwierć miliona paczek. Same wagony pocztowe, które przywożą i odwożą codziennie olbrzymią ilość paczek, stworzyłyby pociąg o długości pięciu kilometrów.

Szkoła dla księżniczek. W Bangkoku (w Syamie) istnieje szkoła, której uczennicami są wyłącznie księżniczki syamskie rodu królewskiego. Oprócz czytania. pisania, muzyki, uczą się wszystkich zajęć domowych, a więc szyć, prać, gotować, sprzątać i t. p.

Każda z księżniczek kolejno do stołu nakrywa, zdobi go kwiatami, układa jadłospis. W obrębie szkoły niema ani jednego mężczyzny, albowiem wedle syamskiego obyczaju, kobietom nie wolno widywać żadnych obcych mężczyzn. Co piątku księżniczki odsyłane są do domów pod eskortą zaufanych służących. Kurs trwa pół roku.

Spis ludności we Włoszech. Włoskie ministerstwo rolnictwa, przemysłu i handlu ogłasza pierwsze tymczasowe wyniki spisu ludności z dnia 10 stycznia bież. rok. Według niego ludność Królestwa włoskiego wynosi 34,686.653 osób, do czego doliczyć należy jeszcze 1,150.236 Włochów, nie mieszkających stale w kraju. Ogółem Włochy liczą zatem 35,959.077 mieszkańców; w porównaniu z ostatnim spisem ludności w roku 1901 ludność Włoch wzrosła o 2,211.400 czyli o 6·84 procent.

CZĘŚĆ POWIEŚCIOWA i NAUKOWA.

NA ZMARTWYCHWSTANIE.

Z kościelnych dzwonnic — płyną dzwonów echa,
Ku niebu modlitw wzbija się błaganie,
Świat się w radości i słońcu uśmiecha.
Na Zmartwychwstanie.

W świeżuchną ziemia stroi się sukienkę,
Różową łuną mieni się świtanie,
Skowronki dzwonią wiośnianą piosenkę
Na Zmartwychwstanie.

I w duszy ludzkiej coś jakby się budzi;
Uśpione struny nowa pieśń potrąca —
I tłum się modli ukorzonych ludzi
O trochę słońca.

O trochę słońca, co mroki rozprasza,
O silną wolę i z błędów powstanie
Błagają ludzie — błaga ziemia nasza
Na Zmartwychwstanie.

Posłannictwo Polski*).

PANI NARODÓW!

«Stałaś się osamotniona jako wdowa,
ty Pani narodów» — mówi prorok.

Nie tylko osamotnioną, jako wdowa, jest dzisiaj Polska, ale opuszczoną przez wszystkich, obdartą przez sąsia-

*) Przemówienie w Czytelni króla Sobieskiego T. S. L w Wiedniu, wygłoszone przez ks. Jul. Lukaszkiewicza, honorowego kan. Bazyliki loretańskiej.

dów i fałszywych przyjaciół, podeptaną przez silniejszych, wzgardzoną przez Europę, wyszydzoną przez świat cały, a wyzyskiwaną przez wszystkich.

Czy mamy rozpaczać? czy zalewać się łzami smutku? — lub dać za wygranę? popełnić samobójstwo narodowe i rozpłynąć się wśród ludów silniejsszych i zwycięskich?

Ani jedno, ani drugie!

Najpierw powinniśmy pamiętać o tem, że Bóg dał Polakom posłannictwo dziejowe. Polska przoduje w Słowiańszczyźnie, a przez Słowiańszczyznę jest panią narodów.

Nie wolno nam rezygnować z tej szczytnej misyi, i spełnić musimy wolę Opatrzności. Im prędzej to uczynimy, tem lepiej dla narodu, dla Słowiańszczyzny, dla ludzkości całej.

Dalej nie mamy powodu do płaczu dlatego, że ojcowie nasi byli krótkowidzami i na chwilę zapomnieli o misyi otrzymanej, że sąsiedzi nasi byli źli, chytrzy i przewrotni, a Europa niewdzięczną.

Jeżeli przed 150 laty nie chcieliśmy widzieć podstępów naszych sąsiadów, pomimo, że wieszcze narodu upominali nas i przestrzegali, to dzisiaj wiemy chyba doskonale o tem, do czego dążą otwarcie i skrycie władze zaborcze, i nie powinniśmy dać się wywieść w pole pięknemi obietnicami i słówkami nikomu.

Prusy wyrosły z łaski Polski. Austro-Węgry uwolnił król Sobieski od ohydnego jarzma tureckiego. Rosya kilkakrotnie pobita leżała u stóp Polski, a carowie jej w kajdanach niewolników pędzeni byli do stolicy nadwiślańskiej przed oblicze polskiego króla.

Nie chcieliśmy ujarzmiać Prus, widzieć Austryę chrześcijańską w niewoli tureckiej, ani rzucić jarzma niewoli na Rosyę, choć mogliśmy to kilkakrotnie uczynić. Po sąsiedzku, w myśl posłannictwa Bożego, pozwoliliśmy tym trzem państwom żyć i leczyć swe rany, nie chcąc korzystać z ich chwilowej słabości.

Tymczasem, jak się nam odwdzięczyły te trzy mocarstwa sąsiednie, istniejące tylko z łaski Polaków? — wiemy o tem doskonale.

Nie płaczmy także dlatego, że Europa była wobec nas niewdzięczną. Żywiliśmy ją swojem zbożem i bronili przed najazdem Tatarów, Turków i Moskali. Złoto polskie strumieniami płynęło do Niemiec, do Włoch, do Rzymu; oprócz legatów mieli Papieże w Polsce stałych »kolektorów świętopietrza«, którzy uzbierane pieniądze wysyłali do Rzymu. Kupcy włoscy, niemieccy, żydowscy ogromnych dorabiali się u nas majątków.

Polska przedmurzem i żywicielem była Europy i strażniczką kresową zachodniej kultury, Polska Wszechnica w Krakowie ściągała tysiące młodzieży z rozmaitych krajów, wydała wielkich uczonych, jak Kopernik, i wielu świętych, jak Jan Kanty.

Polska była Panią narodów.

A jak z jednej strony broniliśmy Europy przed zalewem barbarzyństwa azyatyckiego, tak z drugiej strony broniliśmy Słowiańszczyznę przed powodzią niemiecko-krzyżacką, przelewając hojnie krew w licznych utarczkach, bitwach i wojnach, aż zwycięstwo grunwaldzkie kres położyło najazdom germańskim.

Polska była Panią Słowiańszczyzny.

Pracowaliśmy dla Słowiańszczyzny i dla Europy szczerze, uczciwie, ze zrozumieniem naszego posłannictwa i poświęceniem bez granic. Korzystali z naszej pracy wszyscy, wyzyskiwali nas chytrze, jak n. p pod Wiedniem, okazali się nam niewdzięcznymi sąsiedzi, a dziś uciskają nas i szydzą w dodatku z nieszczęśliwych...

Ludzie to — czy szakale?!

Był czas, żeśmy apelowali do Europy, żądając sprawiedliwości i pomocy — ale nadaremnie. Nauczyliśmy się zbyt późno, że na własne tylko liczyć możemy siły i na Boga. My i Bóg!

Jeżeli chcemy płakać, to płaczmy, ale nad winami własnemi.

Stanąwszy u szczytu chwały i powodzenia za Sobieskiego, sprzeniewierzylismy się poruczonej nam przez Boga misyi, nie chcieliśmy pracować dalej, utonęliśmy we wygodach, dostatkach i rozpuście saskiej, więc straciliśmy państwo polskie. Dziś nie otrząśliśmy się jeszcze zupełnie ze

saskiej choroby, nie poprawili należycie, nie wrócili do posłannictwa dziejowego — więc tracimy narodowość polską.

Zawróćmy na właściwą drogę!

Bóg uczynił Polskę »Panią narodów« i włożył w ręce jej królewskie berło przewodnictwa w Słowiańszczyźnie. »Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie» — potwierdza Z. Krasiński.

Wśród plemion słowiańskich mieliśmy położenie centralne, kraj mlekiem i miodem płynący. Od Karpat oddech miał on na północ ku jednemu morzu i na południe ku morzu drugiemu. Miała więc Polska przeznaczenie wywierać wpływ nietylko na całą Słowiańszczyznę wokoło, ale nawet na losy świata całego, (jak to dziś czyni Rosya, uzurpując sobie posłannictwo dane Polsce). Język polski jest najpiękniejszym, najwyżej rozwiniętym i wykształconym z pośród języków słowiańskich, a w zgodzie z owem centralnem położeniem geograficznem.

Jak wywiązała się Polska ze swego posłannictwa dziejowego?

Zasłoniła piersią swoją potop germański, który od południa i północy zalał Słowian nad Dunajem i nad Łabą. Kilka wieków trwały dziejowe Polaków zapasy, aż Grunwald kres im położył: oswobodził Słowiańszczyznę od najazdu Niemców.

Połączywszy się z Litwą, Unią Lubelską 1569, uznali Polacy Ruś jako równorzędnego brata Słowianina — tylko przez wzgląd na swoją misyę wśród Słowian. Część Rusi była podbitą przez Litwę, część przez Polskę. Mogliśmy Rusinów traktować jako naród zwyciężony, jak dziś n. p. traktują Rosyanie Polaków. Ale myśmy tego nie uczynili, myśmy wciągnęli biednych, słabych, niewykształconych Rusinów do trójprzymierza, myśmy powiedzieli:

W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. — To nasza modliwa, Jako jeden jest Bóg, — Tak jedną jest Polska, Ruś i Litwa.

A potem zawartą została Unia Brzeska między Kościołem łacińskiego obrządku i cerkwią obrządku greckiego w myśl posłannictwa wśród Słowian. Wolność jedna-

kowoż miały wszystkie wyznania w Polsce, i nikt nie był prześladowanym za swą religię.

A więc godnie, — choć może bezwiednie spełniliśmy posłannictwo nasze wśród Słowiańszczyzny i w świecie. I jak długo je spełnialiśmy, tak długo byliśmy wielkimi i niezależnymi.

Ciągłe wojny z Niemcami i Krzyżakami, z Tatarami i Turkami, ze Szwedami i z Moskalami wyrobiły u Polaków świadomość narodową i świadomość posłannictwa w Słowiańszczyźnie. Ta świadomość choć nie zawsze występowała jaskrawie lub sformułowaną była należycie, a kierowana celowo, — tkwiła zawsze w duszy Polaków, i ona to ocaliła naród polski, gdy prysło w strzępy polskie państwo. Ona to daje nam niespożytą siłę życiową, do przetrzymania wszelakich ucisków i prześladowań; ona wskrzesza przed oczami naszemi świetne tradycye przeszłości, ona mówi nam zawsze o wielkich ideałach na przyszłość; — ona chroni nas od rozpaczy, od upadku, od zniechęcenia z powodu chwilowych niepowodzeń i niewiary we własne siły; — ona ochroni od spodlenia, porzucenia sztandaru narodowego i wyrodowienia na obczyźnie.

A więc nie smucić się nam, nie płakać i nie rozpaczać, ale myśleć nad tem, jak w dzisiejszem położeniu i otoczeniu pracować dla misyi powierzonej narodowi naszemu przez Boga; jak leczyć naszą niemoc wiekową, spowodowaną saską hulacznością; jak uzdrowić coraz to nowe zadawane nam rany; jak zwyciężać rzucane pod nogi nasze przeszkody tak obcych, jak i przez swoich, usłużników kapitałów wrogich, krótkowidzów dotkniętych obłędem samolubstwa, jak wreszcie pracując dla dobra polskiego narodu, pracować równocześnie dla całej Słowiańszczyzny.

Gdyśmy zdobyli się ńa odwagę i przyznali do swych win i błędów; — gdyśmy zdobyli się nawet na skruchę i uderzyli się kornie w pierś, — zdobądźmyż się jeszcze na siłę woli, aby naprawdę poprawić się ze swych błędów i rozpocząć fundamentalną pracę narodową.

Nie sztuka jest uczone pisać historye o przyczynach naszego upadku; nie sztuka wyliczać winy przeszłości

i winy narodowe, które dziś popełniamy, — ale sztuka win tych nie popełniać! Sztuka zerwać przywileje stanowe, których z uporem pilnujemy; sztuka zrzucić pychę ze serca i zniżyć się do mieszczan i ludu, choćby z ofiarą czasu i pieniędzy; — sztuka zerwać z egoistycznemi interesami samolubnymi, szkodliwemi narodowi; — sztuka stłumić w sobie osobistą niechęć i nienawiść, zazdrość i mściwość wobec rodaków; — sztuka otworzyć sakiewkę i dać grosz dla poparcia »Sprawy» czyto narodowej, czyto oświatowej, ekonomicznej lub społecznej; — sztuka zamnkąć się w swoim domu, i tu w czterech ścianach, chociaż otoczeni jesteśmy na obczyźnie morzem niemieckiem wokoło, lub ruskiem na wschodzie, bronić polskiego języka, polskich tradycyj i posłannicwa, które Bóg dał Polakom, wytrwale i tak długo, aż wypracujemy sobie przyszłość słoneczną.

Nie zapominajmy nigdy o tem, że Bóg uczynił Polskę Panią narodów i Królową Słowiańszczyzny. Chociaż dziś w niewoli jesteśmy, chociaż na pielgrzymstwie i tułaczce, Bóg nie odebrał nam tej misyi wśród Słowian i posłannictwa światowego przez Słowiańszczyznę. Przez Polaków i przez Słowian przyjdzie królestwo Boże na ziemię, o którem mówi Ewangelia i o które modli się codziennie chrześcijaństwo, mówiąc »Ojcze nasz«.

Jak długo istnieć będzie naród polski, tak długo przewodzić będzie i królować narodom słowiańskim w królestwie myśli i ducha, a duch silniejszym jest jak ciało, silniejszy jak materya, silniejszy jak zewnętrzna potęga państwowa.

Pomimo, że trzy jarzma gniotą dziś Polskę, pomimo, że czwarte jarzmo domowe żydowskiego nacyonalizmu osłabia nas materyalnie, nie upadamy na duchu, ale dziś nawet pracą ducha i serca filozofów i poetów, kaznodziei i historyków, wieszczów i myślicieli wybiliśmy się na czoło, przodujemy narodom słowiańskim i jesteśmy koroną chwały słowiańskiego świata.

Polscy pracownicy najszczytniejsze głoszą ideały, najszlachetniejsze głoszą zasady, najgórniejsze wypowiadają myśli. Naszych wieszczów cechuje wspaniała podniosłość natchnień, przepastna głębia uczucia szczerość prawdy, nie-

pokalana czystość zamiarów i celów, bezinteresowna szlachetność i ofiarność bezgraniczna.

Misyonarski głos polski, niby głos Archanioła rozbrzmiewa nietylko nad Wisłą, on płynie dalej do słowiańskiej braci, budzi ich do świadomości narodowej, do życia, krzepi, wzmacnia, zachęca i kieruje do przeznaczonej nam światowej pracy. Ideały polskie świecą jasno, jak pochodnie, wskazując Słowiańszczyźnie własne drogi, własne poglądy na świat, które prowadzą ją coraz wyżej i wyżej ku gwiazdom, ku niebu.

Słowiańszczyzna, wiedziona ideałami Polaków, da światu braterstwo ludów, — da miłość wzajemną i rzetelną uczciwość, zalecaną tak gorąco przez św. Pawła, — ona urzeczywistni nareszcie myśl Chrystusową na świecie i wykona rozkaz, którego zachód nie posłuchał, wykrzywił, spaczył i zaciemnił na długie lata — Polska i Słowiańszczyzna zbudują ewangeliczne królestwo Boże na ziemi.

Służąc narodowym ideałom, służymy i Polsce i Słowiańszczyźnie; — pracując dla Słowiańszczyzny, pracujemy dla ludzkości całej.

Bóg dopuścił niewolę na wszystkie narody słowiańskie, aby przygotować je do światowej misyi urzeczywistnienia królestwa Bożego na ziemi. Gorycz niewoli uczy naród prawdy, poczucia sprawiedliwości, miłości i oczyszcza go z wad, niby ogień złoto.

Upadło państwo wielkomorawskie przez niezgodę wielmożów; wielkoserbskie, bułgarskie, kroackie, czeskie i długo jęczały lub jęczą w niewoli. Rosya znosiła przez dwa wieki niewolę tatarsko-mongolską. Wyszkolona uciskiem, skonsolidowała się materyalnie, ale nie zrozumiała myśli Bożej wobec Słowiańszczyzny. Ujarzmiła Polskę, ubezwładnioną saską rozpustą, i dziś tępi Polaków i Rusinów, kłamiąc światu, że przyjęła na siebie posłannictwo przodowania Słowiańszczyźnie.

(Dokończenie nastąpi).

Legenda wielkanocna.

I wyszła Marya, Matka Jezusowa, z dzbankiem na głowie do studni, przy której schodziły się niewiasty jerozolimskie.

Była zaś smutna, bo Jezus był w grobie przed wejściem gwiazdy sabbatu złożony. A przez dzień sabbatu wiatr naniósł nad miasto jakby łez, bo całe powietrze perliło się jakimś łzawym smutkiem, co przypominał świtanie dżdżystego słońca. Żaden z uczniów Jezusa nie odwiedzał domu Maryi, bojąc się prześladowania rady starszych i rozbestwionego tłumu. Trwała tedy Marya w niepocieszeniu przez dzień sabbatu, otoczona pustką; a nawet wiatr, gdy wpadł z prochem ulicy i żarem słońca, mówił Jej szumem: »Niema Go już, niema«.

Aż oto usnęła około północy i miała sen, jak słodki wiatr, przy którym kwiat się rozwija. Śniło się Jej, że wiedzie Jezusa za rękę, jak był małem chłopięciem. Było to tak, jak w ów dzień, gdy z Józefem opuszczała Egipt. Marya usiadła pod palmą, by nieco odpocząć, a Jezus odszedł szukać wody dla zmęczonych rodziców. A że nie miał przy sobie dzbanka, ni żadnej skorupki, którąby czerpał, uchylił nieco sukienki i wszedłszy między głowy róż, prosił je, by mu odstąpiły srebra swej rosy. A róże jęły kłonić ku Niemu swe główki i kołysząc niemi, rzucały Mu na sukienkę perły i opale z głębi swych jedwabnych zanadrzy. I cieszył się Jezus i był im wdzięczny; ale, że miał suknię długą, więc pereł wydało Mu się jeszcze mało. Brnął tedy głębiej w różany deszcz kwiatów i sam był jako jedna z lilij z niwy przedwiecznej, między śmiertelnych rzucona... A im dalej szedł, kwiaty miał piękniejsze i opale większe, roztęczone... i brzemię miał lśniące, jak gwiazda betlejemskiej kołyski.

I stało się, że Marya zbudziła się z zamyślenia, a nie wiedząc, gdzieby był Jej Syn, pytała Józefa: »Gdzie jest Jezus?« Ale i ten się zdumiał i nie umiał odpowiedzieć. Pytała przeto róż, co stały koło Niej: »Gdzie jest Jezus?« Róże jej wtedy odrzekły: »Był tu, był tu, ale poszedł«. Zasmuciła się więc Marya i łza zapaliła się w Jej oku, wielka,

jak brylant. I podleciał jasny jakiś motyl, wziął łzę na skrzydła i poszedł szukać Jezusa. A znalazłszy Go, rzucił łzę Maryi do złotego brzemienia.

I ta jedna łza tak zaciężyła dziecięciu, że usunął mu się z ręki rąbek sukni i cały z trudem uzbierany skarb rozsypał się po łące, jak tęczowy dywan Jedna mu tylko perła, jedna łza Maryi została.

A przecież ciężar się nie zmiejszył, ale więcej bolał. Poznał tedy Jezus łzę swej matki i podniósłszy oczy do słońca, skarżył się głosem, do grania fletni pastuszej podobnym: »Matko, co łzami wichry rozczulasz, czy nie wiesz, że brzemię krzyża nie jest mi lekkie? a łez twych girlanda cięższa od cierni korony!«...

A gdy to mówił, smutek ciężki rzucił się do serca Maryi i zbudziła się ze łzą w oku. Obudziwszy się, nie spieszyła jej zatrzeć, bo oto nowe cuda przez ten łzawy kryształ ujrzała.

Noc była niezwykle jasna i ciepła. A że zwyczajem Wschodu nie osłaniają się domy przed niebem dachami, więc było widać i księżyc, co stał wysoko, jak orzeł i lecące gwiazdy. I naraz zabłyskało się całe niebo i jedna gwiazda poczęła spadać coraz jaśniejsza, jakby miała skrzydła, wprost na Maryę, a upadłszy Jej na pierś, podniosła się z Niej jasną gołębicą i przez chwilę stała nad Jej łzą i biła księżycowemi skrzydłami, śpiewając błogie słowo »Alleluja«.

Rozradowała się Marya, bo poznała gołębicę, co stała nad Nią w dzień poczęcia. I w tejże chwili gwiazdy zaczęły się kłaniać jakiejś srebrnej postaci, co stanęła na wężu dróg mlecznych i wyciągnąwszy rękę, błogosławiła światom, ludziom i morzu. Drzewa w ogrodach okwieciły się różami i woń lilij podniosła się, jak mgławica gwiazd srebrna i pachnąca, i rozkołysało się od niej powietrze.

I było tak cicho w tej modlitwie wszechświatów i wszechtworów, że z głębi nieba słychać było rytmiczne granie wirujących słońc, jak radość żórawi, gdy do gniazda wracają... I stało się, gdy Marya trwała w zasłuchaniu, że gołębica, ciągle powtarzając wesoły głos, leciała kędy był ogród i późniejszy grób Chrystusa, aż znikła zupełnie.

Wstała tedy Marya i miarkując rychły świt, wzięła dzbanek na wodę i szła ku owej studni, przy której spotykała i Maryę Magdalenę i Maryę Jakubową i Martę i inne święte niewiasty. A idąc tam, miała i tę myśl, że może, która ze znajomych wytłómaczy Jej sen o Jezusie i śpiewanie gołębicy. Dziwiło Ją też, że ptaki tak wcześnie się zbudziły i szły gromadami przed Nią i za Nią, mało używając skrzydeł, choć je miały szeroko roztwarte; było zaś to tak, jakby pielgrzymkę odbywały i z wielkiego uszanowania dla Maryi chciały naśladować poważnych ludzi, którym i krok powolny i pewna sztywność przystoi. Niektóre zaś z nich usiadły na gałęziach różanych, co sklepiły wązką dróżynę, którą szła Marya i wyciągając drobne główki schylając je ku ziemi, pokłon zasmuconej Maryi oddając. I było ptaszynom wesoło, że Marya zaczęła się przy nich uśmiechać, czując się weselszą i szczęśliwszą.

Niedaleko już było od owej studni, której płaskie kamienie mieniły się daleka, jak szmaragdy, gdy w tem dzbanek niesiony przez Maryę, jakby uderzony nadzwyczajną siłą gałęzi, wysunął się Jej z rąk, i upadłszy na ziemię pękł w połowie. A gdy Marya uklękła, usiłując skorupki poskładać, usłyszała głos:

»Bądź pozdrowiona Maryo, Matko Syna Bożego!«

Marya zaś myśląc, jakoby to był jeden z żydów, który Jej pragnął dokuczyć, odrzekła, nie ponosząc nań oczu: »Skądże to, mężu, mam od ciebie ponosić krzywdy i natrząsania, jeśli cię w niczem nie skrzywdziłam? Ażali nie dość wam, żeście umęczyli syna mojego?«

A obcy, który się jej objawił, odrzekł:

— Nie natrząsam się z Twej boleści, ani Cię krzywdzić myślę, alem Ci przyszedł rzec, byś przestała płakać syna Twojego. Zmartwychwstał on już i jest szczęśliwy, jeno Go jeszcze Twoje łzy smucą. A oto chcesz, by dzban pęknięty dużo wody nosił i troskasz się o to, aby go poskładać dla swego i drugich pożytku, a jakżeż chcesz, by naczynie Twej duszy cierpieniem spękane, mogło zawierać napój spokoju i słodyczy? Oto przyszedłem tutaj, by ci to powiedzieć, dzban Twój zlepić i duszę uszczęśliwić.

A gdy to mówił, Marya podniosła nań oczy w tejże chwili spadły jej łuski z oczu, które były przez chwilę,

jakby zatrzymane i poznała Jezusa, ubranego w złotą jasność ogromną i tak słoneczną, że nie mogłyby jej znieść oczy zwyczajnego człowieka. A Jezus, rosnąc w nowe blaski i zorze, zbliżył się do swej matki i schyliwszy się nad jej liliowem czołem, złożył na niem pocałunek, pełen słodkości rajskiej, jaką znają tylko Anieli. A potem położył rękę na Jej czole i rzekł: »Bądź pozdrowiona i zostań w spokoju«. Głos zaś Jego drgał, jak cudowna melodya wieków, co się przewija między światami.

I po tych słowach jął się rozpływać w blaskach, coraz świetlejszych i gorętszych, aż cały zniknął w złotej mgle, która podniosła się z ziemi, leciała po gałęziach róż, oliwek i okwieconych sadów, zostawiając Maryę w zachwyceniu, rozpłomienioną pogodnem weselem i miłością.

A przez tę szczęśliwą chwilę była cisza i nowa modlitwa leciała z ust Maryi, z kwiatów i od słowików, w której dźwięczało złote słowo, nigdy nie wyśpiewane słowo: »Alleluja!«

I drgało od niego powietrze, jak rozkołysany dzwon nad przestworzem jeziora i była w niem wielka radość i wszelkie szczęcie. Gałęzie strącały kwiaty na Maryę i na słowiki, aż modliwa się skończyła i Marya wstała, wziąwszy cudownie złożony dzban pełen kwiecia różanego i wzniósłszy ku niebu duszę, pełną różanej słodkości.

Był zaś ten dzień z samego szczęścia dla Maryi uwity, bo gdy wchodziła do domu, spotkała trzy Marye i inne święte niewiasty, z liliami i nardem w ręku, siedzące na kamieniach przed domem i wołając: »Wesoły dzień dziś nam nastał!« *L. S.*

Na amerykańskiej ziemi.

Tłumaczył W. H.

Kiedy młody Alfred W.... stanął po raz pierwszy na wolnej ziemi Ameryki, zdawało mu się, że jest conajmniej zdobywcą. Ani na chwilę nie wątpił, że w ziemi, gdzie dolary szybko się toczą, potrafi zdobyć tyle metrów kwadratowych ziemi, aby dla swych rodziców odbudować znowu

dach nad głową, który burze i wichry życiowe roztrąciły. Wierzył, że wszystko zdobędzie, a świat przed nim stoi otworem. Jeśli otrzyma stanowisko, gdzie głową będzie mógł pracować, to tem lepiej. Jeśli zaś praca rąk da mu przyszłość nie zawacha się ani chwili. Może być buchalterem, korespondentem, pisarzem, sprawozdawcą, a jeśli trzeba będzie, chwyci się każdej ręcznej pracy. W takich warunkach potrafi chyba być zdobywcą.

Właśnie rozpoczynała się wielka wystawa w mieście. Natychmiast zgłosił się w komitecie wystawy, a przedstawiwszy się, zaczął wyliczać swe zdolności. Niestety, nie mógł nawet dokończyć swej prezentacyi, gdyż nikt nie miał czasu, aby go wysłuchać. Kiedy opuszczał biuro, chłopak, który mu drzwi otwierał, rzucił mu ironicznie radę, aby któregoś z urzędników złapał za kołnierz i zmusił do wysłuchania całej swej prośby.

Rady tej nie wziął jednak na seryo. Zrezygnował z nadziei otrzymania posady, w tem przekonaniu, że zgłosił się za późno. Przecież wystawa nie mogła na niego czekać! Poprostu zgłosił się w nieodpowiednim czasie i dlatego go nie przyjęła.

Postanowił kupić kilka pism i szukać posady według ogłoszeń. W takiem olbrzymiem milionowem mieście, gdzie wszyscy pracują nawet milionerzy, powinien się przecież jakiś kącik dla niego znaleść.

Na drugi dzień rano kupił gazetę od ulicznego kolportera, wynotował wszystkie adresy ogłoszeń wolnych posad i koło południa ruszył na poszukiwania. Gdziekolwiek jednak przyszedł dowiadywał się, że już ktoś przed nim był. Przekonał się, że Amerykanie nie czekają przy składaniu wizyt, ale załatwiają swe interesa możliwie jak najwcześniej.

Zdobycie tego doświadczenia kosztowało znowu jeden dzień zwłoki, za to nazajutrz rano Alfred był pierwszy, który z rąk zabrudzonego kolportera wyrwał mokry jeszcze poranny numer »Heralda«.

Pokazało się jednak, kiedy stanął pod drzwiami wielkiego magazynu p. Oldsa, że wyprzedziło go znowu całe grono współzawodników. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu przekonał się raz drugi, że cała sień wypełniona jest ludźmi,

którzy czekają na możność zaliczenia się w poczet personalu firmy. Niespodzianka ta wyprowadziła Alfreda z równowagi. W jakiż sposób u dyabła ci się o tem dowiedzieli? Nie zbyt przyjazny wygląd współzawodników powstrzymał cisnące mu się na usta pytanie. Pewne wyjaśnienie przyniosła mu dopiero przypadkowo zasłyszana rozmowa dwóeh gentelmanów amerykańskich:

— »A! i ty także tutaj«?

— Już od piątej. Maszyna w drukarni się popsuła i dla tego pierwszy tysiąc wyszedł dopiero o czwartej.

O czwartej powtórzył w duszy Alfred i znowu zdobywszy jedno doświadczenie więcej, opuścił przedsionek.

Obszedł jeszcze wprawdzie sumiennie wszystkich innych przedsiębiorców, których wynotował z samego dziennika, wędrówka ta jednak była bezowocną. Śmiertelnie znużony, powrócił wieczorem do hotelu.

Przespał się kilka godzin i o trzeciej rano był już pod redakcyą, oczekując na pierwsze wydanie.

Nie zdziwił się teraz zupełnie, kiedy pod redakcyą zastał tłum cały wyczekujących, z którymi musiał formalną walkę stoczyć, aby schwycić bodaj jeden egzemlarz z pierwszego tysiąca. Wierzył, że teraz już nikt go nie ubiegnie. Szybko wypisał adresy i ruszył szukać swego szczęścia.

Szczęście! ileż rozczarowań spotkało go w tym dniu. robił godzinne marsze, aby w zamian otrzymać wzruszenie zamian, albo lekceważące »dziękujemy już nie potrzeba», lub nawet usłyszeć grubijaństwa.

Powoli przyszedł do przekonania, że jego uczciwy mieszczański wygląd i spokojne zachowanie się nie mają w sobie nic »amerykańskiego«. Czyż miał więc czekać aż się praktycznie zamerykanizuje. Inaczej to zginie z głodu. Oszczędności jego topniały przerażająco szybko.

Po dwóch dniach opuścił drogi hotel, przenosząc się do jakiejś lichej oberży, ale i tam nie mógł długo się zatrzymywać. Znalazłszy drugiego towarzysza niedoli wynajął wspólnie z nim ubogą izdebkę zaopatrzoną tylko w łóżko i dwa krzesła bez pieca płacąc za nią prawie cztery razy tyle, ileby to kosztowało w jego ojczyźnie.

Tutaj nareszcie napisał do rodziców. Pierwszy list pełen był jeszcze wesołego humoru, nadziei, a nawet obie-

tnic. Za to drugi list pisany był w chwili, kiedy nędza zaczęła już zaglądać do jego ponurego mieszkania. A mimo to, choć serce pękało mu z żalu, że wszystkim jego nadziejom połamane zostaną skrzydła, pragnął w sercach rodziców utrzymać wiarę w swoje szczęście. Pragnął, by tam w tej małej chatce za oceanem jego staruszkowie cieszyli się, czytając listy syna i przysiągł sobie, że dopiero wtedy zedrze im łuskę z oczu kiedy los każe mu ginąć, tak, jak tysiącom innym. Czuł bowiem, że jeśli dojdzie tam wiadomość, ze zginął, jego staruszkowie zniosą to z chrześcijańskiem poddaniem się. Ale gdyby im przyszło martwić się i trapić się wszystkiemi jego niepowodzeniami, to zgryzoty te zniszczyły by im zdrowie.

Kiedy następnego dnia rano przeliczył pieniądze, jakie posiadał, doszedł do przekonania, że jeśli będzie żył bardzo oszczędnie, wystarczy jeszcze na tydzień. Zaśmiał się bohatersko.

— Dobrze — rzekł do siebie — znaczy to, iż do końca tygodnia muszę mieć zajęcie. Wierzę, że Pan Bóg nie chce jeszcze mej zguby.

Pan Bóg jednak nie pozwala sobie przepisywać terminów i kiedy Alfred drugiego dnia tryumfował, że ma już upragnioną posadę, okazało się, że został znowu oszukany. Kiedy zapłaciwszy 5 dolarów za pośrednictwo, udał się pod wskazanym adresem, aby objąć posadę, przekonał się, że na wskazanem miejscu stoi tylko pusta szopa, a agent był oszustem.

Kiedy powrócił do domu z tej ostatniej najnieszczęśliwszej wyprawy, zasiadł po długim namyśle do napisania trzeciego listu do rodziców. Wierzył, że po raz ostatni do nich pisze, gdyż stracił już wszelką nadzieję, że uda mu się znaleść jakiekolwiek zajęcie: List był pełen dziecięcej miłości i przywiązania. Pisał o dobrych widokach powodzenia, jakie ma w nowej ojczyźnie, wspominał o tem, że wierzy, iż uda mu się rodziców do siebie sprowadzić. Wspomniał jednak mimochodem o tem, że klimat tutejszy nie należy do najlepszych i że zdarza się czasem, że młodzi ludzie niespodzianie giną. Dodał wprawdzie zaraz, że on nie myśli robić tej przyjemności śmierci, żeby się dać zabrać, gdyż czuje w sobie sił za trzech. Gdyby jednak nie

mieli o nim przez dłuższy czas wiadomości, to niech się nie niepokoją.

Gdy skończył, przeczytał list ze smutnym uśmiechem i zapieczętował.

Gdy właśnie zbierał się, ażeby wyjść na miasto, wpadł jego współlokator do izdebki. Był w doskonałym humorze i zaraz od progu zaczął opowiadać.

— To się nazywa wystawienie człowieka na próbę. Właśnie spotkałem dobrego przyjaciela z ojczyzny, który namawia mnie, abym wraz z nim wyjechał do nowej osady, którą niedawno założyli, a która doskonale się rozwija. Równocześnie zaproponowano mi posadę kelnera hotelowego w hotelu »Atlantic«, gdzie najdalej za godzinę mam dać odpowiedź.

I oto staję jak osioł między dwoma wiązkami siana i nie wiem, którą wybrać.

— A tobie co się bardziej uśmiecha? zapytał Alfred z jakimś dziwnym wewnętrznym niepokojem.

— Radbym pojechać z przyjacielem. Pobytu w mieście mam już aż zadosyć. Z drugiej strony nie chciałbym robić zawodu tym z hotelu.

Jedyne wyjście, które zadowolniło by wszystkich, byłoby, gdyby ktoś zechciał.

— Może jabym mógł?...

— Ależ ma się rozumieć! Nie śmiałem tylko proponować...

. . . .

Tak Alfred został kelnerem w hotelu »Altantic».

W olbrzymiem kilkomilionowem mieście nie było tego wieczoru bardziej szczęśliwego człowieka.

Koledzy przezwali go Fredkiem, różnił się zaś od nich pogodą ducha i uczynnością.

Prawdziwi synowie Ameryki za jakich uważali się inni kelnerzy, usługiwali tylko wtedy dobrze gościom, jeśli ci życzenia swoje popierali odpowiednim napiwkiem. Wszystkich tak zwanych skąpych gości spychano na kark młodemu nowicyuszowi. Pomiędzy nimi pierwsze miejsce zajmowała jakaś starsza pani, która mimo, iż od kilku tygodni mieszkała w hotelu nie dała nikomu ze służby ani centima. Kelnerzy próbowali z nią w różny sposób. Usługi-

wali jej najprzód bardzo uprzejmie, później bardzo obojętnie, nic nie pomagało. Pani Ratter, tak bowiem się zwała, była bardzo wymagająca, ciągle potrzebowała usługi, wydawała polecenia, z których wykonania nigdy nie była zadowolona. Wreszcie kelnerzy postanowili zupełnie zapomnieć o jej istnieniu. Kiedy rozlegał się dzwonek z jej pokoju w korytarzu hotelowym, hotel zdawał się być wymarłym. Nigdy w pobliżu nie można było znaleść kelnera, co rzecz prosta nie przyczyniło się do uspokojenia pani Ratter.

Kiedy Fred objął swoje obowiązki, koledzy przedewszystkiem oddali mu do obsługiwania panią Ratter. Fred postanowił wytrwać. Wzywany nieraz 15 razy na godzinę zjawił się zawsze z gotowością i miłym uśmiechem. Mimo to pani Ratter nie wynagrodziła go ani razu za usługi.

Koledzy pokpiwali sobie z niego, dopytując się, jaki majątek uskładał już sobie za swoją bieganinę. W odpowiedzi wzruszył Fred ramionami i uśmiechał się tylko. Wiedział przecież, że wielu z nich nie przechodziło tego, co on miał już poza sobą. Nie wiedzieli może co to znaczy siedzieć w zimowy grudniowy dzień bez palta w nieogrzanym pokoju, w obawie, że lada dzień i ten nędzny przytułek zamknie swe podwoje i że trzeba będzie bez dachu nad głową żyć z dnia na dzień, nie wiedząc, czy przyszłość nie przyniesie śmierci.

Wobec takich wspomnień znoszenie humorów pani Ratter wydało mu się bardzo łagodne, a hotel szczęśliwą przystanią, do której zawinął.

Z całym spokojem pisał też do rodziców listy pełne różowych nadziei. Donosił im, że nareszcie znalazł spokojny byt, a w kasie jego coraz więcej zaczyna brzęczeć dolarów. Gotów się nawet założyć, że w niedalekiej przyszłości będzie mógł przystąpić do kupienia kawałka ziemi pod przyszły dom własny.

W chwili, kiedy właśnie pisał ten ustęp listu zabrzmiał dzwonek wzywający go do pani Ratter, która oświadczyła mu z zimnym spokojem, że właśnie ukończyła wszystkie swoje interesa w mieście i że zamierza wyjechać. Do pakowania potrzebuje jego pomocy.

Na drugi dzień istotnie wyjechała. Cała służba hotelowa zleciała się w przedsionku hotelu, żeby na własne oczy

zobaczyć odjazd tej znienawidzonej pani i osobiście stwierdzić, że istotnie hotel opuściła.

Kiedy powóz uwożący toboły i kufry pani Ratter, które Fred osobiście na powóz naładował, zniknął z oczu patrzących, rzucili się wszyscy do Freda, pytając jeden przez drugiego:

— No i jak? Cóż ci dała? Jakżeż wysoko oceniła twoje usługi?

Kiedy Fred milczał, rzucił jeden z kelnerów:

— Widocznie bezgranicznie, bo nie znalazł nawet cyfry odpowiedniej na wyrażenie swej oceny. W ironii swej miał racyę, gdyż pani Ratter wyjechała nie obdarzywszy ani centimem swego wiernego sługi.

Minęło kilka dni. Ku wielkiemu zdumieniu otrzymał pewnego południa Fred przekaz pocztowy pieniężny na 100 dolarów; nadawczynią była pani Ratter. Wiadomość ta odebrała kolegom Freda ochotę do żartów i kpin z niego, a Fred uradowany pisał wieczór do rodziców:

— Oto kupiłem już miejsce pod nasz przyszły dom. Trzeba obecnie tylko wybrać materyał, z którego dom się zbuduje. Kamień czy drzewo? Sądzę, że możnaby kamieniem podmurować, a resztę zbudować z drzewa.

Pisząc te słowa, czuł, że dostarcza rodzicom tematu do rozmów na szereg miesięcy, daje im pole do narad z sąsiadami i że w zamian otrzyma kilka listów pełnych rad, uwag i wskazówek. Staruszkowie zapewne będą go ostrzegali, aby też broń Boże! nie spieszył się zbytnio i nie narażał na straty. Oni wolą poczekać jeszcze trochę. Przecież z wynajętej chałupy ich jeszcze nie wyrzucają.

Wszystko to przychodziło Alfredowi na myśl, gdy wysyłał swój list. Skarb jego powoli, ale stale powiększał się. A choć prawie cegiełkę po cegiełce musiał budować dom w swej fantazyi, miał jednak nadzieję coraz bardziej prawdopodobną, że kiedyś jego jego fantazye przemienią się w rzeczywistość i dom naprawdę stanie.

Minął dłuższy przeciąg czasu. Niejeden list powędrował za ocean i niejedna odpowiedź wróciła z powrotem. Pewnego dnia właściciel hotelu otrzymał list, który w niemałe wprawił go zdumienie. Dr. White znany adwokat, zapytywał go, czy pracuje u niego kelner imieniem »Fred«.

Jedna z jego klientek, pani Ratter, zmarła przed kilku dniami i w testamencie zapisała owemu kelnerowi, którego prawy charakter miała sposobność ocenić 3.000 dolarów.

Właściciel hotelu wezwał do siebie Alfreda i zawiadomił go o treści listu, dodając od siebie serdeczne życzenia. Alfred tym razem nie podzielił się z radosną wiadomością z towarzyszami pracy, ale za to wieczorem zasiadł skwapliwie do pisania listu do domu.

»Kochani rodzice — pisał — domek zaczyna już wyrastać z ziemi. Przypuszczam, że będzie Wam się podobał. Podobny on całkiem do naszego rodzinnego, chciałbym bowiem, abyście, gdy tu przyjedziecie czuli się zupełnie swobodni i znaleźli swoje kąty. Przygotujcie się powoli do drogi«.

Po wysłaniu tego listu zabrał się ze zdwojoną energią do pracy. Ale choć całą swą umiejętność wkładał w wykonywanie swych obowiązków, właściciel hotelu pewnego dnia wieczorem, wydawszy dyspozycye służbie hotelowej w końcu zwrócił się do Alfreda: »Twoja służba dzisiaj się kończy, proszę ze mną do kasy«. Lakoniczne to odezwanie się właściciela hotelu zrobiło silne wrażenie. Fred zbladł, a jego towarzysze, którzy nie mogli mu darować owych 100 dolarów zaczęli drwiąco się uśmiechać. Gospodarz zauważył wrażenie, jakie jego wezwanie na obecnych sprawiło, dodał więc z uśmiechem:

— »Owe 3 000 dolarów, jakie pan otrzymałeś, stanowiły tylko procent od legatu, który wynosi 50 tysięcy dolarów. Dr. White w myśl testamentu miał, zanim panu wszystkie pieniądze powierzy, przekonać się, jaki użytek robi pan z otrzymanych pieniędzy. Ponieważ użytek ten jest bardzo szlachetnym, przez moje ręce wypłacam panu resztę«.

Towarzysze Alfreda przestali się śmiać. On sam nie mógł słowa powiedzieć ze wzruszenia, uścisnął tylko w milczeniu rękę szefa. Kiedy pierwsze wrażenie minęło... zasiadł do pisania listu do rodziców.

TO I OWO.

Największy dom.

W Nowym Jorku buduje się obecnie największy z »drapaczy chmur«, należący do Towarzystwa »Broadway Park place Company«. Gmach ten, o trzech frontach, stanie po stronie zachodniej ulicy Broadway, naprzeciwko poczty głównej, oraz blizko ratusza. Długość frontu od ulicy Broadway wynosi 46 metrów, od Park-place 60 metrów, od Barklay street 58 metrów. Olbrzymia wieża gmachu sięga wysokości 225 metrów od poziomu chodnika. W wieży mieści się 55 pięter.

Sam budynek liczy 29 pięter. Parter przeznaczony jest na sklepy oraz na galeryę oszkloną z wejściami od wszystkich trzech ulic. Mieścić się tam będą: wielka restauracya, różne miejsca rozrywek, zakład fryzyerski wraz z zakładem kąpielowym i t. d. Nadto mieścić się tam będą biura bankowe, urządzone z wielkiemi wygodami. Podziemia gmachu zajmą urządzenia do ogrzewania centralnego, ochładzania, oświetlenia elektrycznego oraz wszelkie urządzenia mechaniczne.

Cały prawie gmach zajmą urządzenia biurowe. Na 54 piętrze urządzona będzie galerya do oglądania pięknego widoku. W budynku przewidziane są 34 windy, z których 24 zgrupowane blisko głównego wejścia od Broadway. Fundamenty spoczywają na skale na głębokości od 33 do 39 metrów jako studnie zapuszczane o średnicy 5 metrów. Koszt fundamentów stanowi bardzo znaczną część kosztu ogólnego.

Konstrukcya całego budynku jest ogniotwała. Gmach posiadać będzie 4 zapełnie oddzielne klatki schodowe, idące od powierzchni ulicy aż na dach budynku. Klatki schodowe oddzielone są od korytarzy oraz biur ścianami ogniotrwałemi, oraz drzwiami ze szła i żelaza, dano więc gwarancyę, iż w razie pożaru w którejkolwiek części budynku — pozostaną wolne od dymu.

Wojna z teściowemi.

Teściowa, której samo imię przejmuje dreszczem każdego żonatego mężczyznę, znalazła nieprzejednanego wroga

w osobie amerykańskiego sędziego p. Guire. Sędzia ten orzekł, że teściowa nie ma prawa dłużej przebywać w domu swego zięcia i córki, lub też syna i synowej na dziesięć dni jednorazowo. Po tym przeciągu czasu, jeżeli zięć czy synowa nie życzą sobie, aby teściowa dłużej przebywała w ich domu, mają prawo usunąć ją choćby przemocą.

Wyrok ten sędzia wydał w sprawie pani Mc-Coyle, która zaskarżyła swoją teściową May-Coyle z Bostonu, że jej siedzi na karku i buntuje jej męża, a w dodatku ze synową obchodzi się brutalnie i dokucza jej na każdym kroku. Sędzia więc oświadczył, że pani teściowa ma zabrać swoje manatki i czemrędzej wynieść się do Bostonu najpospieszniejszym pociągiem, a nie zakłócać spokoju swym dzieciom, bo sama też kiedyś była synową. to wie, co teściowa znaczy.

Oryginalna asekuracya.

Wobec przedsiębiorczości Amerykanów ustępuje wszelka niemożliwość. Ostatnio wymyślono tam nawet sposób ubezpieczenia się przeciw nieszczęśliwemu małżeństwu. Asekuracyę tę podjęło Towarzystwo z kapitałem zakładowym miliona dolarów, a celem jej jest przyjście z pomocą tym, którzy, czując się nieszczęśliwymi w małżeństwie, nie mogą otrzymać rozwodu z braku odpowiednich funduszów.

Towarzystwo swemu klientowi przychodzi z pomocą w uzyskaniu rozwodu; daje mu pieniądze na wyjazd do kraju, w którym rozwód jest możliwy, załatwia za niego wszelkie formalności, a na wypadek przysądzenia odszkodowania drugiej stronie, wypłaca je w imieniu klienta.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rocznik IV. Kraków 1-go maja 1912. (Półrocze I-sze) Nr. 5

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok **5** koron — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie 1 dolar

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Walka o szkołę.

Nie tak dawno temu donosiły gazety o strejkach szkolnych i zaburzeniach wybuchających to tu, to tam w obrębie Galicyi i w ogóle całej Austryi. Objaw ten zastanowić musi każdego, dowodzi on bowiem, że w naszych stosunkach szkolnych coś się zaczyna psuć i że jakieś nowe wchodzą tu w grę prądy, które podkopują pracę wychowawczą w szkołach i sprowadzają młodzież na złe drogi.

Prądy te nie tak trudno znaleść. Rozkładowa działalność socyalizmu i wolnomyślnego liberalizmu wdzierając się coraz głębiej w dusze społeczeństwa aż nazbyt dobrze przygotowała grunt pod to, co się dziś w szkołach dzieje. „Precz z nauką religii ze szkół!“ „Precz z krzyżem ze szkół!“ oto hasła, które dziś znajdują nietylko wyznawców, ale i gorących obrońców i szerzycieli.

A skutek tych haseł? Oto młodzież nasza zaczyna moralnie i duchowo upadać. Nie szkoła tutaj ponosi winę, nie! To społeczeństwo winno, że doprowadziło szkołę do takiego upadku, dając jej lichych często nauczycieli, lichych uczniów i bardzo lichych nieraz rodziców.

Nie mieliśmy odwagi mimo, że nazywamy się ludnością katolicką, bronić szkół naszych przed zgubnymi wpływami,

jakie na nie powoli, ale skutecznie oddziałują. Katolicyzm nasz, bardzo często powierzchowny i bez czynów w praktyce stał się tylko czemś, o czem się wiele opowiada, ale czego na prawdę poważnie się nie traktuje. Tem samem osłabły moralne zasady, które w myśl nauki Chrystusa Pana miały się stać przewodnikami w naszem życiu.

Rozkład społeczeństwa rozpoczął się w rodzinie. Tu najpierw zabrakło ducha chrześcijańskiego. Nie mają go dziś dosyć ojcowie, ktorym wobec kolegi bezwyznaniowego lub wolnomyślnego „nie wypada“ występować ze swemi katolickiemi przekonaniami. Do białych kruków zaliczyć można wypadki, kiedy starszy mężczyzna w towarzystwie ma odwagę skarcić kogoś drugiego strojącego sobie żarty z religii lub jej obrządków.

Takich „bohaterów“ my nie posiadamy, bo, jak to u nas się mówi, „nie wypada“ tak natrętnie ze swemi przekonaniami się narzucać.

To też dzieci nasze mając taki przykład w domu, nie przychodzą już z zbyt silnemi przekonaniami religijnemi do szkoły.

Szkoły nasze, o których socyaliści i bezwyznaniowcy powiad ją, że są na wskróś klerykalne, w istocie rzeczy takiemi nie są. Dlaczego?

Po pierwsze sposób nauczania w szkołach coraz bardziej pod wpływami społeczeństwa staje się niekatolickim. Coraz więcej mamy sił nauczycielskich, które pokarm duchowy czerpią z pism socyalistycznych i im podobnych.

Zapewne nauczyciele oburzą się, że zarzucamy im brak ducha katolickiego w ich prowadzeniu szkół i wychowywaniu naszych dzieci. Niestety jednak tak jest. Bardziej występuje to w szkołach średnich i wyższych, mniej w szkołach ludowych, choć i tu nauczyciel socyalista nie jest już dzisiaj wyjątkiem.

Bardzo wiele do psucia ducha katolickiego przyczynia się także i to, że dzieci rodziców katolickich uczęszczają do szkół razem z żydami. Zasady moralności wyznawane przez żydów stoją znacznie niżej, aniżeli etyka katolicka. W ostatnich miesiącach byliśmy świadkami we wschodniej Gali-

cyi faktu, że żydzi mając w szkole większość dzieci żydowskich, zupełnie jawnie domagali się wyrzucenia z sali szkolnych krzyżów. Jad nienawiści szczepiony przez żydów w ich dzieci doprowadził już do takich wypadków, że dzieci żydowskie wobec katolickich bluźniły głośno, mówiąc o Matce Boskiej, a tem straszniejsze, że czyniły to dziewczęta żydowskie.

Zapytać się wobec tego trzeba, czy takie szkoły mogą dać naszym dzieciom wychowanie w duchu katolickim? Nigdy, — przeciwnie młodzież nasza opuszczając dzisiaj szkołę wchodzi w życie pełna jakichś poglądów niezdrowych, które często prowadzą ją do upadków moralnych, a czasem nawet do targnięcia się na swe życie. Statystyka ostatnich lat wykazuje wielu samobójców z pośród młodzieży w wieku szkolnym.

Do tych niedomagań w szkole przybywa jeszcze jeden wróg zewnętrzny to jest agitacya nieuczciwych i niesumiennych ludzi, która ma na celu, aby młodzież wciągnąć w różne tajne stowarzyszenia i związki, mające rzekomo dopomagać im w kształceniu się, a istocie szerzące wśród niej zgniliznę duchową. W Krakowie i zachodniej Galicyi, obok socyalistów, którzy bardzo energicznie agitują wśród młodzieży szkolnej, pojawił się w ostatnich latach były docent Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Augustyn Wróblewski, anarchista, człowiek o chorej duszy i wyobraźni, który organizuje tajne kółka uczniów szkół średnich i w nich zaszczepia zasady anarchizmu, pogardy dla prawa i religii. Władze prawie nic nie czynią, aby powstrzymać tę zbrodniczą działalność, owszem przeciwnie, jak donoszą pisma, ów pan otrzymuje nawet subwencye z ministeryum oświaty.

Czyż to wszystko nie jest zbrodnią popełnianą na naszem pokoleniu? Do czego dojdziemy, jeśli spokojnie patrzeć będziemy na takie zabijanie młodych dusz naszych dzieci? Jeśli tak dalej pójdzie, to istotnie społeczeństwo nasze zacznie marnieć i moralnie upadać.

Głos w obronie dzieci naszych, w obronie ich dusz rozlegnąć się powinien donośnie po całym kraju. Niebezpieczeństwo jest coraz większe.

Walka w obronie szkoły, którąby na prawdę wychowywała nasze dzieci po katolicku staje się z każdym dniem trudniejsza, w miarę tego, jak społeczeństwo samo zatraca w sobie ducha katolickiego.

Jeden jest tylko na to ratunek, skuteczny i radykalny, to jest stworzenie szkół wyznaniowych. Będziemy mieli wtedy szkoły na prawdę katolickie, które pozostając pod nadzorem ludzi o wypróbowanych katolickich przekonaniach nie będą demoralizowały młodzieży, ale ją po katolicku wychowywały.

Niech żydzi mają swoje osobne szkoły. Niech wolnomyślni i liberałowie tworzą szkoły dla siebie, a społeczeństwo katolickie niech ma także własne uczelnie.

Zobaczymy wtedy ile i jakich dzieci wychowywać się będzie w jednych i drugich szkołach.

I zobaczymy, z których szkół wyjdą dzielniejsi obywatele i patryoci.

Socyaliści i liberali wiedzą, dlaczego bronią się usilnie przeciw zaprowadzeniu szkół wyznaniowych. Rozumieją dobrze, że w dzisiejszych szkołach zło, które oni szczepią, hoduje się po cichu, w ukryciu. Jako takie, jako owoc zakazany lepiej młodzieży smakuje i łatwiej im jest swą niecną agitacyę uprawiać. Ale zerwijmy raz przecież maskę z tych obłudników. Stwórzmy szkoły prawdziwie katolickie, a nie będziemy wtedy potrzebowali z takim niepokojem patrzeć i na te strejki szkolne, które raz po raz wybuchają, na samobójstwa młodzieży. Nie zobaczymy wtedy studentów w gimnazyalnych mundurach w szynkach lub norach rozpusty, tak jak to dzisiaj się dzieje.

Jeśli w szkole będą tacy nauczyciele, którzy tak, jak to teraz często bywa, nie będą się wstydzili, chodzić razem z młodzieżą do kościoła lub przystępować razem do świętych Sakramentów, to wtedy możemy spokojnie powierzyć i im wychowanie naszych synów i córek, gdyż nietylko słowem ale i żywym własnym przykładem będą im drogę cnoty i uczciwości wskazywali.

Zmiany te przeprowadzić może samo tylko społeczeństwo, ale tylko wtedy, jeśli samo będzie szczerze po katolicku myślało i czuło.

Niebezpieczeństwo wielkie i coraz bliższe, więc ojcowie i matki katolickie bierzcie się do pracy.

Posłannictwo Polski.

PANI NARODÓW!

(Dokończenie).

Nie siła fizyczna i materyalna potęga stanowią o posłannictwie Bożem, ale duch Boży, duch prawdy, duch sprawiedliwości, szlachetny duch braterstwa narodowego — a tego w Rosyi nie masz. Widzimy więc namacalnie, że Bóg nie dał Rosyi misyi przodowania w Słowiańszczyźnie.

Polska otrzymała od Boga tę misyę, i tak długo była wielką i niepodległą, jak długo spełniła posłannictwo swe narodowe i światowe, była królową Słowiańszczyzny i Panią narodów.

Za króla Sobieskiego stanęła na szczycie swej chwały i potęgi. Ale szlachta była niewdzięczną i krótkowzroczną, usunęła dzieci Sobieskiego od tronu, wybrała królem króla saskiego, Niemca, wroga Słowiańszczyzny, i zapomniała o misyi narodowej i posłannictwie światowem. Hulaszczość i rozpusta saska struła naród i zgubiła, i truje i gubi go częściowo jeszcze do dnia dzisiejszego. Kto nie strzeże się tej choroby, kto zakosztuje ocukrzonej trucizny: kart, zbytków i hulatyki, — ten przepadł dla narodu, przepadł dla Słowiańszczyzny.

Kultura rzymska, moc i potęga jej państwowa zostały wydane na łup barbarzyńców przez niezgodę możnych, którzy zatracili ideę przewodnią narodu. — Podobnie niezgoda magnatów polskich, którzy zaprzepaścili posłannictwo dane Polsce, wydała w niewolę naród. Kultura polska, dorobek świetny tylu wieków, stały się pastwą despotycznego nacyonalizmu rosyjskiego i niemieckiego.

Ale umysły wyższe zrozumiały karę Bożą i cel, jaki miała Opatrzność, dopuszczając jarzmo niewoli na Polskę. Umysły te oczyszczone cierpieniem, wróciły do myśli przewodniej i do misyi, jaką Bóg dał polskiemu narodowi.

Więc stała się rzecz niesłychana w Słowiańszczyźnie i w dziejach świata całego. W niewoli powstały wśród Polaków króle-duchy, wieszcze narodu, wielcy bohaterzy, ludzie opatrznościowi, którzy jako słońca zabłyśli wśród swego narodu, uznani zostali przez Słowiańszczyznę i podziwiani są przez świat cały.

— A którzy uczeni są, świecić będą jako światło wieczne; a którzy do sprawiedliwości zaprawiają ludzi, świecić będą, jako gwiazdy na wieki — mówi prorok. (Dan. 12).

Wysławiajmy więc męże chwalebne i ojce nasze. Mądrość ich opowiadać będą narody, a chwałę ich opowiada kościół. (Ekkl. 44).

Tak żydom dawał Bóg w niewoli i w upadku proroków, — a pod jarzmem rzymskiem dał żydom i światu Jezusa Chrystusa!

W tysiącleciu dziejów Polski tak było zawsze. Ile razy Polacy odstąpili od swego posłannictwa dziejowego — zawsze zsyłał Bóg na nich karę; ile razy wrócili do swej misyi narodowej, zawsze święcili tryumfy zwycięstwa.

W dobie obecnej naród polski ocknął się z długiego letargu i odrętwienia, a wracając za głosem wieszczów do posłannictwa otrzymanego od Boga, odzyskuje zwolna zdrowie narodowe i naczelne stanowisko królewskie wśród Słowiańszczyzny.

Chodzi teraz o to, abyśmy ideały naszych wieszczów i złote myśli, rozrzucone w ich dziełach, zebrali króciutko i przystępnie razem, nigdy Ewangelię narodową, i rozpowszechniali ją w całym kraju, głosili ją w każdej chacie. Spiszmy także po krótce martyrologię poską, przypominając na każdy dzień imiona tych bohaterów, którzy cierpieli za Polskę lub życie swe złożyli na ołtarzu Ojczyzny. Uświadomienie narodu raźnym wtenczas pójdzie krokiem, a każdy dom polski stanie się fortecą polską i pochodnią oświaty dla Słowiańszczyzny.

Dla Polaka niema granic, niema wygnania, niema tułaczki. Gdzie jest Polak, tam w jego domu-fortecy jest Polska, bo każdy Polak w sercu swem nosi Ojczyznę. Gdzie jest znający swe posłannictwo narodowe Polak, tam jest Polska. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński na obczyźnie najpiękniejsze pisali rzeczy, doskonale służyli narodowi i niby hetmani, niby króle-duchy prowadzili go do odrodzenia.

Ukochawszy posłannictwo narodowe, nie rozstrzelajmy sił w rozmaitych kierunkach, ale skupiajmy je razem ku celowej pracy. Załatwiajmy jedną sprawę za drugą z wybuchowym zapałem, a wtenczas prędko zobaczymy dodatnie owoce naszych wysiłków, i wtenczas utrzymamy zdobyte na nowo przez wieszczów naszych przodownictwo w krainie ducha wśród Słowiańszczyzny — niezachwianie i niepodzielnie.

Oto posłannictwo nasze, oto przewodnia idea naszej pracy: — Wszystko dla narodu. Każda myśl, każde uczucie, każde drgnienie serca, każdy czyn — wszystko dla dobra narodu; przez naród dla Słowiańszczyzny, przez Słowiańszczyznę dla ludzkości.

Skoro naród polski wybranym jest przez Boga narodem skoro naczelną mu rolę przekazał w Słowiańszczyźnie a apostolską wśród ludności, skoro królewskiem jego stanowisko, a ewangielicznem i Bożem posłannictwo, — więc pamiętajmy o tem, aby godnie spełnić misyę poruczoną nam przez Boga.

Każdy Polak odznaczać się musi uświadomieniem i przeświadczeniem o swem posłannictwie Bożem, wyróżniać od innych narodowości nauką i pracą, dzielnością i poświęceniem, ofiarnością grosza, czasu, talentu i krwi dla poruczonej mu misyi. Jednem słowem każdy Polak musi być bohaterem.

Na niższem, czy na wyższem stanowisku; biedny czy bogaty; na roli przy warsztacie, w urzędzie — bohaterem być musisz, Polaku, bojownikiem za ideały narodowe, słowiańskie i wszechludzkie. Ciężkiem, ale szczytnem twe posłannictwo, i wielka chwała. Musisz być królem-duchem!

Taką jest twoja misya narodowa, takie posłannictwo w Słowiańszczyźnie. Taki rozkaz Boży wypisany na twojem

sercu. Musisz być dobrym patryotą, patrzącym w dal obywatelem słowiańskim, królem-duchem świata. — Żaden Polak, który stał się królem-duchem, nie umrze w grobie, lecz żyć będzie na wieki!

Jeżeli sprzeniewierzyłeś się w życiu swem temu rozkazowi nadprzyrodzonemu, przepadłeś dla »Sprawy«. Jesteś gałęzią uschłą na drzewie narodowem. — Jeżeli stałeś się samolubem, pracując dla swego awansu, dla pychy odznaczenia, dla bogactwa swej rodziny lub familii, — straconym jesteś dla »Sprawy« narodowej i Bożej. — Jeżeli usłużnikiem jesteś żydów, Niemców, Rosyan i innych narodów— straconym jesteś dla Polski!

Polak-bohater pracować musi wyłącznie dla dobra polskiego narodu, a przez to pośrednio pracuje dla dobra Słowiańszczyzny, dla szczęścia ludzkości całej, dla królestwa Bożego na ziemi. Polak król-duch w szczęściu wszystkich — własne widzi szczęście.

Polak-bohater musi być lepszym i doskonalszym od innych Słowian, od innych ludzi. Choćby się z was śmiali i szydzili, choćby wytykali wam chwilowe błędy i usterki — nie zważajcie na to, pamiętajcie o misyi narodowej i światowej, poruczonej wam przez Boga.

Rozmawiałem raz z Niemcami na ulicy Wiednia. Przeszedł mimo nas znajomy im Polak urzędnik. Uśmiechnął się jeden z nich szyderczo, mówiąc: »To także kandydat na polskiego króla«. Roześmiali się jego towarzysze.

Pyta mnie jeden z nich: »Czy to prawda, że każdy szlachcic polski mógł ubiegać się o polską koronę?« Potwierdziłem jego zapytanie i dodałem: — Dziś jednak, gdy niema państwa polskiego, dziś nie potrzeba ubiegać się o ten znak ze złotej blaszki na głowie.

Dziś każdy uświadomiony Polak, który odznacza się talentem, dzielnością i poświęceniem w pracy posłannictwa narodowego, jest bohaterem, jest królem-duchem. Królestwo nasze jest w sferach ducha. Tam pracujemy, tam królujemy, a świat musi uznać nasze królestwo ducha, choćby nie wiem jak dręczył i katował nasze ciało. Ideałów naszych nie zabije.

Chrystusa opluli żydzi, skatowali i zabili, ale duch Chrystusa panuje na świecie i coraz szersze zatacza kręgi jego panowania. Im więcej dręczą i uciskają Polaków, tem większej siły i odwagi nabierze król-duch Polaka, a zwycięstwo ostatecznie po jego będzie stronie.

Zamyślili się się Niemcy i przestali urągać przechodzącemu. Jeden z nich rzekł: »Może być, że mówisz prawdę...«

Po tem, co dotąd powiedziałem o posłannictwie Polaków wśród Słowiańszczyzny i wśród świata, sami już dacie sobie odpowiedź na pytanie, czy spełniać misyę poleconą nam od Boga i żyć, — czy też rozpłynąć się w pośród silniejszych narodów zwycięskich?...

Zwrócę wam tylko na to uwagę, że Polska nie była nigdy zwyciężoną, jako przystało na królowę słowiańskiego świata. Państwo polskie zgubiła saska rozpusta, która przez lat 80 epidemicznie grasowała w całym kraju.

»Jedz, pij i popuszczaj pasa«, — było jej dewizą. Oszołomiła ona zdrowy zmysł Polaków i narodowy instynkt, wypleniła ze serc myśl o misyi narodowej i posłannictwie światowem.

Pierwszego rozbioru Polski w roku 1772 dokonano bez wystrzału, jakby na organizmie znarkotyzowanym i znieczulonym chloroformem lub kokainą. Zapewniono szlachtę, że będzie mogła dalej hulać po sasku, i płacić nie będzie na wojsko podatku, bo caryca, król pruski i cesarz austryacki utrzymywać będą w zabranych prowincyach swoje wojska... Pod Maciejowicami zaś w roku 1794 Kościuszko nie dowodził przecież wojskami całego państwa polskiego, tam była zaledwo garstka uświadomionych bohaterów...

Wrodzy nasi nie byli więc zwycięzcami, ani byli od nas silniejsi. Byli chytrymi tylko i wiedząc, że nas orężem nie zmogą przenigdy użyli podstępu, truli nas systematycznie latami całymi, i ujarzmili, gdyśmy popadli w niemoc chorobliwą i otrętwienie ducha. Nie możemy więc przed nimi pochylić czoła i uznać ich nad nami wyższości; nie nie możemy kapitulować i rozpływać się wśród zaborców, dlatego że osiągnęli przebiegłością — materyalną nad nami przewagę.

Nie masz państwa polskiego, ale jest naród polski, który uświadamia się i wydaje coraz więcej bohaterów pracy i poświęcenia, coraz liczniejszy zastęp hetmanów duchowych i królów-duchów.

Pracują oni w myśl programu Mickiewicza: — budzą w ludziach uczucia wielkich rzeczy, popychają ich do wielkich i wzniosłych czynów, i podnoszą ich ku Bogu. To jedyny sposób pracowania dla szczęścia narodu, dla szczęścia Słowiańszczyzny, dla szczęścia ludzkości...!

Bóg uczynił Polskę »Panią narodów», pamiętajmy o tem dobrze i pracujmy wszyscy usilnie, aby utrzymać się na tej wyżynie.

Do nas należy Słowiańszczyzna, do nas świat cały. Długa przed nami droga, ciężka praca, ale cel wspaniały i nagroda nieskończona.

Niechże więc każdy z nas, pamiętając o misyi Bożej, stanie się apostołem i bohaterem. Łączmy swe siły do wspólnej pracy, przebaczajmy sobie urazy, porzućmy osobiste sympatye i antypatye, i uczmy się od wrogów sposobów i środków, jak dojść do naszego celu.

A że dla każdej pracy duchowej potrzebną jest materyalna podstawa, więc bądźmy wstrzemięźliwi i oszczędzajmy; starajmy się podwoić bogactwo narodowe, odzyskać ziemię na wsi i kamienice w miastach z rąk obcych. Polska musi być wyłącznie własnością Polaków! To nasze hasło, to podstawa do odrodzenia, i fundament do skutecznej działalności, jeżeli mamy spełniać posłannictwo powierzone nam przez Boga.

Koniec udręczeniom naszym! Niech powstanie człowiek nowy, człowiek czynu. Polak-bohater, który kładzie kamienie węgielne pod mury świątyni przyszłości. Precz z krytyką, precz z półśrodkami, precz z kompromisami, precz z niewiarą we własne siły. Moc ducha zerwie się, gdy zrozumiemy posłannictwo nasze. Chcemy żyć i pracować wytrwale, pracować celowo...

Umysły pobożne, które chcą pracować dla Chrystusa i dla królestwa Bożego na ziemi — niech wiedzą, że droga tam wiedzie przez pracę dla narodu.

Umysły wyższe, które pracować chcą dla idełów kosmopolitycznych i wszechludzkich, niech wiedzą, że jedyna droga prowadzi tam przez narodową pracę.

Umysły szlachetne, które pracować chcą dla Słowiańszczyzny, niech wiedzą o tem, że droga tam prowadzi najpierw przez pracę dla narodu.

Umysły samolubne, które nie chcą pracować dla narodu, — stracone są dla Boga i dla ludzi.

Oto jasny cel stoi przed nami. Nie błąkajmy się więc, nie rozpraszajmy sił, lecz idźmy naprzód ze świadomością, wiedząc, dokąd idziemy i co musimy osiągnąć.

Pracując dla narodu, pracujemy dla Słowiańszczyzny, pracujemy dla ludzkości całej.

Zapowiedziane przez Chrystusa Królestwo Boże przyjdzie na ten świat przez Polaków i przez Słowiańszczyznę.

A więc do dzieła!

SARAI.

Sarai z Kafarnaum była córką Jonasza, właściciela łodzi, a siostrą Szymona i Andrzeja.

Jonasz żył w przyjaźni z sąsiadem swoim, rybakiem Zebedeuszem, mężem Salomy, a ojcem Jakóba i Jana.

Sarai była dziewczyną piękną i wrażliwą. Za lat dziecinnych bawiła się często nad brzegiem jeziora z Janem, który był z natury cichy i oblicze miał łagodne. Podrósłszy, przychodziła codziennie do poczciwej Salomy i razem z nią zajmowała się naprawianiem sieci, albo szat swoich braci.

Gdy doszła do lat siedmnastu, poznała, iż kocha Jana, syna Zebedeusza i Salomy; a że obchodził się z nią przyjaźnie, sądziła, że kocha ją także i że wkrótce zapragnie jej w małżeństwo.

Wówczas to zaczynano mówić w krainie o młodym proroku, który chodził po Galilei, oznajmiając Królestwo Boże.

»Tedy — wedle słów Ewangelii — gdy Jezus szedł wzdłuż morza Galilejskiego, spostrzegł dwóch braci Szy-

mona i Andrzeja, zarzucających sieci w wodę. I rzekł do nich: »Pójdźcie za mną, a uczynię was poławiaczami ludzi«. I porzucili natychmiast swe sieci i poszli za nim. Idąc dalej, zobaczył drugich dwóch braci, Jakóba i Jana, którzy siedzieli w łodzi z ojcem swym Zebedeuszem i naprawiali sieci. Przywołał ich i natychmiast opuścili łódź i ojca i poszli za nim«.

Wróciwszy do domu wieczorem, opowiedział Zebedeusz żonie, co się zdarzyło. Dodał nadto, że, gdy Jezus mówił, nikt nie mógł mu się oprzeć. Sarai była przytem; nie śmiała nic powiedzieć, bo Jan nie był z nią wcale zmówiony; ale gdy została sama, płakała gorżko.

*
* *

W dwa tygodnie potem Jan i jego towarzysze wrócili do domu. Przyprowadzili z sobą także Jezusa.

Jezus mówił, a Zebedeusz i Salome uwierzyli w niego. I wszystkich ogarnęła niewypowiedziana błogość. Jeno Sarai nie była wcale wzruszoną, pamiętając, że ten prorok zabrał jej tego, którego kochała.

Jan był dobrym dla niej, jak dawniej, ale nie zauważył ani jej bladości, ani smutku w jej oczach.

Na cześć Jezusa była u Zebedeusza wieczerza, na którą zaproszono sąsiadów.

Sarai pomagała Salomie w usługiwaniu biesiadującym. Widziała, że Jan był szczególniejszym przyjacielem proroka i zrozumiała, że niechybnie nigdy do niej należeć nie będzie. Drżała też tak silnie, że wypuściła misę, która rozbiła się w drobne kawałki. Jezus wstawił się za nią, by jej nie czyniono wyrzutów. Ale ona nie śmiała mu nawet podziękować.

Tego samego dnia Jezus wyszukał ją w ustronnej izbie, gdzie myła naczynia. I rzekł do niej: »Córko moja, czemu zasmuconą jesteś w swem sercu?« Ale ona uciekła, nie spojrzawszy na Niego i nie odpowiedziawszy ni słowa.

*
* *

Jan pozostał przez kilka tygodni w Kafarnaum i trudnił się przez ten czas rybactwem, by zebrać trochę pieniędzy na nową podróż.

Sarai przychodziła szyć codziennie do Salomy. Była tak smutna, że stara spostrzegła to nareszcie i rzekła do niej: »Jak możesz się tak smucić, gdy znasz dobrą nowinę i wierzysz w przyjście królestwa Bożego?

A dziewczyna myślała: »Moje królestwo Boże było wtedy, gdy Jan mnie kochał; a moją dobrą nowiną byłoby czułe słowo z jego ust«.

W dniu, w którym Jan wyruszał, by znów się połączyć z Jezusem, nie mogła już dłużej ukryć swego nieszczęścia. Pobiegła za Janem i dopadła go w porcie. »Janie, zawołała — błagam cię, nie odchodź!« I uczepiła się jego szaty; ale on czerwony z gniewu i ze wstydu odepchnął ją na bruk. Przechodnie zaczęli z niej szydzić; dzieci biegły za nią, wykrzykując drwiąco; i wróciła do ojca, łkając rozpaczliwie.

Odtąd nie śmiała już pójść do sąsiadki Salomy. Siedziała w domu przy ojcu złożonym niemocą. Bracia, gdy byli w domu, patrzyli na nią z niechętnem politowaniem. i niekiedy mówili sobie:

— Musiał ją opętać jakiś zły duch.

* * *

...Pewnego dnia przybył Jezus do Kafarnaum, by zażyć spoczynku. Były z Nim tym razem oddane niewiasty galilejskie: Joanna, Zuzanna, Marya, Kleofas i Marya z Magdali. Sarai wiedziała coś niecoś kim była Magdalena i myślała: »Ta będzie może znała lekarstwo na mój ból«.

Ułożyła więc tak, by się z nią spotkać sam na sam, zwierzyła jej swoją niedolę i rzekła:

— Ratuj mnie, ty, któraś tyle kochała!

— Czy ja kochałam? — rzekła Marya z Magdali. — Tego już nie wiem. Ale to wiem, że wszystkie me żądze, gdym je zaspokoiła, obracały się w gorycz i zostawiały mi tylko popiół w moich ustach.

— Przynajmniej — rzekła Sarai — mogłaś je zaspokoić. Chciałybym poznać tę gorycz i zakosztować tego popiołu.

— Biedne dziecię! — rzekła Marya. — Ja znalazłam jedyną miłość, która nie zawodzi. Kochaj tak, jak ja, Syna Bożego, Tego, który ma słowa wiecznego życia.

— Nie nawidzę Go — odpowiedziała Sarai — bo przez Niego to cierpię dlatego nie wierzę w Jego słowa.

Szukała potem porady u starej Egipcyanki; piła napoje czarodziejskie; odmawiała formuły magiczne; lecz nic nie mogło uspokoić jej cierpienia; we dnie i w nocy obraz Jana męczył ją pragnieniem, które wysuszało jej ciało i zatruwało krew.

* * *

Gdy przyszedł czas Paschy, postanowiła iść z krewnymi do Jerozolimy, oddalonej tylko o dwa dni drogi Matka pochwaliła to pobożne przedsięwzięcie, spodziewając się, że może przyniesie córce ulgę; ale Sarai chciała tylko zobaczyć znowu Jana.

W gospodzie, gdzie stanęli, dowiedzieli się uwięzieniu Jezusa i o wyroku na Niego.

...Jan i Marya Matka Jezusa, Joanna i Zuzanna, Marya, Kleofas, Weronika i Marya z Magdali szły za skazanym tak blisko, jak tylko dopuścił oddział żołnierzy rzymskich. Sarai przyłączyła się do niewiast galilejskich. Widok cierpienia Jana przejmował ję wstrętem: ale mówiła sobie, że po śmierci Mistrza, Jan przypomni sobie może z czasem o swej miłości dla niej.

Pierwszy gwóźdź przebił rękę skazanego, rozdzierając żyły; krew trysnęła, a całe ciało podniosło się i wyprężyło. Ale, że Jezus nie krzyknął nawet, Sarai nie czuła litości.

Podniesiono krzyż; widniały nad nim tylko cztery ogromne, krwawe plamy. Jęki rozpaczy kobiet nie ustawały ani na chwilę, panując nad zgiełkiem świątkujących tłumów. Sarai, nieruchoma, patrzyła na to, co się działo wokół niej, jak gdyby nie na rzeczywistość; i zdawało jej się, że to ona umiera i że tymi jękami jej serce zawodzi nad nią samą.

Potem, skoro Jezus przemówił, skoro rzekł do Jana i do Maryi: »Oto matka Twoja, oto Syn Twój«, zrozumiała, że dla niej skończyło się wszystko; i w osłupieniu liczyła bezwiednie czarne krople, ściekające powoli z nóg Jezusa, — później liczby wyryte na kościach, którymi żołnierze rzucali bez ustanku, siedząc na ziemi.

Ale, gdy ukrzyżowany w chwili słabości zawołał: »Ojcze mój, czemuś mnie opuścił?«, uczuła naraz straszliwą ulgę i pierwszy odruch współczucia, myśląc: »Ten także umiera w rozpaczy«.

A skoro w tej samej chwili płacz kobiet wzrósł, a Marya, Matka Jezusa, osunęła się w omdleniu na ręce towarzyszek, Sarai pomyślała po raz pierwszy: »Może przecież są cierpienia większe, niż moje«.

...Tymczasem ukrzyżowany, ocknąwszy się z omdlenia, wielkim wysiłkiem podniósł trochę głowę obwisłą: zobaczył swoich katów, rzucających kości o jego biednę szatę; zobaczył dalej na spadzistości góry tłumy rozbawione, zaślepione i zawzięte i rzekł: »Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią«.

Wtedy Sarai uległa. Objawienie innej miłości przeniknęło ją, jak błyskawica i powaliło na ziemię. Wstrząsnęła nią taka boleść, że serce jej pękło. Ale nie do Jana, lecz do Jezusa uleciało jej ostatnie, słabe westchnienie.

Przygody srebrnego guldena.

Urodziłem się w stolicy kraju. Mennicą zwą dom w którym na świat przyszedłem. Roku urodzenia już nie pamiętam, gdyż od tego czasu upłynęło już wiele lat, a data, jaką na mnie wybito, stała się już nieczytelna, jak również zniknął już prawie całkiem obraz cesarza, który na sobie nosiłem.

Przed laty, kiedy się narodziłem, błyszczałem i lśniłem w mojej nowej szacie. Wraz z kilkunastu towarzyszami zostałem pewnego dnia zabrany ze starego domu, w którem przebywaliśmy zamknięci w żelaznej szafie. Służący bankowy zaniósł nas wszystkich do banku. Ten przyjął nas, lecz nie na długo.

Pewnego dnia wyrzucono nas okienkiem na duży talerz. Zanim miałem czas pożegnać się z mymi kolegami, wydano mnie wraz z dużym kawałkiem papieru, który potem poznałem, jako banknot, jakiemuś elegancko ubranemu panu, który wziął nas z wielką radością.

Z tą chwilą rozpoczęła się moja wędrówka, pełna przygód i doświadczeń. O! bodaj nie byłbym się rodził! Bezsilnie musiałem patrzeć na to, jak mną frymarczono.

Mój nowy pan wsadził mnie do małej kieszonki, ludzie nazywają to pugilaresem. Byłem tam sam. Poszedł z banku do jakiegoś domu, gdzie było wielu młodych ludzi, nazywano ich »lepszem towarzystwem«. Były tam także pięknie ubrane panie. Słyszałem tam rzeczy, od których byłbym się musiał ciągle rumienić, gdybym był tylko mógł. Ale niestety: byłem tylko srebrnym guldenem.

Było już dobrze po północy, kiedy mój pan wstał, chwiejąc się na nogach od stołu, dobył mnie z pugilaresu i podarował wraz z banknotem jakiejś damie o malowanej twarzy, — widziałem to dobrze przy świetle — bardzo wyperfumowanej. Ta zamknęła nas w eleganckiej kasetce.

Nie długo w niej jednak popasałem. Już na drugi dzień rano powędrowałem, jako zapłata za rachunek do sklepu modniarki, a wieczór dostałem się do rąk biednej, wybladłej dziewczyny. Byłem jej »zarobkiem« za ciężką pracę. Dostałem się do ubogiej izdebki, gdzie żyła stareńka, posiwiała matka i jeszcze dwoje wychudłych dzieci. Tutaj naprawdę dopiero zaczęto oceniać mą wartość. Wszyscy długo radzili nad tem, coby za mnie można kupić, a ja życzyłem sobie tylko, aby mieć obok siebie moją niebieską koleżankę z dnia ubiegłego. Taby mogła była wiele więcej pomódz, niż ja. Wreszcie podzielono mnie na wiele części, kupiono chleba i słoniny. Miałem wystarczyć na całe pół tygodnia. Jakżeż chętnie byłbym mą wartość podwoił!

W czasie dalszej mej podróży po świecie przeszedłem różne koleje. Raz jednak tylko zaznałem uczucia prawdziwej radości. Było to na Boże Narodzenie. Młody robotnik, wystarczyło spojrzeć na jego ręce, aby o tem się przekonać, — zawiózł mnie raz z całą masą innych zaoszczędzonych kolegów swoim starym rodzicom. Jak ci się cieszyli! Po raz pierwszy wtedy widziałem łzy radości i sam szczerze się cieszyłem.

Innym znów razem dostałem się w ręce ogromnego łajdaka. Mnie i jeszcze z tuzin moich braci otrzymał on od swego majstra w dniu wypłaty i zaraz prosto z warsztatu poszedł do zadymionego szynku, gdzie zasiadł do

gry z kilkoma ordynarnymi towarzyszami. Padały straszne przekleństwa. Osłupiałymi oczyma wpatrywał się mój właściciel w pustą portmonetkę, kiedy rano po przegranej nocy ja mu tylko pozostałem. Drżącą ręką sięgał i po mnie, gdyż wszystko przegrał, Ale wstrzymał się i z głuchem przekleństwem opuścił szynk. Sceny, jakiej potem byłem świadkiem nigdy nie zapomnę. Na brzegu łóżka siedziała płacząca kobieta, a w koło niej kilkoro dzieci, które swem narzekaniem powiększały jeszcze boleść matki. Nigdy nie zniknie z mej pamięci spojrzenie jakiem powitała kobieta wchodzącego mego posiadacza. Z ordynarnem przekleństwem sięgnął on po mnie i rzucił jej pod nogi. Potem chwycił za czapkę i wypadł z mieszkania. Czegoś podobnego na szczęście drugi raz nie widziałem.

Dostałem się wreszcie w ręce skąpca, który długie lata wraz z wieloma innymi kolegami trzymał mnie w uwięzi, licząc nas tylko czasem przy świetle lampki oliwnej. Wszystkim opowiadał on, że jest bardzo biedny, a żebraków to od drzwi odpędzał. Miał bardzo nielitościwe serce. Musiał się jednak ktoś o naszej niedoli dowiedzieć, gdyż raz w czasie nieobecności skąpca zabrano nas wszystkich. Skąpiec podobno potem zwaryował, jak słyszałem... — z rozpaczy, a ludzie powiadali, że skąpstwo to jest wielka wada.

Wszyscy utrzymują, że przed laty miałem większą war tość i że dzisiaj już nie na wiele się przydam. To z pewnością jest też powodem, że chcą mnie z obiegu wycofać, jako starego grata. Słyszałem ja co prawda, że tak się robi także i ze starymi ludźmi, ale ja uważam to za złe. Przynajmniej mam jedno zadośćuczynienie. O mojej następczyni, którą »koroną« nazywają, nie bardzo pochlebnie ludzie się wyrażają, mimo, iż jest ona dosyć jeszcze młoda. Słyszałem już, jak nieraz skarżono się, że nawet uczciwego śniadania za nią nie dostanie. A przecież kiedy ja byłem w tym wieku, można było cały dzień bardzo wygodnie żyć moją wartością. Słyszałem nieraz, jak mnie chwalono i zapewniano, że nie ma lepszej rzeczy na świecie. Miano pewnie wtedy koronę na myśli. Ostatecznie ich dwie może dopiero starczyć za mnie jednego. A one mimo to, drą nosa do góry.

Ostatecznie ustępuję z życia bardzo chętnie zwłaszcza po ostatnim skandalu, w jaki byłem mimowoli wmieszany. W pewnem starem mieście nadużyto mojej uczciwości, gdyż użyto mnie do przekupstw wyborczych. Podczas, gdy przedtem u ludzi ubogich odpoczywałem sobie zazwyczaj spokojnie czas dłuższy, w ostatnich tygodniach włóczono mnie ze zgromadzenia na zgromadzenie, — ludzie nazywają to politykowaniem, — a tak wymyślali sobie nawzajem ci panowie, że słuchając ich nabrałem ostatecznie przekonania, że na świecie nie ma ludzi dobrych, ale tylko ludzie źli i błaźni. Ja zaś padałem ofiarą ich złości i musiałem nieraz dziesięć razy w jednym dniu zmieniać właściciela. Po tych przejściach usuwam się z życia bardzo chętnie i bez niechęci.

* * *

Na tem urywają się zapiski starego guldena. Ileż rzeczy możnaby się z nich nauczyć?!

W kraju umarłych.

We Francyi karą dla wielkich zbrodniarzy jest albo gilotyna, która w jednej sekundzie odcina głowy przestępcom, albo czasem zamieniają im karę śmierci na dożywotnie ciężkie roboty w Guajanie (w środkowej Ameryce) lub w Nowej Kaledonii (wyspy opodal Australii), które słusznie nazwane być mogą Syberyą francuską.

Już sam przewóz okrętami na miejsce zesłania daje zesłańcom przedsmak tego, co ich czeka później. Skazańcy przewożeni są w klatkach żelaznych, jak dzikie zwierzęta. Przed wyruszeniem okrętu na pełne morze uprzedzeni zostają, że w klatkach znajdują się rury z gorącą parą, które otwierane są w razie najmniejszej próby buntu i prażą strasznym żarem nieposłusznych; po przybyciu na miejsce, skazańcy rozmieszczeni zostają w mieszkaniach swoich, pustych i smutnych, jak wszystko dokoła, mieszkania owe opuszczać im wolno tylko wówczas, gdy idą do pracy.

Zaraz po przybyciu dokonywane są pomiary każdego zesłańca przy pomocy systemu Bertillona, ażeby w razie

ucieczki rozpoznać było można zbrodniarza. Środek to jednak zbyteczny. Ci, co tu przybyli, bardzo rychło przekonują się, że ucieczka stąd jest niemożliwa. Marzenie o odzyskaniu wolności nie opuszcza ich wprawdzie do śmierci, najśmielsi jednak zdają sobie sprawę z bezowocności wszelkiej próby ucieczki. Jakże tu bowiem pod okiem dzień i noc czuwających dozorców zbudować sobie łódź, jak przez burzliwe i rekinami na każdym kroku grożące morze dostać się na łodzi tej do przepływającego okrętu?

W roku 1905 we francuskich koloniach karnych było 26.771 zesłańców; 9.614 w Guajanie i 7.257 w Nowej Kaledonii. Od pewnego czasu Nowa Kaledonia nie otrzymuje już nowych zesłańców. Koszt utrzymania zesłańców tych wyniósł w 1905 roku 5,757.000 franków, co stanowi 600 franków na jednego.

Guajana składa się z trzech wysp, między niemi wsławiona pobytem głośnego żydka Dreyfusa »Wyspa Dyabelska«. Wybrzeża są płaskie i nudne, roślinności na nich bardzo niewiele. Środek wyspy zajmują lasy dziewicze i ziejące wszelkiego rodzaju chorobami bagna. Nie brak tu, oczywiście, także i pól uprawnych; praca ludzka dużo zdziałać może, więc i tu nieurodzajne przestrzenie zmieniła w ziemię, plon bodaj skromny niosącą. Użyźnił je pot i kości zesłańców.

Na skazańca, pracującego w pocie czoła, czyha tu na każdym kroku śmierć. Miliony moksitów (much i komarów) roznoszą zarazę, każde stąpnięcie grozi ukąszeniem żmii jadowitej, wyziewy z bagien sprowadzają żółtą febrę, która wraz z biegunką dziesiątkuje zesłańców. Na tysiąc zesłańców umiera w Guajanie 109 rocznie. Obojętnie też jest im, czy skazani zostali na 10 lat, czy na życie całe, bo śmierć, tak czy owak, przyjdzie przed uzyskaniem wolności.

Szpital nie przeraża ich, bo tam w każdym razie lepiej, niż przy pracy w bagniskach lub kamieniołomach. Był nawet czas, że ażeby dostać się do szpitala, przyprawili się dobrowolnie o kalectwo: wykłówywali sobie oczy, ucinali rękę lub nogę. Ażeby kres temu położyć, zarząd wyspy umieszczał takich dobrowolnych kaleków w zamkniętem miejscu, gdzie nosić musieli ciężkie worki z kamieniami — wszyscy, ślepi, kulawi, pozbawieni ręki. Przed dwudziestu laty środka tego zaniechano.

W takich warunkach żyją tu zbrodniarze; zasada sprawiedliwości wymaga, żeby za zbrodnie odpokutowali i jeżeli pokuta jest ciężką, to dlatego, że i zbrodnia była ciężka. Za cóż jednak pokutują dozorcy zesłańców, którzy żyją tu we warunkach jeszcze gorszych? Bo nietylko, że oddychają tem samem trującem powietrzem, ale żyć muszą w ciągłej obawie przed zbrodniczemi zamachami powierzonych opiece swojej skazańców. Więc za co cierpią gorzej nawet od owych »umarłych dla świata?«...

KINEMATOGRAF.

Jednym z najbardziej rozpowszechnionych wynalazków nowoczesnych stał się w ostatkich kilku latach — kinematograf. Każde prawie większe miasto posiada dzisiaj albo miejscowe przedsiębiorstwo kinematograficzne, albo też raz po raz w przejeździe różni przedsiębiorcy dają przedstawienia. Starzy i młodzież chętnie spieszą oglądać piękne obrazki lub wesołe historye, które przed oczyma widza się przesuwają. Jako zdjęcia robione z natury tem bardziej są takie przedstawienia ciekawe, a często i pouczające.

Niejeden z nas, patrząc na te szybko przed jego oczyma przewijające się obrazy, nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, jak wielkie zastosowanie znalazł ten wynalazek i jak rozległe jest jego pole działania. Postaramy się w kilku słowach sprawę wyjaśnić.

Co do samego aparatu kinematograficznego to zauważyć należy, że jest udoskonaloną latarnią magiczną. Za pomocą doskonałego aparatu fotograficznego robi się tysiące zdjęć fotograficznych tak zwanych momentowych, czyli bardzo szybko po sobie następujących, które utrwalają się na długim pasku z żelatyny powleczonej z jednej strony masą czułą bardzo na światło. Pasek taki nazywa się filmem. Kiedy dany przedmiot lub okolica, albo też jakaś wesoła historya w ten sposób już jest odfotografowana, po przeprowadzeniu różnych fotograficznych zabiegów wytwarza się drugi film, który właśnie pokazuje się w kinematografie. Aparat kinematograficzny ma bowiem przyrząd zegarowy

albo też elektryczny, który tak szybko przesuwa film w aparacie, iż patrzącym wydaje się, że osoby lub przedmioty, których fotografie na płótnie widzą, poruszają się, mówią i t. d.

Jak wiele jest tych poszczególnych fotografii na jednym takim filmie, pokazuje nam następujące obliczenie. Przeciętnie film kinematograficzny przedstawiający jakąś wesołą historyjkę ma 160 metrów długości. Na przestrzeni zaś jednego metra wypada 52 zdjęć fotograficznych, czyli, że dla przedstawienia jednego zwykłego numeru programu trzeba aż 8.320 zdjęć fotograficznych. Jeśli teraz obliczymy, że przedstawienie w teatrze kinematograficznym trwa około 1 i pół godziny, to po obliczeniu przerw wypadnie, iż przez apararat kinematografu przewija się około 1.500 metrów różnych filmów. Na tych filmach zaś znajduje się zazwyczaj przeszło 80 tysięcy zdjęć fotograficznych.

Obliczenia te przekonują nas, jak wiele pracy potrzeba, aby przygotować zwykle jedno przedstawienie kinematografu.

Przemysł kinematograficzny rozwinął się dzisiaj już ogromnie. Według obliczeń statystycznych istnieje obecnie na kuli ziemskiej w krajach cywilizowanych przeszło 20 tysięcy teatrów stałych kinematograficznych. Liczby tej na same Stany Zjednoczone Ameryki przypada około 10 tysięcy teatrzyków. Aby teatrzyki te zaopatrzyć w filmy pracuje przeszło sto fabryk. Niektóre z nich tak już rozwinęły swą produkcyę, że wyrabiają dziennie po 500 tysięcy metrów.

Kapitał, jaki w te przedsiębiorstwa włożono wynosi już kilkaset milionów koron. W samej północnej Ameryce fabryki filmów posiadają przeszło 200 milionów koron kapitału zakładowego. Rzecz prosta, że w przemyśle tym znajduje zajęcie w fabrykach przeszło sto tysięcy ludzi.

Ciekawą rzeczą jest jeszcze zbadać, ilu ludzi mniej więcej widzi jeden film. Według przyjętego zwyczaju każdy obrazek robi się w 45 egzemplarzach i równocześnie 45 teatrów rozpoczyna pokazywać to samo zdjęcie. Ponieważ zaś każdy film może być używany przez 20 tygodni, znaczy to, że pokazuje się go przez 140 dni. Teatr kinematograficzny, który jako tako jest prowadzony, ma dziennie około 450 widzów. Tem samem więc jeden obrazek ogląda dziennie 450 ludzi w 45 teatrach przez 140 dni. Z rachunku wypada,

że jeden film kinematograficzny widzi przeciętnie dwa i pół miliona osób.

Jeśli w ten sposób dopiero zestawimy te olbrzymie cyfry, widzimy, jakie rozpowszechnienie zyskał ten wynalazek, który dopiero od 17-tu lat jest w użyciu.

O ile chodzi o znaczenie kinematografu pod względem społecznym i naukowym, to stwierdzić trzeba, że jest ono bardzo duże. Zwłaszcza dla celów naukowych kinematograf ma wielkie znaczenie, przyczynia się bowiem do popularyzowania wiedzy i jej odkryć.

W ostatnich czasach jednak szereg fabryk wyrabiających filmy, czyli obrazki dla kinematografów, puścił się chcąc dogodzić niewybrednym gustom ludzkim, na fabrykowanie różnych »sensacyjnych« kradzieży, zbrodni i t. d. Ma się rozumieć, że tego rodzaju przedstawienia są złe i demoralizujące i należy wszędzie, gdzie stosunki na to pozwalają nie dopuszczać do tego, aby naszą młodzież karmiono takimi sensacyjnemi awanturami.

Jeśli jednak teatr kinematograficzny daje przestawienia z obrazkami rozumnie dobranymi, stanowić on może bardzo miłą rozrywkę.

Ruch wychodźczy z Galicyi wschodniej.

Gazeta Lwowska podaje na podstawie dokładnych urzędowych obliczeń wykaz liczebny emigrantów, którzy w miesiącu marcu bież. roku przejechali przez Lwów w celu udania się na roboty do Prus lub do Ameryki, zestawiony wedle poszczególnych powiatów:

	Liczba osób z powiatu udających się	
Powiat	do Prus	do Ameryki
Bóbrka	109	68
Bohorodczany	55	—
Borszczów	221	148
Brody	688	102
Brzeżany	371	56
Buczacz	576	90
Do przeniesienia	2.020	464

Z przeniesienia	2.020	464
Czortków	148	173
Dolina	—	5
Horodenka	139	164
Husiatyn	333	360
Kałusz	110	84
Kamionka	376	21
Kołomyja	213	68
Kosów	30	5
Lwów	37	—
Nadwórna	244	25
Peczeniżyn	15	—
Podhajce	285	30
Przemyślany	155	36
Radziechów	356	10
Rawa ruska	20	—
Rohatyn	679	100
Rudki	55	—
Skałat	436	119
Śniatyn	209	53
Sokal	48	—
Stanisławów	294	46
Tarnopol	829	167
Tłumacz	679	79
Trembowla	491	148
Zaleszczyki	159	162
Zbaraż	463	77
Zborów	595	46
Złoczów	601	38
Żółkiew	117	16
Żydaczów	191	13
Razem	10.331	2.509.

W czasie od 1-go stycznia do 31-go marca 1912 r. zniewolono do powrotu następującą liczbę emigrantów, którzy przejeżdżali przez Lwów w zamiarze udania się do Ameryki, a byli w wieku pełnienia obowiązkow służby wojskowej i nie mieli dokumentów: z powiatu: Bóbrka 2 osoby, Bohorodczany 2, Borszczów 30, Brody 8, Brzeżany 10, Buczacz 24, Czortków 6, Dolina 1, Horodenka 6, Husiatyn 23, Kałusz 4, Kamionka 5, Kosów 1, Lwów

4, Nadwórna 2, Podhajce 7, Przemyślany 5, Rohatyn 23, Radziechów 15, Skałat 14, Śniatyn 1, Sokal 1, Stanisławów 24, Tarnopol 8, Tłumacz 22, Trembowla 18, Zaleszczyki 3, Zbaraż 2, Zborów, 6, Zło czów 14, Żółkiew 15, Żydaczów 1; razem 373 osób.

Raj amerykański.

Jeden z księży węgierskich, ks. hr. Bay odbył w roku zeszłym podróż za morze razem z 2.400 wychodźcami węgierskiemi na okręcie „Panonia“ celem zbadania na miejscu amerykańskiego raju, dla którego co roku tysiące jego rodaków opuszczają ziemię ojczystą.

To, co tam w Ameryce widział naocznie ks. Bay i słyszał, spisał teraz w obszernej książce, której dał tytuł: „Do Ameryki na statku wychodźczym. — Wewnętrzne życie Stanów Zjednoczonych“.

Z książki tej wyjmujemy niektóre ustępy, mogące zainteresować naszych Czytelników.

Niektóre opisy kreślone przez ks. Baya są wprost rozpaczliwe, straszne. „Panowie za morzem“ — pisze ks. Bay — „wyzyskują siły przychodźców do ostatniego tchnienia, dla zdobycia dla nich, dla bogaczów amerykańskich wprost szalonych bogactw, pracują przychodźcy europejscy gorzej i ciężej aniżeli nasze zwierzęta domowe.

Przybysze z Austryi i Węgier udają się przeważnie do Pittsburga — owego środowiska amerykańskiego przemysłu żelaznego i stalowego, gdzie istnieją liczne kolonie rodaków. Gdzie okiem sięgnąć, na wielkiej przestrzeni widnieją tylko buchające ogniem, dymem i sadzą kominy, dokoła znajdują się tylko gisernie i huty, w których rozlega się dokoła ogłuszający huk maszyn — mechanicznych młotów, syk pary — atmosferę napełnia sadza, popiół i całe morze iskier — jak z buchającego lawą krateru.

Podobnie jak bóstwa pogańskie, pochłaniają i niemiłosierne stalownie i huty żelazne codziennie ofiary ludzkie. Niema godziny, w którejby nie zdarzyło się ja-

kie nieszczęście. Na miejsce okaleczonych lub zmarłych przybędą dziesiątki innych czekających przed bramą na pracę.

I niema tu przerwy w pracy, która trwa nieustannie, dniem i nocą. Wszystko dokoła nosi piętno ponure; czarną jest ziemia, gęste czarne powietrze, niebo nawet takąż barwę przybrało; nigdzie ani śladu trawki, drzewa lub jakiej rośliny Zatrutem jest wprost powietrze, a żar tak wielki, że człowiek zaledwie kilkanaście minut wytrzymać może; to też robotnicy luzują się co 15 minut, a i w tym krótkim czasie pokrywa się ich ciało potem, a w płucach dech im zapiera.

Przybywszy tutaj z pięknych dolin karpackich za chlebem, zmuszonym jest biedny Słowak poddać się przemożnej mocy żelaznego trustu, który dyktuje mu warunki. Zwiedzając te „więzienia przemysłowe“, jak je ks. Bay nazywa, możemy być pewni, że gdzie żar największy, robota najcięższa, powietrze najbardziej duszne, tam napewno napotkamy Słowaków, spełniających ową niewolniczą pracę.

Ludzkiego życia tu się nie ceni, gdyż nieustannie nowe siły robocze, nowi rekruci, na miejsce ustępujących zaciągają się do służby kapitałowi amerykańskiemu.

Pewien kowal pochodzący z Węgier opowiedział ks. Bayowi następujące zdarzenie prawdziwe:

Kilku robotników miało naprawiać uszkodzony kocioł żelazny i wtedy zwrócili uwagę nadzorcy na to, że niektóre części kotła są zardzewiałe, i przepowiedzieli nieszczęście na wypadek, gdyby ich nie usunięto. W odpowiedzi na to rzekł im nadzorca:

— Okręty przywiozą nowych ludzi pod dostatkiem!

Po tygodniu spełniła się przepowiednia robotników, kocioł pękł i wiele ludzi postradało swe życie.

Podobnych uwag, spostrzeżeń i obrazów znajduje się w książce bardzo wiele — wszystkie są bardzo charakterystyczne i zasługują na uwagę ogółu.

Postęp katolicyzmu w świetle statystyki.

Z dzieła uczonego włoskiego A. M. Stradelli'ego, który z największą skrupulatnością badał rozwój katolicyzmu na całym świecie w ciągu ostatnich 100 lat, dowiadujemy się, że religia katolicka mimo wszelkiej trudności, z jakiemi się właśnie w ciągu ubiegłego stulecia spotykała, stale się rozwijała i coraz liczniejszych znajdowała wyznawców.

Następujące liczby niechaj służą za dowód.

W ostatnich 100 latach wzrosła liczba katolików:

w Anglii z 120.000 do 2,180.000,

w Niemczech z 6 milionów do 20,341.441,

w Szwajcaryi z 420.000 do 1,300.000,

w Rumunii z 16 tysięcy do 150 tysięcy,

w Bośnii i Hercegowinie z 25 tysięcy do 398 tysięcy,

w Bułgaryi z 1.300 do 28.000,

w Serbii z 6 tysięcy do 20 tysięcy,

w Grecyi z 15 tysięcy do 44 tysięcy.

w Rosyi było w ciągu czterech lat (1905 do 1909) 230 tysięcy nawróceń,

w Turcyi europejskiej było w ciągu mniej więcej takiego samego peryodu 24,855 nawróceń,

w Afryce jest teraz 850 tysięcy katolików, na początku zaś wieku XIX. było ich kilkadziesiąt tysięcy.

Podobną liczbę posiadała Azya około roku 1800, teraz zaś jest tam 4,600.000 katolików,

w Stanach Zjednoczonych wzrosła liczba katolików z 40 tysięcy do 22,587.079,

w Kanadzie z 160 tysięcy do 2,250.000,

w Ameryce południowej jest dzisiaj 40 milionów katolików,

w Australii, której katolików można było policzyć na palcach w rogu 1800, jest teraz 1,600.000.

Pożyteczna instytucya.

Jedno z niemieckich państw związkowych, mianowicie Wirtembergia posiada „Domy robocze dla robotników podróżnych nie mających pracy".

O takim domu w Rawensburgu, w Górnej Szwabii pisały niedawno *Blätter für das Armenwesen* (Nr. 17 zeszłego roku), co następuje: „Gdyby tego domu tutaj nie było, to większość robotników podróżnych, nie mających pracy, wogóle wszyscy, którym się pracować nie nie chce, użebraliby sobie potrzebne pieniądze, przez coby tysiące marek mieszkańcom odjęto, a z tych wieksza część wydana byłaby zupełnie bezkorzystnie na wódkę! A tak żebrać im nie wolno; dostaną bowiem tutaj w takim domu pracę przejściową, za co mają prawo do zupełnego utrzymania. Alkoholu tutaj nie dostaną pod żadną postacią.

„I z satysfakcyą skonstatować można, z jaką to radością i z jakiem zadowoleniem każdy po pracy z kubeczkiem swoim podąża do zdroju po napój zdrowotny. Właśnie to wykluczenie wszelkich trunków alkoholicznych i praca, którą tutaj znajduje zaraz, odzwyczajają od skosztowania życia żebraczego, chroni od noclegu po knajpach, oberżach, gdzie każdego wieczoru prawie zmuszonym był się upić.

„Wielu już na tej drodze, przez takie domy, uszło zupełnej ruiny i zachowało chęć do życia poczciwego i pracy — a ilu przez nie powróciło tą drogą do uczciwej i trzeźwej pracy, o tem napisaćby można dużo!"

Wojownicy arabscy w Trypolisie.

Od czasu wmieszania się Arabów do wojny włosko-tureckiej nastąpiła stanowcza zmiana na terenie walki, którą przypisać należy waleczności i męstwa tych synów pustyni. Otóż wojownicy arabscy najprawdopodobniej i w dalszym ciągu wojny będą odgrywali najważniejszą

rolę, dlatego warto się im lepiej przypatrzeć i poznać przedewszystkiem ich charakter i temperament.

Ci „Arabowie“, a raczej Berberowie tylko w małej części są potomkami wyznawców Proroka, którzy w roku 1050 po Chrystusie w liczbie około 250 tysięcy głów wyemigrowali do Afryki północnej. Nie wiadomo, skąd pochodzą, zdaje z owej wielce ciekawej ludności pierwotnej Afryki północnej, od której przejęli także swe główne zalety charakteru i umysłu.

Berberowie trypolitańscy rasy swej już nie utrzymali tak czysto, jak synowie wysokich gór nadbrzeżnych, których Francuzi zowią Kabylami, w obecnym ruchu islamizmu przeciw Włochom odgrywają Berberowie rolę decydującą.

Według profesora Dra Fischera z Marburga, jednego z najlepszych znawców historyi ludów Afryki północnej, Berberowie zamieszkiwali już w czasach przedhistorycznych okolice, w których obecnie żyją. Zdaje się być najprawdopodobniejszem, że kolebkę swą mieli w Europie, a ich niebieskie oczy i blond włosy zdaje się mówić za tem, że są pochodzenia germańskiego (?).

W każdym razie czas ich osiedlenia się w Afryce przypada na okres przed rokiem 1500 przed Chrystusem. W epoce cesarstwa rzymskiego posiadali już Berberowie swą własną wysoko rozwiniętą kulturę, a w wiekach średnich, kiedy islam stał u szczytu swej potęgi, wpływy ich musiały być bardzo znaczne.

Ów ród hamicki, chociaż zalewali go obcy przybysze, zarabizował się się tylko powierzchownie, w istocie zaś dzięki swej energii i wyjątkowym zaletom zachował swe właściwości narodowe, albo je raczej, jeszcze lepiej uwydatnił. Berberowie są pod względem postaci cielesnej rasą bardzo silną i odporną.

Nikt inny nie potrafi znosić tak łatwo największych trudów fizycznych, niedostatku i zmian pogody, co Berberowie. „Berberowie posiadają wszelkie zalety ciała i ducha, aby być znakomitymi żołnierzami“ — oświadcza profesor Fischer. Nadzwyczajną siłę i długie życie zawdzięczają Berberowie z pewnością tej okoliczności, że już

od najmłodszych lat, w wieku dziecięcym, znosić muszą niewygody i hartują w ten sposób swe ciało.

Prawdziwi Arabowie z natury są leniwi i powolni, Berberowie tymczasem mają umysł bystry i zdolność szybkiej oryentacyi, zwłaszcza w rzeczach praktycznych, przytem są bardzo pracowici. „Berber jest namiętny i ruchliwy, przytem jednak poważny, nawet smutny“ — powiada profesor Fischer, — „posiada jak to często sam stwierdzić miałem sposobność, ambicyę osobistą i nie znosi złego, poniżającego traktowania go.

„Berber dotrzymuje słowa! Wysoko jest u nich rozwinięty zmysł dla zarobkowania, przytem potrzeby ich są bardzo skromne“. Zdziwienie wywołuje ich twórczość na polu uprawy roli. Niektóre górzyste i skaliste okolice w Trypolisie przekształcili za pomocą sztucznych nawozów i tworzenia teraz w najpiękniejsze ogrody. Berberowie przyjęli w wieku XVI. religię mahometańską, przejęli od Arabów ich podział roku, a sekty i różne zakony religijne odgrywają u nich wybitną rolę. Z ludem o takim charakterze i takich zaletach trudno będzie Włochom prędko się uporać.

Śmierć Tytana.

Noc jasna, chociaż bez księżyca, ale za to niebo iskrzące się gwiazdami, morze spokojne. Czwarty już dzień mknie po oceanie Atlantyckim okręt-olbrzym, jakiego jeszcze świat nie widział, po raz pierwszy spuszczony na morze „Titanic“.

Miał on pobić szybkością wszystkie okręty. — Więc płynie ten olbrzym z szybkością 40 do 50 kilometrów na godzinę; przepływa w pierwszym dniu 484 mil morskich, w czwartym dniu jeszcze szybciej, bo 519 mil. (Mila morska równa się 1 kilometr 835 metrów).

Przyjemne jest życie na oceanie, zwłaszcza, gdy się jedzie na takim statku, jak „Titanic“ („Tytan“) urządzonym z największym przepychem, jaki na lądzie spotkać

można chyba w najwspanialszych hotelach lub pałacach królewskich.

Podróżni pierwszej klasy opływają na „Titanicu“ w najwykwintniejsze dostatki. Zbytkownie urządzone salony, jadalnie, sala balowa, czytelnie, biblioteki, łaźnie rzymskie i tureckie, spacery i place do zabaw. Wszystkie piętra — a jest ich siedm na „Tytanie“ oświetlone elektrycznie, wszędzie kwiaty, zimowe ogrody, wszystko miękiemi kobiercami pokryte.

Sale do gry przepełnione, salony pełne wytwornie ubranych panów i pań, a „Tytan“ płynie jak zaczarowany okręt z bajki. Właśnie skończył się wielki obiad. Jedni z podróżnych zasiedli do gry — drudzy zabawiają się rozmową — tylko starsi zamierzają udać się na spoczynek.

Nagle silne wstrząśnienie, huk, łoskot, jak żeby śruby okrętowe wyleciały. Z salonów wybiegli panowie na najbliższy pokład. Co się stało?

Nic — brzmi odpowiedź służby. Uspokojeni wracają do swych zabaw.

Kapitan Edward Smith, który był na obiedzie u Ismay'a prezydenta „Towarzystwa Białej gwiazdy“ właściciela „Titanica“, spieszy na plac komendy, na najwyższym pomoście.

Góra lodowa — mruknął kapitan — i rozkazuje zamknąć przewody szkatuł. W takim razie okręt powinien był zwolnić biegu, a „Titanic“ był w pełnym biegu. Godzina była 11 minut 35 w nocy.

Na statku zrobiło się zimno, kapitan zeszedł na dół do hali maszynowej. Tu przekonał się zaraz, że katastrofa jest nieuniknioną. Dolna część hali maszyn zalana już była wodą.

Wtedy zabrzmiała straszna komenda:

„Wszyscy pasażerowie na pokład, wszystkich zaopatrzyć w pasy ratunkowe“. Telegrafista zaś okrętowy otrzymał rozkaz, by na wszystkie strony rozesłał sygnały w tych strasznych literach: „Ratujcie dusze nasze!“

Gdyby na okręcie „Parisian“, który znajdował się w tej chwili zaledwie o 100 mil morskich od „Tytanica“

nie był spał telegrafista. cała załoga okrętu „Titanic“ mogłaby być uratowaną.

Ale czy telegrafista okrętu „Parisian“ spał, czy też — jak się tenże tłumaczy — przyrząd telegraficzny był popsuty — dość. że sygnału nie odebrał — a „Carpathia“ choć przybyła natychmiast — jednak, że była oddalona o 400 mil, przyjechała na miejsce katastrofy — już za późno.

Tymczasem na „Titanicu“ wszczął się ruch. Pasażerowie ubrali się w pasy ratunkowe, ale nie wierzyli jeszcze, by okręt mógł zatonąć. Tak wielkie było zaślepienie ludzkie, taka wiara w bezpieczeństwo na „Tytanie“.

Naraz rozeszła się komenda:

„Spuszczać łodzie! Wszyscy mężczyźni mają się cofnąć w tył przed łodziami, a panie i dzieci zejść na pokład niższy, wsiąść do łodzi!“

Teraz dopiero zrozumiano, że niebezpieczeństwo jest groźne.

Godzina była 12 minut 15 w nocy.

Rozpoczęły się straszne sceny.

Kobiety nie chciały schodzić na łodzie. Pierwszą musiano spuścić w worku.

Pierwsi zrozumieli niebezpieczeństwo maszyniści, palacze, służba kajutowa, i ci poczęli cisnąć się do łodzi. Musiano ich siłą odpychać. Zawrzała walka o miejsca. Kapitan uformował szpaler oficerów z dobytymi rewolwerami i tym sposobem utworzono drogę dla kobiet i dzieci.

Telegrafista rozsyłał coraz rozpaczliwsze sygnały: „Jesteśmy już prawie całkiem pod wodą! ostatnia łódź odeszła — toniemy!“

Wtedy kapitan, który ze spokojem kierował całą akcyą ratunkową powiedział:

— „Chłopcy, spełniliście swoją powinność, teraz zwalniam was ze służby, każdy niech się sam ratuje, jak może!“

A tymczasem na okręcie rozgrywają się sceny, których żadne pióro nie opisze. Orkiestra gra marsze, dzielni bohaterowie ci muzykanci. Łodzie odpływają jedna po drugiej, jak najdalej od tonącego okrętu. Kapitan stoi na swoim miejscu. Okręt się przechyla, co pięć minut zata-

pia się głębiej. Już cały przód okrętu pod wodą; kapitan stoi na swojem miejscu. Światła gasną, maszyny przestają pracować, robi się straszna ciemność. Kapitan stoi na swojem miejscu. Muzyka gra hymn: Bliżej, bliżej Boże do Ciebie!

Kapitan stoi na swojem miejscu. W łodziach odjechało 705 pasażerów, przeważnie kobiet i dzieci, oraz wielu z pośród służby: palaczy, maszynistów i tych mężczyzn, którzy pierwsi wsiedli. Tysiąc sześćset trzydzieści pięć osób zginęło. Sześć kobiet pozostało na statku, nie chciało bowiem opuścić swych mężów.

Ostatnia chwila do ratunku! — woła kapitan. —

— Twoja droga jest moją drogą — powiada pani Strauss do męża i pozostaje na statku z mężem i razem giną.

Nadchodzi ostatnia chwila.

Olbrzymi okręt przez połowę zanurzony, tylko część wystaje na 150 stóp ponad morze. Sterczy ohydny kadłub najpiękniejszego dzieła ludzkiego. Tysiąc ludzi na pokładzie; nagle fala zalewa wszystko, rozbitcy w łodziach słyszą jescze ostatnie tony hymnu: „Zbliżamy się do Ciebie Boże!“

Tylko morze szumi, a pod falami jego znika okręt, który był podziwem wszystkich.

Kapitan Smith ostatni rzuca się do morza, ratuje jeszcze jakiegoś chłopaka, fala porywa go, jeszcze raz ją zwycięża, wreszcie ginie, jak prawdziwy marynarz.

Najpiękniejsza śmierć, jaka przystoi mężczyźnie, jest, jeżeli umiera dla uratowania człowieka.

Bohaterską śmiercią zginęli kapitan Smith, milioner pułkownik Astor, który wyratował swą młodą żonę, major Butt, przyjaciel prezydenta Tafta, powracający z Rzymu do ojczyzny, p. Stead, wielki pisarz polityczny, którego jeszcze w ostatniej chwili widziano stojącego na pokładzie i tylu innych bohaterów, którzy poszli w głąb oceanu, jak w łóżko.

O godzinie 3 po północy już było po wszystkiem. Dwie i pół godziny trwało konanie „Titanica“. Jeszcze godzina i 15 minut upłynęło, zanim na ciemnym, spokojnym oceanie zjawił się statek „Carpathia“, którego

światła zdala już widziane, budziły nadzieję ratunku dla rozbitków na łodziach i zabrał pomarzłych na swój gościnny pokład. Setki trupów po morzu pływało zamarzniętych lub wyrzuconych z łodzi.

Trzebaby pióra jakiegoś niepojęcie zdolnego pisarza, by oddać, by opisać ową straszną chwilę. gdy „Titanic“ ginął. i owo bohaterstwo i poświęcenie tych, co ratowali kobiety i dzieci, a sami zostali na pokładzie, by zginąć niechybną śmiercią.

Nie na darmo u Anglików cześć dla bohaterów wielka. Naród przejęty taką czcią musi wydawać bohaterów i ma ich. Dowiedli oni tego w najcięższej chwili, niosąc swe życie w obronie innych.

Mogą oni służyć i służyć będą za wzór poświęcenia i miłości bliźniego. Cześć im!

TO I OWO.

Węgiel kamienny przed pięciu wiekami.

Chociaż pokłady węgla kamiennego w Anglii nie prędko się jeszcze wyczerpią, w dziennikach rozlegają się od czasu do czasu głosy, które przewidują różne okropności, mające nawiedzić ludzkość po wyczerpaniu się zasobów węgla i nawołują do oszczędności i nie marnowania tego drogocennego »chleba wielkiego przemysłu«.

Przed pięciuset z górą laty nieco inaczej oceniano pożytek węgla. Anglia wówczas niewiele jeszcze wiedziała o swych bogatych pokładach węgla i kiedy na początku XIV. wieku barki przywiozły po raz pierwszy z Newcastle do Londynu ładunek węgla kamiennego, to gmina stolicy wystosowała do tronu petycyę o zakaz palenia w piecach tym niebezpiecznym materyałem«.

Ponieważ zakaz królewski nie powstrzymał całkowicie przywozu węgla, więc ustanowiono prawo, na którego mocy każdy, kto palił w piecu lub gdzieindziej węgiel kamienny podlegał karze śmierci. Tylko kilka luźnie położonych za rogatkami domów otrzymało specyalne pozwolenie na używanie »materyału przeklętego«. Prawo karzące śmiercią

konsumentów węgla, nie zostało tylko literą martwą. Kroniki więzień londyńskich wspominają o paru obywatelach tego miasta, którym ucięto głowy za palenie węglem w swych piecach.

Wesoły i dziwaczny pogrzeb.

W Modigliano we Włoszech zmarł przed kilku tygodniami handlarz koni, nazwiskiem Maldo Samori. W testamencie przeznaczył 20 tysięcy lirów na miejscowy szpital, ponadto wyraził życzenie, by na pogrzebie postępowała za trumną orkiestra, grając same marsze i melodyjne walce z najnowszych operetek.

W orszaku żałobnym miał się znajdować również wielki wóz, naładowany beczkami wina, przeznaczonego dla uczestników pogrzebu. Co dwieście metrów miał się kondukt wedle życzenia zmarłego zatrzymywać, by publiczność, biorąca udział w pogrzebie, mogła się na dalszą drogę... pokrzepić.

Wykonawca tego oryginalnego testamentu, dyrektor kasy oszczędności, Leopold Briccoli, musiał się zobowiązać jeszcze za życia zmarłego, że zastosuje się do ostatecznej woli Samori'ego, pogrzeb więc przedstawiał się ogromnie... interesująco i sprawiał raczej wrażenie zabawy weselnej.

Podpita publiczność śpiewała uliczne piosenki i tańczyła, wznosząc okrzyki na cześć pomysłowego nieboszczyka. Oczywiście duchowieństwo katolickie nie uczestniczyło w tym pogańskim pogrzebie.

—W Offenbach nad Menem zmarł nadburmistrz Brink. Postanowił on w testamencie, ażeby ciało jego najpierw spalić, a popiół zawieść do lasów w Taunus i tam go rozwiać na wszystkie strony świata. Życzenie jego zostało spełnione.

Krawiec żebraków i złodziei.

W Londynie istnieje skład gotowych ubiorów specyalnie dla żebraków i złodziei. Właściciel sam był niegdyś zawodowym złodziejem, ale bez wielkiego powodzenia, co skłoniło go do założenia interesu, odpowiadającego »wymaganiom chwili«.

Zawód żebraka i złodzieja nie jest tak łatwy, jakby się zdawało. Przedewszystkiem trzeba mieć odpowiednią odzież i tę to najpilniejszą potrzebę załatwia ów magazyn. Właściciel, niegdyś także krawiec, tak się wydoskonalił, że żadne łachmany żebracze nie zrobią takiego wrażenia i nie wywołają takiego współczucia, jak kostyum z tego magazynu. Można tam oglądać całe zbiory wytartych marynarek z obdartą podszewką, kamizelek bez guzików, spodni połatanych itd.

— Pan nie wszystko jeszcze widział — objaśniał właściciel sklepu pewnego dziennikarza zwiedzającego ten magazyn. Istnieje przecież lewa strona, nie mniej ważna. Prawa strona dla publiczności, lewa dla tego, kto nosi ubranie. Każde ubranie w tym magazynie odznacza się jakąś osobliwością. W tym n. p. surducie znajduje się kieszeń, w której można dużo zmieścić, a tak ukryta pod łatami i podszewką, że zauważyć jej nie można. Niektóre kapoty mają kieszenie w rękawach i po kilka pod podszewką, a wszystkie są mocne, trwałe, z doskonałego materyału.

Są także płaszcze podwójne. Można je nosić na obie strony: z jednej strony jest to płaszcz granatowy, z drugiej szary deszczowy z kapiszonem. Takie płaszcze są bardzo poszukiwane przez mężczyzn, gdyż w chwilach krytycznych mogą łatwo omylić czujność ścigającego policyanta.

Głównych jednak odbiorców stanowią żebracy. Znajdują się bowiem w magazynie ubrania tak okropnie nędzne, że znakomicie ułatwiają budzenie litości. Podobno magazyn idzie doskonale.

Koza jako mamka.

Lekarz paryski Dr. Boudard wydał swojego czasu pod tytułem: »La chéxere noctrice«, na okładkowej kartce, na której figurowała koza, a pod nią leżące dziecko, ssące wymię kozy. Zdaniem Dra Boudard'a, koza jest najlepszą, najwygodniejszą, a zarazem najtańszą mamką. Odporność zupełna kozy na gruźlicę, mleko wolne od wszelkich zarazków, łatwo strawne, zdrowe i każdej chwili, w dzień czy w nocy, do otrzymania, czynić mają z kozy idealną mamkę. Przy karmieniu dzieci kozą, odpada potrzeba używania tak licznych, a najczęściej mało wartościowych sztucznych środków odżywiania.

Koza jest dobrem i mądrem zwierzęciem — a jest rasa bezrogich, białowłosistych, kaszmiąkich kóz, których mleko prawie, źe nie posiada koziego zapachu. Dr. Boudard kończy swoją książkę apelem, by zwrócono więcej uwagi na tę, stworzoną już z natury mamkę i ze względu na zdrowotność, by dano jej pierwszeństwo przed krową przy karmieniu niemowląt.

O wpływie alkoholu na pamięć

ogłosił niedawno ciekawą pracę, opartą na mozolnych siedmiotysięcznych własnych doświadczeniach, profesor norweski przy uniwersytecie w Chrystyanii, Dr. Ragnar Vogt. Stwierdził on z całą dokładnością, że nawet małe dawki alkoholu, n. p. 15 gramów to znaczy tyle mniej więcej, ile zawiera pół litra piwa, osłabiają stanowczo pamięć, utrudniając n. p. uczenie się wierszy na pamięć i t. p. Po użyciu 30 gramów alkoholu na czczo pamięć bywa nawet przeszło o połowę gorsza.

Oprócz tego zauważył także Dr. Vogt, że to czego nauczył się pod wpływem alkoholu mniej silnie tkwiło mu w pamięci, to znowu, że znacznie łatwiej to zapominał. Doświadczenie to, którego wyniki zgadzają się zresztą zupełnie z podobnemi doświadczeniami prof. Kräpelina, Smitha i innych, powinno skłonić wszystkich pracujących umysłowo, aby we własnym interesie porzucili napoje alkoholowe.

Zegar - olbrzym.

Ameryka, ten kraj cudów, ale i zarazem kłamstw, znowu zadziwia świat cały świeżem dziełem swojej nieporównanej techniki.

Jest niem olbrzymi, największy na świecie zegar, zbudowany niedawno w mieście Jersey, ned rzeką Hudson. Tarcza tego zegara - potwora ma w średnicy 12 metrów; a wskazówka, której przeznaczeniem jest wskazywać tak mizerne miary czasu, jak minty, jest ogromną, przeszło 5-metrową sztabą, o ostrzu na pół metra długim. Ostrze to odbywa w ciągu jednej minuty drogę około 60 centymetrów, a więc w godzinie przeszło trzydzieści kilka metrów. Ciężar całej wskazówki wynosi 370 funtów.

Zegar ten zbudowany jest z ogromnych belek sosnowych, na biało pomalowanych i przypomina z bliska wiatrak. Wznosi się on ponad dachem jednej z fabryk mydła, na 40 metrów ponad ziemię, wskutek czego ogromna jego tarcza jest widzialna w dzień z bardzo nawet wielkiej odległości. W nocy wskazówkę minutową oświetla 36 lampek elektrycznych, godzinową zaś 26.

Olbrzymi ten zegar, który stanowi wprawdzie amerykańską reklamę wspomnianej fabryki, a oddaje znakomite usługi nietylko miastu Jersey, ale i Nowemu Jorkowi, graniczącemu tuż bezpośrednio z Jersey, działa niesłychanie dokładnie. Jest to przedewszystkiem zasługą maszyn wprawiających w ruch zapomocą różnych dźwigni i kół, cały mechanizm zegarowy, a zajmujących wyłączne dla siebie osobną dużą halę przy wieży zegarowej.

Środek do poznania, czy śmierć tylko pozorna.

Bardzo wiele ludzi obawia się, aby ich nie pogrzebano żywcem, a tej obawie podlega nietylko lud, ale i sfery inteligentne. Otóż Francuz, dr. Icard, wynalazł sposób, dzięki któremu każdy może stwierdzić, czy zaszła śmierć istotna, czy tylko pozorna.

Wiadomo, że po śmierci następuje rozkład ciała, czyli, że istniejące w ludzkim organizmie, mniej lub więcej szkodliwe bakterye, zaczynają niszczyć tkanki. Skutkiem tego procesu chemicznego, krótko po śmierci w płucach powstają gazy siarczane.

Dr. Icard radzi tak postępować: na kawałku białego papieru nakreślić znaki roztworem ołowiu, które będą zgoła niewidoczne, gdyż i ów roztwór jest także biały; następnie za pomocą drutu wprowadzać ów kawałek papieru do górnych dróg oddechowych, n. p. do nosa; jeżeli w płucach wytworzyły się już gazy siarczane, to znaki na papierze poczernieją. Jest to jak widzimy, metoda prosta, a jak twierdzi jej wynalazca, zupełnie pewna.

Polowanie na szczury w Paryżu.

Pan Meinert słynny łowca szczurów zaprosił niedawno sprawozdawcę pewnego angielskiego dziennika na polowanie do podmiejskich tunelów Paryża.

Oto jak korespondent ów opisał potem swe wrażenie:

Przygnębiające uczucie ogarnia każdego, kto pierwszy raz wchodzi do tych wilgotnych, ciemnych ganków, których środkiem płynie rzeka nieczystości i odpadków Paryża. Łowiec w wysokich nieprzemakalnych butach stąpa bezpiecznie i śmiało po wązkich brzegach rzeki, niosąc na plecach klatki osobliwszej budowy, a w ręku małą latarnię. Ze wszystkich ulic prowadzą małe kanały do większych kanałów, a te do podmiejskiej rzeki. W gankach podziemnych żyją tysiące szczurów. Zwierzęta te bowiem lubią ciemność, wilgoć i nieczystość.

Łowcy szczurów przychodzą w nocy, gdy z kanałów nie przypływają nieczystości, a szczury które śpią przez dzień cały, wychodzą na zdobycz reszty potraw pływających w kanale i cenne owady, jak karaluchy, stonogi, żyjące także w brudzie i wilgoci. Szczury piszczą głośno i żałośnie i rozpaczliwie się bronią. Są to bowiem silne i chytre zwierzęta. Pan Meinert nie zabija szczurów. Jedyną jego bronią są nogi i ręce, pokryte niezliczonemi ranami, gdyż szczury gryzą z wielką zaciętością. W jednej godzinie zręczny łowca potrafi schwytać przeszło 100 szczurów, w roku więcej niż 20 tysięcy. Szczury bywają sprzedawane żywcem w Paryżu, lub innych miastach Francyi i Belgii, gdzie używają ich do walk z psami. Widowiska te wielce są ulubione. Skórki szczurów służą do rękawiczek i innych wyrobów. Przeciętna cena szczura wynosi 60 centymów, czyli około 60 halerzy.

Rozmaitości.

Niemczyzna w Galicyi wzrasta coraz bardziej, czego dowodzi rozwój różnych spółek, związków i towarzystw niemieckich,

Ze sprawozdania „Związku chrześcijańskich Niemców w Galicyi“ wynika, że związek ten liczył w roku 1907 6 grup miejscowych, a w nich 1.106 członków, obecnie zaś liczy już 94 grup miejscowych i przeszło 5 tysięcy członków.

Związek otrzymuje z Wiednia z niemieckiego „Związku szkolnego“ zapomogę roczną w kwocie 30 tysięcy koron, na popieranie 15 szkół niemieckich.

Osławiony agitator niemiecki pastor Zökler z Stanisławowa wzywa Niemców w Galicyi, by na każdym kroku zaznaczali swą odrębność narodową i z władzami korespondowali tylko po niemiecku.

Czas już najwyższy, aby naród nasz zwrócił uwagę na coraz większą zuchwałość Niemców w naszym kraju i położyć kres ich uroszczeniom.

Aresztowanie wróżbitów. W ostatnich czasach po ulicach Lwowa wsuwano przechodniom do ręki kartki, zawiadamiające, że „w powrocie z Egiptu zatrzymała się we Lwowie pewna pani, która przepowiada z ręki przyszłość, przyjmuje przy ulicy Iwalidów 1, od godziny 10 rano do 2 po południu i od 5 do 9 wieczorem z wyjątkiem dni piątkowych; opłata za wróżbę 1 koronę“.

Kartki te robiły swoje. Duże rzesze pielgrzymowały na ulicę Inwalidów, aby się dowiedzieć przyszłości od egipskiej wróżki. Aż zajęła się nią policya. Stwierdzono, że ta Egipcyanka jest rodem ze Lwowa, nazywa się Ludwika Hellsteinowa, liczy lat 42, wraz ze swoim mężem Karolem Hellsteinem grasowała po małych miasteczkach Galicyi, wyłudzając od naiwnych i zabobonnych ludzi pieniądze. Wróżbiarkę i jej męża zamknięto w areszcie i wdrożono przeciw nim śledzwo o oszustwo.

Dziwny traf. Przed dwoma tygodniami sąd okręgowy w Baku (w Rosyi) skazał na dwa i pół roku więzienia znanego w tem mieście milionera, Tagiewa, za znęcanie się, nad inżynierem Bebutowym. Skazany Tagiew tytuł rzeczywistego radcy stanu otrzymał za wybudowanie nowego więzienia. Obecnie z racyi skazania go na więzienie tytuł ten utracił i odsiadywać karę będzie we „własnem“ więzieniu, korzystając z udogodnień przez siebie obmyślanych.

Prezydent amerykański gościem u Polaków. W połowie marca bież. roku prezydent Stanów Zjednoczonych Taft, ktory odbywa teraz podróże agitacyjne, złożył wizytę Polakom w South Chicago. Ludność polska witała go owacyjnie; dzielnica przybrała wygląd świąteczny.

Taft rozmawiał dłuższy czas z Biskupem Rhodem, następnie zwiedził szkołę parafialną, utrzymywaną przez parafię polską i rozmawiał z dziećmi, witany przez nie przemową i śpiewami. Owacyjnie przyjęto ustęp mowy prezydenta do dzieci, w którym zaznaczył: „Bądźcie dobrymi Polakami, kochajcie ojczyznę waszych rodziców, bądźcie też dobrymi Amerykanami. Macie kochać waszą ojczyznę, czytać jej dzieje pełne bohaterstwa — ale to wam wcale nie przeszkadza być dobrymi obywatelami tego kraju, stojącymi na równi z tymi, których dziadowie i pradziadowie w Ameryce się urodzili Na równi z nimi macie prawo korzystać z dobrodziejstw tego kraju“.

Biskup Rhode w imieniu Polaków podziękował prezydentowi za to, że Polaków odwiedził. Zapewnił go o przywiązaniu Polaków do takiego prezydenta, który wszystkich na równi traktuje i żąda, aby się wszystkim sprawiedliwość działa. Prezydent Taft zamierza w najliższym czasie odwiedzić inne dzielnice polskie, aby zyskać dla siebie poparcie Polaków przy najbliższych wyborach na prezydenta.

Zniechęcenie żołnierzy włoskich. Z pola walki w Trypolisie otrzymało socyalistyczne włoskie pismo „Avanti" wiadomość o coraz większem rozdrażnieniu i wzburzeniu rezerwistów, którzy domagają się puszczenia ich do domów, jak to im przyrzekał dekret królewski przy powołaniu rezerw, zapowiadający zwolnienie ich 1-go kwietnia.

Komenda wojskowa nakłada na żołnierzy za wszelkie objawy niezadowolenia surowe kazy, to jednak sprawy wcale nie poprawia, lecz przeciwnie, jeszcze ją pogarsza. Stan żołnierzy, którzy od sześciu miesięcy pędzą życie w fosach, jest istotnie rozpaczliwy. Oficerowie nie są w stanie przeciwdziałać niezadowoleniu. Komenda odesłała do ojczyzny zaledwie 331 żołnierzy, podczas gdy 20 tysięcy rezerwistów czeka zwolnienia od służby.

Wybuch prochowni. Prochownia wielkich rozmiarów położona w New Jersey pod Nowym Jorkiem wybuchła nagle z niewiadomej przyczyny. Wstrząśnienie było bardzo silne. Z pod gruzów wydobyto dwa trupy, a siedmiu ciężko rannych. Prawdopodobnie jednak jest tam więcej osób zabitych.

Wybuch wulkanu. Na wyspie Oszima w Japonii wybuchł nagle wulkan Miharyama, nieczynny już przęszło 60 lat. Ludność ucieka z wyspy na łodziach.

Skutki wybuchu armaty. Podczas prób strzelniczych w Rio de Janeiro (w Brazylii) wybuchła wielka armata i 12 artylerzystów na miejscu zostało zabitych, a wielu innych ciężko zranionych?

Ile wart człowiek? Dokładnie 30 koron. Tyle warte są pierwiastki chemiczne, z których człowiek się składa, a więc wapno, żelazo, cukier, magnezyum, potas, siarka, fosfor i t. d.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Rocznik IV. Kraków 1-go czerwca 1912. (Półrocze I-sze) Nr. 6.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 4** korony — na **pół roku: 2** korony. — Do Niemiec na rok: **5** koron — półrocznie **2** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar

ADRES: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Zamiast „Światła“ — „Nowy Dzwonek“.

Tym szóstym numerem zamykamy wydawnictwo „Swiatła“ z tej przyczyny, że nie znaleźliśmy należytego poparcia, że liczba przenumeratorów jest stosunkowo zbyt mała i dochodami z prenumeraty nie można pokryć ani połowy kosztów wydawnictwa.

W miejsce „Światła“ wydawać będziemy od lipca bieżącego roku na powrót pismo ludowe: „**NOWY DZWONEK**“, który obecnie stanowi drugą część *Głosu ludu*, a od drugiego półrocza wychodzić będzie osobno, raz w miesiącu, dnia 1-go w tym samym formacie w jakim dotąd wychodziło „Światło“.

„**NOWY DZWONEK**“ kosztować będzie na pół roku (czyli od lipca do końca bieżącego roku)

tylko: **1 koronę 25 hal.**

Ustanawiamy umyślnie tak niską prenumeratę, aby i najubożsi Czytelnicy mogli prenumerować **„NOWY DZWONEK“.**

Wszelkie listy i prenumeratę prosimy odtąd adresować do:

Redakcyi „NOWEGO DZWONKA“ w **Krakowie**
ulica Powiśle, liczba **12.**

Żydowskie żądania.

Gdzie jesteśmy? Gdzie mieszkamy? Kto rządzi państwem austryackiem? Kto panem naszego kraju?

Takie pytania nasuwają się nam na usta wobec coraz zaczepniejszego postępowania żydów względem nas, panów i obywateli tej ziemi, którą zamieszkujemy.

Dziwną, a raczej bardzo dużo powinna nam dać do myślenia praca żydów w naszym kraju.

Wszakże ci pejsaci przybysze coraz szybciej zdobywają miasta i miasteczka nasze, wykupując w nich domy, a równocześnie wywłaszczają małych i wielkich rolników wykupując od nich ziemię, lub wyrzucając włościan przez licytacyę z ich ojcowizny. Przytem wszystkiem żydzi rozpijają chłopa i robotnika i szerzą demoralizacyę, gdzie tylko i jak tylko mogą.

Nie na tem jednak koniec ich zgubnej roboty. Ostatnimi czasy zaczęli żydzi występować przeciw znakom naszej Wiary świętej, i zażądali w Bohorodczanach usunięcia krzyżów ze sal szkolnych, w przeciwnym razie zagrozili strejkiem dzieci żydowskich.

Żydzi więc, poczynają sobie z nami chrześcijanami tak, jak gdybyśmy już byli narodem przez nich podbitym, a więc mamy się stosować do ich życzeń i żądań.

I do czego to wszystko zmierza? Dlaczego żydzi stawiają takie wprost bezczelne żądania? Widocznie mają za sobą kogoś, kto ich do tego zachęca, komu zależy na tem, aby społeczeństwo polskie wywłaszczyć z ziemi i z wszelkich zasad uczciwych, i w ten sposób przyprowadzić go prędzej do zagłady.

Jest w tem albo pruska albo moskiewska ręka. Jest ktoś, kto im przyrzeka pomoc w przyszłości. Żydzi mają tę naturę, że siedzą cicho, gdy nie mają za sobą opiekuna silnego, a skoro tak zuchwale występują — to znak, że znaleźli kogoś, który im dodaje zachęty do pracy nad naszą zgubą.

Cóż tedy mamy robić wobec takiej działalności żydów i ich żądań? Nie czekając na to, co władze zrobią, musimy sami zająć się swą obroną. Musimy siebie i lud nasz bronić przed wywłaszczeniem przez żydów, przed wyzyskiem i straszną lichwą, która mieszczan i wieśniaków rzuca w niewolę żydowską.

Co roku wywłaszczają żydzi około 2 800 rodzin włościjańskich przez licytacyę. Wartość ziemi kupionej przez żydów na licytacyach za długi wynoszące nieraz 200, 100, a nawet zaledwie 50 lub 2 korony, wynosiła w trzech tylko latach (od roku 1894 do 1897) przeszło 9 milionów koron. Tyle majątku ludu naszego, tyle jego krwawicy przeszło w szpony żydowskie.

Koniecznie więc trzeba się nam zabrać do pracy zwartej i rychłej, bo w przeciwnym razie żydzi z całego mienia nas wywłaszczą i rządy kraju obejmą.

Oni o tem już nawet marzą, już nawet coraz bliżsi są swych upragnionych życzeń, bo żądają także, aby rabini krakowski i lwowski zasiadali w Sejmie na równi z Biskupa i katolickimi.

A przecież rabin żydowski nie jest w bóżnicy tem, czem jest Biskup w Kościele katolickim.

Rabin jest tylko duchownym jednej gminy, a nie rządcą setek gmin. Biskupi zaś rządzą setkami i tysiącami gmin — więc niedorzecznością jest i ubliżeniem naszej religii stawiać na równi rabinów z Biskupami.

Gdyby Sejm spełnił to żądanie żydów, to jest gdyby wpuścił do Sejmu rabina lwowskiego i krakowskiego, to wnet takie samo prawo rościliby sobie wszyscy inni rabini, bo dlaczegóż rabin lwowski lub krakowski ma być lepszy od rabina rymanowskiego, sieniawskiego, skałackiego lub łańcuckiego? Wtedy i tym rabinom należałoby się krzesło w Sejmie i wówczas mielibyśmy co najmniej 86 rabinów w Sejmie. Ładnieby wtedy taki Sejm wyglądał!

A jednak taki żydowski Sejm może istotnie kiedyś kuć dla chrześcijan ustawy, jeżeli się nie obudzimy i dalej gnuśnieć będziemy.

Nie trzeba zaś chyba wcale wyjaśniać, że żydzi stawszy się panami Sejmu, nietylko krzyże wyrzucą ze szkół, ale i religię naszą, za to zaś wszystko spadnie odpowiedzialność wobec narodu i Kościoła na tych, co teraz żyją i nic nie robią, aby położyć tamę bezczelnym żądaniom żydowskim i ich pracy rozkładowej. Naszą obojętnością względem żydów prowadzimy Kościół i kraj do sromotnej zguby.

Rozbity krucyfiks.

Przed jednym ze wspaniałych domów w Paryżu stanął z hukiem i stukiem okazały samojazd. Sługa otworzył drzwiczki, wysoki mąż stanu wysiadł z powozu, i świadom swej wartości, stąpał schodami do swego mieszkania.

Wszedł do gabinetu, wytwornie urządzonego, położył portfel z żółtej skóry na stół, rzucił się na sofę i lżej odetchnął. Uczucie tryumfu i zadowolenia przemknęło po jego twarzy.

— Wspaniały dzień! — mówił do siebie. — Nigdy mi się tak nie udało. Mówiłem bez przerwy trzy godziny, a słowa moje odpowiadały zupełnie mym myślom i zamiarom. Smagałem prawicę, lewicę głaskałem, z socyałów drwiłem jak z błaznów, a ministrom napędzałem strachu. Robiłem tak, jak poskramiacz lwów w menażeryi, a jak zręcznie umiałem ciągnąć do siebie słuchaczów, przykuwać, to znowu odpychać, i znów za sobą porywać, czarować! A gdym skończył, gdy widzieli, żem właściwie nikogo nie obraził, i nikomu szkody nie wyrządził, wtedy rozpętało się zadowolenie z mej mowy, wybuchła burza oklasków.

Lubię taką walkę; doprawdy wolę być głowaczem wielkiego stronnictwa, niż prezydentem ministrów; ja więcej znaczę niż on. Jakeśmy mówili o odchrześcijanieniu

Francyi, zdawało się, że kamienie same na nas spadną; tak mocno wkorzenionym zdawał się być w umysły francuskie XX. wiekowy gmach Kościoła katolickiego. Ale sprawa poszła znacznie gładziej. Nie było ani zaburzeń ani rozruchów.

— Przez ostatnich 25 lat wytrwale dążyliśmy do naszego celu, mianowicie, zesekularyzować (ześwietczyć) szkoły i szpitale, ununąć wszelkie religijne godła z publicznych gmachów. Seminarzystów wpakowaliśmy do koszar i w ten sposób wielu odbili od stanu kapłańskiego, przez wygnanie zakonów ostudziliśmy religijną propagandę.

Przeprowadziliśmy wreszcie rozdział Kościoła od państwa. To byłaby korona naszego dzieła. A czy na tem mamy poprzestać? Przedewszystkiem i dalej zamykać będziemy jeden kościół po drugim, pozornych powodów ku temu nie braknie, a robić to będziemy spokojnie, bez wielkiego hałasu. Tak zmieciemy nieznacznie jedną parafię po drugiej. W ten sposób ani się nikt nie spodzieje, jak Francya spoganieje. By tego łatwiej dopiąć, trzeba się starać spoganić rodzinę.

Doskonałą wodą na nasz młyn są rozwody małżeństw. To tylko nieszczęście, że kobiety tak się jeszcze trzymają wiary. Gdyby tak była żyła jeszcze moja żona, byłbym niejedną musiał z nią toczyć walkę.

Córka moja Germana miała 5 lat, jak jej matka umarła. Po śmierci żony kazałem z domu powyrzucać wszystkie książki religijne, obrazy święte i t. p. rupiecie. Zakazałem w domu wszelkiej wzmianki o religii, przyjąłem wolnomyślną ochmistrzynię, która bardzo zręcznie stłumiła w zarodzie wszelkie ślady religijnych uczuć, kiełkujących w dziecięcym umyśle mej córki. Dziś ma lat 20. Nie wiem, czy który z katolików mógłby się pochlubić tak świetnymi wynikami w wychowaniu dzieci, jakie ja uzyskałem we wychowaniu córki. Tak, to wychowanie to — owoc wolności, wolnomyślnego postępu.

W tem daje się słyszeć lekkie stukanie.

— Proszę wejść!

Uchyliła się kotara, wchodzi urodziwa, młodziuchna panienka. Była to Germana. Wzięła taborecik i usiadła u stóp ojca.

— Jesteś ojcze zmęczony, tak długie posiedzienia! — rzekła pierwsza. — Dobrze, że się skończyło, radabym, żebyś wieczór poświęcił córce, żebyśmy pozostali sami.

— Skądże ci ta skłonność do samotności? Wiesz, że muszę przyciągać młodych panów, żebyś sobie według upodobania mogła wybrać dozgonnego towarzysza życia na złą i dobrą dolę.

— Według mego upodobania — powtórzyła z uśmiechem. — Widzę, że nie należysz do tych nieludzkich ojców, którzy narzucają swej córce narzeczonego i wprost tłumią tę lubioną skłonność w jej sercu.

Nieustraszony mąż stanu, który przez dwie godziny grzmiał i straszył parlament i zrobił sobie igraszkę, że raz rozpętywał gniew innych, by go kiełzać i głaskać, ten mąż zaczyna się mięszać i płoszyć; coś go nagle ubodło, czuł, że zanosi się na jakieś bliskie niebezpieczeństwo.

— Nawet gdybym chciał być nieludzkim ojcem, nie potrafiłbym tego; jesteś bowiem już dorosła i możesz czynić, co ci się podoba. Czy wybór twój jest już może określony, ustalony?

— Tak — odpowiedziała śmiało.

— Natenczas radbym wiedzieć, kto jest tym wybrańcem.

— Ach, ojcze, on tak przewyższa wszystkich!

Jakieś mrowie przebiegło jego członki.

Po chwili dławiącej ciszy, rzekła córka jasno i wyraźnie:

— Chcę Bogu służyć, wstąpię do klasztoru!

Rzekłszy to, podniosła głowę i spojrzała na ojca. Zbladł tak, że lękała się, by nie omdlał, powstała więc, aby zawołać pomocy. Ale mąż publiczny, nawykły do szybkiego opamiętywania się po niespodzianem przerażeniu, powstrzymał córkę.

— Od kiedyż to nosisz się z tym zami rem?

— Od trzech lat.

— Któż ci to ten plan podał?

— Nikt.

— Czyś już mówiła o tem z twoją ochmistrzynią?

— Ani słowa. Tobie pierwszemu o tem mówię.

— Wszelako musiała być jakaś nić przewodnia, która cię doprowadziła aż przed samą przepaść.

Nie odpowiedziała na to, tylko pogrążyła się w zadumę. Po chwili rzekła:

Wyjaśnię ci przyczynę. Przed czterema może laty przechadzałam się z moją nauczycielką. Szłyśmy samotną drogą i zobaczyliśmy połamany krzyż Chrystusa. Krzyż był pusty, a Chrystus leżał poprzetrącany na kraju drogi. Pozbierałam kawałki figury Chrystusa, tak, jak dziecko składa klocki. Poszukaliśmy wszystkich szczątek i niebawem cała figura była złożona u stóp krzyża. Gdym podziwiała moje dzieło, ochmistrzyni, która pomagała mi składać, kopnęła Chrystusa tak, że wszystkie kawałki rozleciały się na cztery strony świata..

Nie śmiałam tego zgromić, ale od owego dnia obudził się w mej duszy zaczątek popędu, któregoś ani ty w nią nie wszczepił, ani nauczycielka. Dziś ów zaród dobywa się z mej duszy, jako dojrzały owoc. Gdy mi nauczycielka opowiadała, że świat i jego wspaniałość jest wynikiem nieświadomych sił, wystarczyło mi wchłonąć woni kwiatu, ścigać wzrokiem lot ptaka, przyjrzeć się owadowi, podnieść wzrok ku gwiazdom, by dojść do przekonania, że musi być coś nadprzyrodzonego, co wszystką tę wspaniałość powołało do bytu.

Na moje skromne pytanie, kto jest tą nadprzyrodzoną istotą, odpowiedziała mi nauczycielka stylem nauki, ale nauka ta wydała mi się zupełnie podobną do ucznia, który tłómaczy dzieła wielkich mistrzów, a mnóstwo popełnia błędów, które z biegiem czasu trzeba usuwać i poprawiać. A gdyś mi mówił, że śmierć jest wiecznym snem, tom czuła, że w mem wnętrzu tli płomień, który nigdy nie gaśnie. Ojcze, w owych chwilach ze smutkiem myślałam o tobie; ale potrzaskany obraz Chrystusa pocieszał mnie i dawał otuchę.

W boleściach znajdowałam niezwykłą siłę, błagałam Go, żebyś i ty Go miłował, tak, jak ja nauczyłam się Go miłować, do Niego bowiem chcę należeć teraz i na wieki.

Zamilkła, ujęła ręce ojca i serdecznie ucałowała. Ta czułość dziecięcia obudziła go z oburzenia, i spokojnie rzekł:

— Zwyciężyłeś Galilejczyku!

Rozrzewniająca mowa dziecka zmiękczyła jego serce. Już nie chciał dalej się opierać, nie mógł. Skinął, żeby się oddaliła, chciał sam pozostać.

A kiedy był sam, widział że cała jego ludzka ambicya i duma w niwecz idą. Rozbity obraz Chrystusa! Świętokradztwo, do którego on swemi bezbożnemi mowami sprawę popchnął! On polityk, parlamentarzysta, zawiódł się. Chciał spoganić Francyę, a oto nawet własnego dziecka nie potrafił zniechrześcijanić. Jak zagasi światło na niebie skoro tak silnie odbijają się w duszy jego własnego dziecka?

I przed jego zamroczonym, po manowcach błądzącym umysłem rozdarła się zasłona ciemności. Widział rozwiązaną zagadkę, którą tak zawzięcie zwalczał. Na rozkaz jego musiały znikać wszystkie religijne godła, by nic nie cuciło, nie odświeżało myśli, które ze serca córki chciał wykląć i wygnać; a tymczasem na dnie serca dziewczyny na nowo dźwignął się obraz Ukrzyżowanego i wyparł wszystkie inne. Tak tedy ów wszechpotężny Mistrz ma niedościgłe, niedosięgalne zakątki i kryjówki, w których rządzi, rozkazuje, i w których z politowaniem natrząsa się z walki swych wrogów.

Mąż stanu duma całą noc. Kiedy pierwsze promienie słońca wybłysły z poza gór, on — znów, jak niegdyś w lepszych czasach, klęczał i płakał...

O ważności dobrego wychowania dzieci.

Dobre wychowanie dzieci należy do najważniejszych spraw ludzkich, ponieważ od niego właśnie zależy szczęście dzieci. To też wszyscy są głęboko przeświadczeni o potrzebie dobrego wychowania — i to tak zwolennicy religii, jak niemniej jej wrogowie. Widzimy przecież, co się to dzieje dzisiaj we wszystkich krajach świata.

Widzimy jakiej to podstępnej gorliwości używają wrogowie Kościoła, ażeby oderwać dzieci z pod macierzyńskiej opieki Kościoła i wychować je według swoich zasad. Wiedzą oni bowiem dobrze o tem, że takim będzie człowiek, jakim było jego zachowanie.

„Co będzie z tego dziecka? — oto pytanie, które każdemu ojcu i każdej matce codziennie przychodzi na myśl. Czy będzie ono pożytecznym czy też szkodliwym członkiem ludzkiego społeczeństwa? Czy przyniesie ono pociechę i podporę swoim rodzicom — czy też może srom i wstyd? Czy będzie z niego wierzące i wierne dziecię Kościoła — czy też może żyć będzie bez wiary i bez Boga?

Pytanie to rzeczywiście poważne i wielkie! A odpowiedź na nie brzmi: Dziecię będzie takiem, jakiem go zrobi wychowanie. Wychowanie zaś dzieci zależy po większej części od matki.

Ażeby zaś dzieci były dobremi — musi je oczywiście matka dobrze wychować. Jeżeli jednak rodzice wychowują źle swoje dzieci, to nie powinni się nawet łudzić, że dzieci ich będą dobremi. Wszelkie zaniedbanie mści się później okrutnie na dzieciach. Prawdę bowiem mówi stare przysłowi: „Czem skorupa za młodu nawrze, tem na starość trąci!“

Od dobrego wychowania zależy dalej szczęście rodziny. Dobre wychowanie jest źródłem wszystkich cnót rodzinnych. Biada tej rodzinie, w której zaniedbuje się tej ważnej wychowawczej sprawy! Stanie się ona niezawodnie widown ą bardzo ciężkich przejść. Co więcej — rodzina taka będzie dla wielu zepsuciem. Źle wychowani synowie i córki takiej rodziny pociągną za sobą wielu innych, którzy odebrali lepsze wychowanie, na bezdroża występku. W ten sposób grzech, który wyszedł z jednej złej rodziny, rozrastać się będzie coraz to więcej, jak korzenie trującej rośliny, niosąc wszędzie zarazę zepsucia i nędzę.

Od dobrego wychowania dzieci zależy nawet dobro Kościoła i państwa.

Jeżeli z jednej strony spostrzegamy, jak ogólnem jest dziś złe i niechrześcijańskie wychowanie — a z drugiej strony spostrzegamy, jak zbrodnie i występki pomnożyły się i z dnia na dzień się zwiększają, to czy nie musimy przyznać, że złe wychowanie i złe zwyczaje są ściśle ze sobą związane tak, jak czyn i jego przyczyna? Kto wiatr sieje — zbiera burzę.

Więcej jak pół wieku pracowano z wielkiem natężeniem nad tem, ażeby usunąć z wychowania błogi wpływ religii — i cóż przez to zdziałano? Oto skutki tej roboty: ogólny brak poczucia prawdy i dobra, pogarda dla religii i Kościoła, rewolucya po rewolucyi, a z nią straszna nędza! I pomimo tego smutnego stanu ciągle toczy się walka przeciw dobremu wychowaniu i nowe zapewne przewroty wstrząsną posadami społeczeństw, a ludy przejmą jękiem. Gdyby jednak wszyscy rodzice byli dobrze wychowali swe dzieci — to byliby z nich teraz dobrzy chrześcijanie i dzielni obywatele, Kościół i państwo cieszyłoby się dalej starem, dobrem uznaniem, a wszystkie ludy ziemi byłyby szczęśliwsze i więcej zadowolone.

A więc niechaj rodzice pamiętają o tem, że od dobrego wychowania dużo a dużo zależy, a mianowicie: własne szczęście i szczęście dzieci, dalej szczęście rodzin, a w końcu dobro Kościoła i państwa. Im lepiej zrozumią rodzice tę prawdę — tem więcej łożyć będą starań, gorliwości i pracy na to, ażeby dobrze wychować swe dziatki.

Niebezpieczeństwa na morzu.

Straszna katastrofa okrętowa, jaka wydarzyła się przed kilku tygodniami, spowodowana została zderzeniem się okrętu „Titanic“ z górą lodową. Fakt ten, że taki olbrzym morski, jak „Titanic“ mógł rozbić się, jak gdyby łupina, zwrócił znowu uwagę świata i uczonych na niebezpieczeństwo wynikające z gór lodowych, pływających po oceanie.

Nauka wyjaśnia nam pochodzenie gór lodowych dosyć obszernie. Powstają one w okolicach podbiegunowych, które pokryte są wiecznym lodem i śniegiem. Podczas, gdy oceany leżące w strefach cieplejszych, choćby nawet na północ dosyć wysuniętych, nigdy prawie nie zamarzają, gdyż znaczna zawartość soli w wodzie morskiej na to nie pozwala, morza okolic podbiegunowych marzną na ogromnie gruby lód, gdyż zawartość soli w wodzie jest znacznie mniejsza, a i zimno w tych okolicach jest bardzo

wielkie. Tworzą się więc ogromne kry na morzach podbiegunowych. Powoli z biegiem lat kry zamieniają się w góry lodowe, które ciężarem swym pod parciem wody odrywają się i płyną z prądem, jaki w morzu panuje. Nie trzeba sobie bowiem wyobrażać, że morze jest wodą stojącą zupełnie spokojnie. Przeciwnie, pewne okolice mórz mają w głębi wód bardzo silne prądy. Jedne są ciepłe, ine zimne, zależnie od tego, czy pędzą wodę z okolic cieplejszych, czy też z północy.

Na Oceanie atlantyckim zarówno z północy, jak i z południa pędzi prąd góry lodowe aż do 40° szerokości geograficznej. Zwłaszcza zaś na północy Oceanu atlantyckiego góry lodowe płyną bardzo szeroko i dochodzą do olbrzymich rozmiarów. W miarę, jak lód dostaje się w okolice cieplejsze, topnieje i góry lodowe giną. Tam jednak, gdzie płyną w całym swym majestacie i ogromie, tam stanowią poważne niebezpieczeństwo dla okrętów.

Góry lodowe, te które są najbardziej niebezpieczne, bo największe i najgrubsze, nie pochodzą z lodu morskiego utworzonego na powierzchni morza. Są one najczęściej odłamkami gór na lądzie, które w okolicach podbiegunowych pokryte są lodowcami. Otóż lodowce te powoli staczają się do morza i wreszcie podmyte wodą, łamią się i spadają.

Te góry lodowe sterczą nieraz na 100 metrów nad powierzchnię morza. Pokrywają zaś olbrzymie przestrzenie. gdyż dosyć często spotyka się górę lodową mającą 5 do 6 kilometrów kwadratowych powierzchni. Są to więc formalne wyspy. Co do grubości gór lodowych to obliczenia wykazały, że zwykle jedna dziewiąta część góry widać na powierzchni morza, reszta zaś skryta jest w głębinie. Znaczy to, że grubość gór lodowych dochodzi do tysiąc i więcej metrów.

Woda oblewając góry lodowe topi je na powierzchni. Przez to powstają rafy i progi lodowe, które ukryte są pod wodą, a które stanowią właśnie największe niebezpieczeństwo dla okrętów. Na taką rafę wpadł właśnie „Titanic“ i odcięła mu ona cały spód okrętu.

Najsilniej pojawiają się góry lodowe w kwietniu i marcu i wtedy okręty muszą jechać bardzo ostrożnie po morzach północnych, inaczej narażają się na pewną zgubę.

Święto pszczół w Marokko!

W afrykańskim kraju Marokko, którym od pewnego czasu zajmuje się cała Europa ze względu, że tym krajem chcą zawładnąć niektóre państwa europejskie, w górskich wioskach Atlasu obchodzą corocznie w lecie szczególną uroczystość to jest: „święto pszczół“.

Znajdujący się w mieście Fezie mahometański klasztor zakonu Medhidjié, którego członkowie żyją li tylko z jałmużn, wysyła licznych mnichów do większych miejscowości na południu kraju, w których zbiera się ludność.

Na obszernym placu odbywa się najpierw turniej żółtych i czarnych pszczół. Dwaj Berberowie zakrywają się jeden w żółtą, drugi w czarną chustę aż do kolan, pozostawiając jedynie wąski otwór dla oczu. Na dany znak nieforemne te bryły rzucają się na siebie i starają się nawzajem wywrócić w piasek za pomocą uderzań głową. Trzeba nadzwyczajnej zręczności, by się oprzeć takiemu silnemu zdarzeniu, pomimo tego walka bywa zwykle dość długo nierozstrzygniętą. Z powodu chust, jakiemi głowy są poowijane, jest ta rzecz bardziej zabawną, niż niebezpieczną.

Następnie zaczyna się wielki pochód. Gerar Rohlfs, który przepędził wiele lat w krajach Atlasu, opisuje go w następujący sposób: Na plac wyszło teraz obdarte zagadkowe indywiduum, które, jak się okazało po czerwonym kutasie na fezie, było członkiem zakonu Medhidjié. Człowiek ów grał hałaśliwą melodyę na długim flecie, mającym podobnie jak dudy mieszki ze skóry, które się rozdymały, to znów kurczyły i zaczął wykonywać dziwne skoki.

Cała jego postać była tak pokrytą pszczołami, iż z jego ciała nic prawie nie było widocznem, a oprócz

tego tysiące tych owadów unosiły się koło niego. Chwytał całe garście pszczół i rzucał je niby groch na ziemię, gdzie pełzały nie wzlatując, aż dopóki mnich nie zaczął dziko tańczyć. Naraz cały rój uniósł się w powietrze, zawisł na chwilę na kształt chmury i z szybkością wichru rozprószył się na wszystkie strony świata.

Dzień zakończają igrzyska i uczty, wśród których za napoje służą wino palmowe i herbata z domieszką znacznej ilości miodu.

Panna Eliza Bouness-Mosse, znana nauczycielka podróżniczka po krajach wschodnich, utrzymuje w książce swej „sto dziesięć dni w puszczach Afryki“, iż cała tajemnica zwabienia pszczół przez derwiszów polega na tem, iż mają oni przy sobie królowę, ukrytą w małem pudełeczku, które nagle otwierają, a wtedy koniec czarów. Nie udało się odtąd odkryć tajemnicy.

Podobne zwyczaje znajdujemy zresztą i u innych narodów. Podług Humboldta znachorzy u Indyan środkowej Ameryki umieją również przyciągać pszczoły, bez narażenia się na ich żądła.

Uroczystość pszczół ma zapewne następujące znaczenie symboliczne: pszczoła na całym Wschodzie aż do wnętrza Afryki jest obrazem nie pracy, jak u nas — tam mniejsze pracy przypisują znaczenie — lecz płodności. Młode narzeczone noszą broszki albo łańcuchy z pszczół szklanych i bursztynowych, a niektóre szczepy Beduinów przybijają do palm sztuczne pszczoły. W cząsie gdy się odbywa święto pszczół, palmy są w pełnym rozkwicie; ponieważ zaś od urodzajności palm daktylowych zależy dobrobyt lub nędza całych wiosek, uroczystość owa ma prawdopodobnie przedstawiać dopomaganie urodzajności.

Utrzymują ponadto, może to wyobrażenie pochodzi tylko ze wschodniego zabobonu—iż daktyle nakłóte przez pszczoły większe są i smaczniejsze od innych, podobnie, jak figi, które stają się większemi skutkiem ukłucia osy. Ta okoliczność dawałaby również wyjaśnienie osobliwej uroczystości.

Robotnik w czasach przedchrześcijańskich.

W świecie starożytnym, przed przyjściem na świat Chrystusa Pana, była praca u wszystkich narodów pogańskich piętnowana hańbą i poniżeniem. U żydów tylko, którzy posiadali religię objawioną, miała praca ludzka poszanowanie, przynajmniej w pierwszych czasach, kiedy to zakon Boży w ich życiu żywem bił tętnem. Pierwotnie trudnili się żydzi rolnictwem. Później atoli otworzyła sztuka i przemysł żydowskiemu narodowi nowe źródła zarobkowania i dobrobytu. Powoli poczęli żydzi zbaczać z drogi oświeconej religią, oddawać się z zamiłowaniem handlowi, w którym widzieli środek zbogacenia się i łatwy i pewny. Praca przestaje teraz być celem życia i staje się środkiem do zaspokojenia chciwości. W wiekach średnich trudnią się żydzi wymianą i pożyczaniem pieniędzy i wytwarzają nowy sposób zarobkowania, to jest lichwę.

Odbiegłszy od pierwotnej religii, albo raczej jej ducha, spaczyli wprawdzie żydzi cel pracy i jej prawdziwe pojęcie; w każdym jednak razie ogół miał pracę w poszanowaniu, a człowiekiem pracy nie gardził. Znak to widoczny, że zostawali pod wpływem religii objawionej, nie zaś w zależności od mądrości wytworzonej przez filozofię pogańską.

Poganie bowiem mieli do pracy, mianowicie zaś ręcznej, jawną pogardę i uważali ją za rzecz niegodną człowieka wolnego. Świadczą o tem starożytni historycy, filozofowie i poeci.

Herodot powiada, że zapatrywanie takie nu pracę można znaleść u Greków, Egipcyan, Traków, Scytów i Persów. U wszystkich tych plemion uważano robotnika za obywatela ostatniej klasy, a dzieci jego miano w pogardzie.

Historyk rzymski Tacyt, mąż skądinąd bardzo szlachetny i bardzo rozumny, uważa pracę ręczną za rzecz poniżającą człowieka. Wedle mego, powinien mężczyzna zdobywać sobie mieczem środki do życia, uprawę zaś roli powierzać należy starcom, kobietom, niedołęgom, niewolnikom.

Cezar wspomina często w swych pismach o wzgardzie, jako Gallowie otaczali pracę, nawet rolnictwo. »Dlaczego też, powiada, w całej Gallii znaczenie ma tylko kapłan i rycerz. Reszta narodu w sprawach publicznych nie ma żadnego udziału«.

Cycero stanowczo potępia pracę i tych, którzy z niej żyją. »Nigdy, oto jego słowa, nic szlachetnego nie zdoła wyjść z pod strzechy robotnika lub z warsztatu«.

»Podłem jest zajęcie rzemieślnika, powiada Seneka; daje ono wprawdzie to, co do życia jest potrzebne, ale zabiera człowiekowi honor, ba nawet cień uczciwości«. Na innem miejscu tenże filozof oburza się na pewnego myśliciela za to, że wynalazek rzemiosła ośmielił się przypisać filozofom. »Rzemiosło najniższym przystoi niewolnikom; mądrość bowiem mieszka na wyżynach, ona rąk do pracy nie tworzy«.

Była więc praca wśród pogan zajęciem tylko niewolników, a poniżeniem człowieka wolnego, od którego współcześni stronili, jakoby od tego, co cześć swoją i honor oddał w poniewierkę.

Jeżeli taki obywatel jął się do pracy ręcznej, musiał dzielić los niewolnika. Tem się tylko różnił od niego, że otrzymywał zasługi, które atoli, jak pisze Cicero, nie wynosiły nigdy więcej nad 12 asów, to jest około 75 halerzy.

Z reguły rekrutował się stan robotniczy z niewolników. Głowa robotnika praw żadnych nie miała. Dla odróżnienia nazywano ich »słońce«, »febus», »niedźwiedź«, »wilk« i t. d., czyli tak, jak dzisiaj — psy nazywamy. Innego nazwiska niewolnik nie miał. Znaczył tyle tylko, co zwierzę, mebel, narzędzie. Pozwalał wprawdzie właściciel niewolnikowi na pewien rodzaj małżeństwa. Dzieci, z takiego małżeństwa zrodzone, zatrzymywał u siebie, skoro podrosły, rodziców rozdzielał — posyłając ojca do dóbr swoich w Gallii, matkę zaś do Małej Azyi.

Takie oto pojęcie mieli poganie o pracy, tak obchodził się rzymski obywatel z robotnikiem — i to w czasach najwyższej kultury.

Bolesnym jękiem, często strasznym zgrzytem, odzywało się w duszach milionów niewolników i dzieci, którym pory-

wano rodziców, westchnienie i tęsknota za wybawieniem z pod tego jarzma strasznego i poniżenia, a Boże Anioły na skrzydłach swoich zaniosły te głosy przed tron Najwyższego.

A kiedy Zbawiciel po raz pierwszy otworzył usta publicznie, wtedy wdzięcznym potokiem, wypłynęły z nich słowa: »Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie« i poczęły uderzać falę nieskończonej radości na skołatane serca ludzi biednych i pracujących, wracając im cześć i szacunek, którego im nikt dotąd nie okazywał.

ISLAM.

Islam, jest to nazwa, którą Mahomet nadał założonej przez siebie religii. Słowo to znaczy tyle, co oddanie się« (Bogu), a przez pokrewieństwo z »salam« (pokój, zbawienie) przypomina szczęście, wynikające z tego oddania się Bogu.

Wyznawca Islamu nazywa się Moslem albo Muslim, w liczbie mnogiej zas Modemin.

Z tego ostatniego stworzyli Persowie, a za nimi Turcy wyraz »Musulman».

Księgą świętą Islamu, zawierającą naukę Mahometa, jest Koran (czytanie, oznajmienie). Składa się on z 114 Sur (szeregi, linie) czyli rozdziałów, a ułożony został już po śmierci proroka. Istota tej księgi jest zawsze jedna i ta sama, bo niewolna, i głucha, chociaż ustrojona w przybory obce, bo w ułamki poetów arabskich i upoetyzowane powieści biblijne.

Dezemburg, znawca Koranu, powiada, że przynajmniej trzecia jego część zapełnioną jest banalnemi apostrofami, napaściami na inne religie, wybuchami gniewu przeciwko przekraczaniu i wezwaniami wojennemi.

Nauki religijne i przykazania Islamu są następujące:

Jeden jest Bóg — Allah. Podnoszenie jedności Boga, zwraca się nietylko przeciwko wielobóstwu, ale także przeciwko nauce chrześcijańskiej o Trójcy świętej. Prorokiem Boga jest Mahomet. Byli wprawdzie już przed nim prorocy

żydowscy, wśród nich Jezus, ale Mahomet jest największym, zamykając ich poczet.

Po śmierci czeka każdego sąd Boży i zapłata. Kara atoli wieczna dla wiernych nie istnieje, spotyka ona tylko niewiernych.

Los wyznawcy Islamu z góry przez Boga jest postanowiony. Cokolwiekby robił, ten los go nie minie. Zresztą nie człowiek pełni dobro lub zło, ale Allah sam przez niego.

Trzeba przyznać, że Koran, o ile się trzyma Starego Testamentu, zawiera niejedną dobrą zasadę. Z ust Mahometa usłyszeli dzicy Arabowie po raz pierwszy wzniosłe myśli, zalecające przebaczenie jako cnotę, a piętnujące gniew i zemstę jako występek. Jako dobre uczynki zaleca Mahomet wspieranie wdów i sierót i wogóle jałmużnę. Dalej nakazuje on pięciokrotne modliwy w ciągu dnia i odbycie pielgrzymki do Mekki.

Post przepisany jest na jeden miesiąc (ramadam), ale tylko w ciągu dnia; podczas nocy dozwolona jest wszelka niewstrzemięźliwość. Spożywanie wieprzowiny i picie wina jest muzułmanom wzbronione.

Rzeczywistość atoli życiowa mahometanizmu w jaskrawem pozostaje przeciwieństwie z temi skądinąd pięknemi zasadami.

Wyuzdana jego zmysłowość i wynikające stąd samolubstwo podkopują wszelkie zasady życia moralnego. Odwaga i tężyzna na wojnie ma swoje źródło w fanatyźmie, ale nie w pierwiastkach moralnych, które wyznawcom Islamu wybija bezwstydna zmysłowość i rozzwierzęcona rozpusta.

Stronę najciemniejszą Islamu stanowi pojmowanie stanowisk i zadania kobiet; nawet pod względem religijnym uważa ją Koran za istotę niższego rzędu. Zadanie jej jedyne, to zaspokojenie chęci mężczyzny i rozmnażanie rodzaju. Dlatego przeznacza jej Koran stan wiecznego więzienia (harem). Mężowi wolno żonę obić, a niewierną zabić. Według prawa wolno mu mieć cztery żony, ale to samo prawo dopuszcza zarazem nieograniczoną ilość niewolnic. Rozwód pozostawiony jest mężowi do woli. Stąd też takowy wśród Mahomentan jest na porządku dziennym.

Przepisy te, dotyczące małżeństwa, pociągają za sobą upadek życia rodzinnego i nizki poziom kultury.

Niesłusznem jest mniemanie, jakoby Islam mógł być stopniem przygotowawczym do chrystyanizmu.

Rzecz się ma wprost przeciwnie. Pierwiastkiem bowiem życiodajnym Islamu i kardynalną jego zasadą, to nienawiść przeciwko wierze chrześcijańskiej.

Jeszcze w roku 1860 za zgodą baszy Achmeda, gubernatora Syryi, sprawiona została rzeź chrześcijan, której ofiarą padło 90 tysięcy osób.

W Armenii niedawno temu podobne zdarzały się mordy.

W rozwoju cywilizacyi i wiedzy położyli mahometańscy Arabowie znaczne zasługi. W średnich wiekach przyczynili się do odrodzenia nauki greckiej i nauk fizykalnych, oraz do rozpowszechnienia ich wśród ludów zachodnich.

Dodać atoli należy, że cała ta wiedza ich była przyniesiona z zewnątrz, ale nie kulturą ich ducha. Byli oni więcej pośrednikami między starogrecką i nowoczesną wiedzą, aniżeli samodzielnymi na tem polu twórcami. To też, skoro później dzieła starożytnych w Europie stały się dostępne, naukowa działalność Arabów straciła całkiem swoje znaczenie. W poezyi tworzyli Arabowie rzeczy piękne, ale nie zdobyli się na dzieła pomnikowe.

Sztuka rzeźbiarska już z powodu przepisu Koranu, wzmacniającego odtwarzania postaci ludzkich i zwierzęcych w rzeźbie i malarstwie, nie mogły się w krajach muzułmańskich rozwinąć z wyjątkiem architektury malarstwa.

Jednak Arabowie, podobnie jak w innych dziedzinach kultury i na wyżej wspomnianej niwie rzeźbiarskiej doniosłe poczynili kroki; inne ludy muzułmańskie niczem się w tym kierunku nie odznaczyły.

Turcy, którzy rozwinęli taką ogromną potęgę wojskową i polityczną, byli i do dziś dnia pozostali obojętnymi, nawet wrogami wszelkiej prawdziwej kultury.

Koran stanowi dla nich początek i kres wiedzy.

„TITANIC".

Opowiadanie oficerów. «Carpathii».

Okręt »Carpathia«, który pierwszy przybyłn a miejsce katastrofy »Titanica« i uratował 705 osób z łodzi ratunkowych, zawinął przed kilkoma tygodniami do Tryestu. Oficerowie i załoga tego okrętu opowiadają — jako naoczni świadkowie — swe wrażenia w sposób następujący.

Kiedy »Carpathia» przybyła na miejsce katastrofy, »Titanic« już zatonął. Tylko liczne łodzie, napełnione ludźmi i niesione na kilka kilometrów dokoła, i drewniane szczątki okrętu wskazywały, że w tem miejscu rozegrała się straszna scena.

»Carpathia« płynęła z Nowego Jorku do Europy. Po drodze przestrzegały ją liczne okręty, że morze zasiane jest ogromną masą gór lodowatych. Komendant »Carpathii« nakazał tedy najwyższą ostrożność i przestrzegał sygnałami inne okręty, aby się miały na baczności.

Nagle w nocy 14-go na 15-go kwietnia oznajmił radiotelegrafista komendantowi, że otrzymał sygnały alarmowe z »Titanica«, błagające o ratunek. Ten kolos morski zderzył się z górą lodową i wołał gwałtownie o pomoc. Dalsze depesze opisały dokładnie straszną sytuacyę »Titanica«. Wobec tego »Carpathia« całą siłą pary ruszyła na pomoc.

Dokuczało straszliwe zimno, które wskazało na masę gór lodowych. Morze było spokojne, niebo zachmurzone. Na »Carpathii« czyniono tymczasem pospieszne przygotowania na przyjęcie rozbitków. Pasażerów na »Carpathii« było 1.190. Spali oni spokojnie, nie przeczuwając nieszczęścia. Część z nich pobudzono, aby przygotować kajuty dla rozbitków. Trzech lekarzy przygotowało dwie sale dla chorych; kazano ugotować kilka hektolitrów czarnej kawy i gorących trunków. Przygotowano ciepłe ubrania, ściągając je z całego statku. Z okrętu puszczano bezustannie rakiety, aby rozbitkom sygnalizować nadchodzącą pomoc.

Pierwszy radiogram nadszedł o godz. 2 minut 15 w nocy. Po godzinie trzeciej zauważyli oficerowie na najwyższem pomoście dalekie zielone światełko. Zapalono na okręcie

wszystkie lampy, aby okręt był zdala widoczny. Zielone światło zbliżało się coraz bardziej.

Była to lampa pierwszej łodzi ratunkowej, którą napotkano na drodze. Znajdowali się w niej jeden oficer trzech majtków i około 35 kobiet i dzieci. Z łodzi dolatywały jęki i płacze. Zapytano z »Carpathii», gdzie się znajduje »Titanic«. Odpowiedziano z łodzi, że zatonął przed półtorej godziny, i że znajdowało się na nim wielu ludzi.

Zaczęto wyciągać rozbitków na okręt przy pomocy koców, zwiazanych na czterech końcach. Naprzód dzieci, potem kobiety, wreszcie wężczyzn. Nieszczęśliwi byli tak zmordowani, że nie mogli spinać się po drabinie okrętowej. Na okręcie odcięto im przedewszystkiem pasy ratunkowe; poczem zaprowadzono do ogrzanej sali, napojono i okryto kocami. Wielu było rannych, których zaprowadzono do sali opatrunkowej.

Tymczasem zbliżały się inne łodzie z rozbitkami, których w podobny sposób wciągano na okręt. Razem natrafiono na 16 łodzi i ulokowano na »Capathii« 705 rozbitków. Wiecej nie można było zabrać, ale w ten czas nadpłynęły inne okręty, które resztę zabrały. Pierwsze łodzie były zaledwie do połowy napełnione ludźmi. Nikt bowiem z początku nie wierzył, że taki kolos, jak »Titanic« może zatonąć. Cztery łodzie były zupełnie puste.

Uratowani pasażerowie »Titanika« przedstawiali straszliwy widok. Pół żywi z zima z poszarpanemi ubraniami, pokaleczeni w walce z żywiołem. Kilka kobiet miało na sobie męskie spodnie, przygotowując się w ten sposób do pływania, co w sukniach damskich jest niemożliwe.

O godzinie 10 rano wszyscy pozostali przy życiu byli już na okrętach. Oficerowie i pasażerowie odstępowali swe kajuty. Cały okręt podobny był do pływającego szpitala. W dzień można było oglądać miejsce, gdzie kolos morski zatonął. Szeroka przestrzeń morza była zasłana kawałkami drzewa.

Z rozbitkami nie można się było z początku dogadać. Wielu było na pół-obłąkanych. Dopiero po kilku godzinach przyszli do siebie i zaczęli opowiadać o szczegółach katastofy. Różniły się one znacznie między sobą. Wszyscy jednak twierdzili, że na okręcie panował wzorowy porządek.

Jakkolwiek komendant Smith i oficerowie wiedzieli, że okręt musi szatonąć — nie stracili zimnej krwi.

Kierowali akcyą ratunkową w ten sposób, że kazali wsiadać na łodzie najpierw dzieciom i kobietom, a mężczyzn puszczano tylko tylu, ilu trzeba było do kierowania łodzią. Mężczyźni zachowywali się po bohatersku, choć wiedzieli, że czeka ich niechybna śmierć. Tylko w międzypokładzie doszło do rozruchów, które musiano uśmierzać z bronią ręku.

O śmierci komendanta opowiadano rozmaicie. Jedni mówili, że stał on w ostatniej chwili na pomoście, poczem zginął w falach morskich. Inni widzieli go już po zatonięciu okrętu, jak płynął, trzymając dziecko w ramionach, a gdy je wysadził na łódź, zginął w otchłani morskiej.

Kiedy okręt już tonął, podniósł się wstrząsający jęk z ust skazanych na śmierć. Wiele kobiet zeskakiwało z łodzi, patrząc, jak toną ich mężowie. Kiedy woda dostała się do maszyn, sastąpił straszny wybuch okrętu, jakby setki armat odrazu wystrzeliło. Reszta okrętu zatonęła w okamgnieniu, wywołując wir tak silny, że dwie łodzie, o pół mili oddalone od miejsca katastrofy porwane zostały straszliwym wirem i poszły na dno razem z ludzmi.

Z miejsca katastrofy ruszyła »Carpathia« w podróż do Nowego Jorku, zmuszona okrążać pole lodowe, które groziło wielkim niebezpieczeństwem. Po drodze okręt został zaskoczony przez silną burzę, której dzielnie stawił czoło.

W porcie nowojorkim, do którego zawinięto 18 kwietnia, oczekiwała »Carpathię« niezliczona masa ludzi, wydająca okrzyki na cześć mężnej załogi. Wyładowano rannych i chorych i pomieszczono po szpitalach i domach prywatnych. Dopiero późno w noc mogła się załoga »Carpathii« udać na spoczynek.

Góra lodowa, z którzą się zderzył »Titanic«, nie była — wedle opowiania naocznych świadków — zbyt wysoka. Wystawała ona tylko kilka metrów nad powierzchnię wody, a więc była bardzo trudna do zauważenia. Okręt rozpruty został z boku na przestrzeni około 100 metrów, wobec czego wszelki ratunek był wykluczony.

Chyżość zwierząt.

Ludzie uczeni i różni podróżnicy, co poświęcili wiele czasu na badanie życia i obyczajów zwierząt, podają między innemi rozmaite ciekawe szczegóły o szybkości różnych czworonogów i ptaków. Szybkość ich biegu bywa nieraz nadzwyczajna.

Gazela afrykańska, kształtne zwierzę, 3 i pół stopy długie i 2 stopy wysokie, z płową sierścią i wysmukłymi, lirowato zagiętymi rogami, jest tak rącza i wytrwała w biegu, że ją na koniu dopędzić nie można.

Potrafi ona podobno przebiedz około 27 metrów w przeciągu sekundy przecięciowo, oczywiście, tylko na niewielkiej przestrzeni.

Wybitny koń wyścigowy angielski również w krótkim, parokilometrowym wyścigu przebiegnie około 25 metrów na sekundę. Przeciętny koń wyścigowy angielski robi od 1.200 do 1.300 metrów na minutę.

Pewien gatunek psów rosyjskich, będący jakoby odmianą wilka, przebiega na sekundę 25 metrów. Charty angielskie, krótkowłose, nie wielkiego wzrostu, używane do specyalnych wyścigów harcich, robią 18 do 23 metrów na sekundę. Psy eskimoskie, używane do zaprzęgu, posiadają imponującą szybkość biegu; podróżnik Heiss podaje, że przebył temi psami 2 kilometry w przeciągu 8 minut.

Zając w biegu zwyczajnym przebiega około 40 metrów na minutę, ale w ucieczce i pod wpływem strachu może dojść do 1.080 metrów na minutę.

Żyrafa, piękne, żółto i brunatno-centkowane zwierzę afrykańskie, najroślejsze ze wszystkich, bo ma do wierzchu czaszki od 15 do 19 stóp wysokości, posiada bowiem uderzająco długę szyję — swym kołyszącym krokiem przebyć może 980 metrów na minutę.

Tygrys przebiega 860 metrów, renifer 850 metrów, wilki stepowe 670 metrów na minutę. Jeżeli zaś głód je zmusi do dalszej ucieczki, to potrafią w ciągu jednej nocy przebiedz około 100 kilometrów.

Z pomiędzy ptaków najszybszy chyba lot posiada jaskółka. Może ona w przeciągu godziny przebyć 494 kilo-

metry przecięciowo, licząc po 137 metrów na sekundę. Dalej idzie wilga amerykańska, robiąca 415 kilometrów na godzinę; po niej najwięszy lot ma kobuz, przebywający 269 kilometrów w ciągu godziny. Wrona przy największym wysiłku przeleci około 250 kilometrów na godzinę.

Gołębie, które podobno daleko szybciej lecą pod wiatr, niż w kierunku wiatru, przelatują przecięciowo od 50 do 100 kilometrów na godzinę. Struś afrykański, największy ptak, 9 stóp wysoki i prawie centnara ważący, ma skrzydła za krótkie, a lotki za delikatne, aby ciężar taki mogły unieść nad ziemię, biega więc tylko po ziemi, ale tak szybko, że na koniu dopędzić go trudno. Przy zwykłym biegu krok jego wynosi 4 stopy, w ucieczce robi skoki na 8 stóp. Obliczają też, że w ciągu sekundy przebiega około 33 metry.

Dla lepszego porównania dodajemy, że pociąg pospieszny przebiega 70 kilometrów na godzinę, czyli 1.167 metrów na minutę, a 20 na sekundę. Jaką więc nadzwyczajną szybkość posiadają niektóre ptaki i zwierzęta.

TO I OWO.

Sztuczne jaja kurze.

Wobec wzrastającego zapotrzebowania jaj kurzych rozpoczęto w Anglii — fabrykacyę jaj sztucznych na wielką skalę. Żółtko fabrykuje się z pszenicy i skrobii, do sporządziana białka używa się sztucznego albuminu. Delikatną skórkę otaczającą jajo zastępuje się w sztucznem jaju powłóczką żelatynową, skorupę sporządza się z mieszaniny, której głównymi składnikami są wapno i żelatyna.

Sposób fabrykacyi jest dosyć prosty. Najpierw nadaje się żółtku kształt podłużny, potem otacza je albuminem i całość umieszcza na maszynce wprawiającej ją w ruch obrotowy. Gdy już sztuczne jajo przybiera kształt właściwy, otacza się je skorupą. Sztuczne jaja stworzyły już groźną podobno konkurencyę dla naturalnych, tem bardziej, że poznać je trudno. Jedyną ich wadą jest to, że można je sporządzać tylko »ugotowane na twardo«. To też przed na-

śladownictwem zabezpieczyć się łatwo, kupując jaja surowe.

Największe rzeczy na świecie.

Największy uniwersytet na świecie jest w Kairze, w Egipcie; 11 tysięcy studentow z całego mazułmańskiego świata uczy się w nim.

Największym parkiem na świecie jest ogród Tivoli w Kopenhadze; ma on 3.222 akrów obszaru i jest podzielony na dwie części przez rzekę, która go przepływa.

Największa fabryka zapałek znajduje się w Tidalioim w Szwecyi; zatrudnia ona przeszło 1.200 ludzi i wyrabia dziennie 900 tysięcy pudełek zapałek, rocznie zużywa ona 600 tysięcy kubicznych stóp drzewa, 250 tysięcy funtów papieru i 40 tysięcy funtów do klejenia pudełek.

Największą naturalną grotą jest jaskinia mamutowa w Kentecky. Cała ta jaskinia mu długości 7 mil angielskich. W jeziorku, znajdującem się tam, żyją ślepe ryby.

Największą biblioteką jest biblioteka narodowa w Paryżu, założona przez króla Ludwika XVI. Zawiera ona 400 tysięcy tomów, 600 tysięcy broszur, 150 tysięcy rękopisów, 300 tysięcy atlasów i kart geograficznych, 150 tysięcy metali i monet. Budynek, w którym ta biblioteka się mieści, ma 54 stóp długości i 13 stóp szerokości.

Mur chiński jest najdłuższy na świecie, przechodzi on przez góry, rzeki, doliny i ma 215 mil długości, wysokości 20 stóp, grubości na dole 25, w górze 15 stóp.

Największy ser, jaki kiedykolwiek zrobiono, ważył 22 tysięcy funtów, miał 25 stóp obwodu, a 6 stóp grubobości; był on zrobiony na wystawę gospodarską w Ontario w Ameryce. Na zrobienie go zużyto 207 tysięcy kwart mleka, pochodzącego od 110 tysięcy krów.

Największy dzwon na świecie jest w Moskwie w Kremlu; ma obwodu 68 stóp, grubość ścian jego wynosi 25 cali, zaś waga 443.700 funtów. Nigdy go nie zawieszono i prawdopodobnie odlano go w tem miejscu, na którem dziś stoi.

Polak paszą tureckim.

W majątku swym pod Adryanopolem rozstał się z tym światem rodak nasz, pensyonowany turecki generał Mustafa-pasza (Józef Wójcik), przeżywszy lat 84. Urodził się on w Pyzdrach (w Królestwie Polskiem) w roku 1828 z rodziców mieszczan. Mając lat 20, poszedł do powstania węgierskiego i po klęsce powstańców pod Orsową wraz z innymi Polakami przybył przez Rumunię do Turcyi.

Gdy w roku 1853 Sadyk-pasza (M. Czajkowski) formował pułki otomańsko-polskich kozaków, Józef Wójcik wstąpił do jednego z nich, jako prosty szeregowiec, gdzie się posunął w stopniach podoficerskich.

Wysłużywszy swój okres czasu, opuszcza pułk i zostaje się na bruku w Konstantynopolu. W ciągu następnych lat 7 był kuchcikiem. W nagrodę zaś, że przez cały czas nie otrzymał pensyi, został mianowany porucznikiem.

W Bagdadzie zakochała się w nim włoda wdowa, po bogatym Arabie. Wójcik przyjął islam i ożenił się z nią. W czasie wojny rosyjsko tureckiej odznaczył się i zyskał stopień generalski, a za nim tytuł paszy.

Łodzie ratunkowe dla okrętów osobowych.

W angielskim parlamencie oświadczył minister handlu, Buxton, że urząd handlowy zwołał zebranie przedstawicieli wielkich towarzystw przewozowych, aby dowiedzieć się od nich, jakie środki będą użyte, by parowce odpowiednio w łodzie ratunkowe zaopatrzone zostały. Towarzystwa oświadczyły, iż właśnie postanowiono zaopatrzyć okręty w tyle łodzi ratunkowych, aby wszyscy na pokładzie znajdujący się pasażerowie ratunek w nich znaleźć mogli. Jest wprawdzie nader trudno zdobyć natychmiast taką ilość łodzi, jednak wszystkie siły się wytęży, by zadaniu wydołać.

Straszliwe doświadczenia z łodziami ratunkowymi »Titanica« skłoniły Towarzystwo »White Star Line« do (Linii Białej Ginardy) zamówienia telegraficzne wielkiej ilości łodzi ratunkowych zbudowanych przez duńskiego wynalazcę kapitana Engelhardta w Kopenhadze.

Łódź taka ma 9 metrów długości i 3 szerokości i bierze 30 do 60 osób. Są to łodzie składane, zajmują więc mało miejsca. Fachowcy twierdzą, że ośmdziesiąt łodzi Engelhardta, zdolnych pomieścić 4 tysiące pasażerów, znalazłoby było z łatwością miejsce na »Titanicu«. Łodzie Engelhardta zostały wypróbowane przez duńską marynarkę

Los „Titanica".

Czy możliwe jest wydobycie «Titanica« z głębi oceanu? Pytanie, to rozstrzygają fachowcy w sposób następujący: Dno morskie, podobnie jak powierzchnia ziemi, posiada góry i doliny, skutkiem czego głębokość n. p. oceanu Atlantyckiego jest bardzo rozmaita. Największa głębia, wynosząca 7 tysięcy metrów, zuajduje się koło zachodnio-indyjskiej wyspy St. Thomas, a w tem samem zagłębieniu, tylko płytszem i dalej na północ położonem, spoczywa parowiec »Titanic« na tysiąc 310 metrów pod powierzchnią wody.

Panuje tam wieczna ciemność i cisza śmierci. Światło białe, jak stwierdzono zapomocą bardzo czułych płyt fotograficznych, dociera tylko do 500 metrów głębokości, zielone nieco głębiej. Ciśnienie wody jest olbrzymie. W głębokości, w której spoczywa »Titanic«, ciśnienie wody na każdy cal kwadratowy wynosi 5 tysięcy funtów, a więc powierzchnia o 10 centymetrach kwadratowych znajduje się pod ciśnieniem przeszło 20 tysięcy kilogramów. Na człowieku spoczywałby mniej więcej ciężar 20 naładowanych pociągów towarowych i gdyby człowiek został wystawiony na takie ciśnienie, działające tylko z jednej strony, to zostałby zgnieciony na cienkość papieru.

Przy pomiarach spuszczano w głąb płyty korkowe. Po wyciągnięciu miały one skutkiem nadmiernego ciśnienia połowę pierwotnej wielkości. Podobnie dzieje się z drzewem, a stąd możemy wnioskować, jako obecnie wygląda »Titanic«. Wszystkie naczynia, szafy, skrzynie zostały zgniecione, podobnie jak komory okrętowe. Zwłoki znajdujące się w tułowiu okrętu, tworzą bezkształtną masę z rozmaitemi przedmiotami.

O wydobyciu parowca nie ma co myśleć. Nurek dociera mniej więcej do 60 metrów głębokości, ale już tutaj, skutkiem wzmożonego ciśnienia wody pracuje z wysiłkiem. Zresztą obecne środki inżynierskie nie wystarczają na wydobycie okrętu z takiej głębokości. »Titanic« na zawsze pozostanie na dnie oceanu.

Rozmaitości.

Piękna odezwa. Prezydent pewnego miasta w Austryi wydał przed wyborami miejskiemi taką odezwę do wyborców - chrześcijan.

„Daremnym był szturm jeneralny żydowstwa i socyalnej demokracyi na naszą starą stolicę. We wszystkich dziennikach, które żydom służą, wzywano was, obywatele, abyście się wydali międzynarodowemu socyalizmowi... Żydowscy liberali zostali na zawsze napiętnowani, jako pionierzy socyalizmu... Wybierajcie, obywatele, kandydatów, którzy będą mieć wolę i siłę, by dalsze ataki żydów i socyalistów na nasze miasto odeprzeć“.

Z jakiegoż to miasta prezydent ten przemawiał do wyborców. Oczywiście nie Krakowa lub Lwowa, ale Wiednia.

Wiedeński burmistrz nie bojąc się wszechwładnej prasy żydowskiej, wzywał mieszkańców stolicy do obrony przed żydowstwem i socyalizmem. A burmistrz krakowski Dr. Leo co robi? Oto dozwolił, że obok niego zasiada wiceprezydent żydowski, a w jego klubie radzieckim co trzeci radca to żyd.

Wszędzie ci sami. Amerykanie podobno zasmakowali bardzo w rosyjskiej wódce. Rosyjski konsul w Czykago zapoczątkował handel tym „szlachetnym“ napojem i interes szedł dobrze.

Ale od czegóż są żydzi!

Wysiedleni z Kijowa, Charkowa oraz innych miast rosyjskich, przemyślni synowie Izraela, osiedliwszy się w Nowym Jorku stworzyli niebezpieczną konkurencyę skarbowi rosyjskiemu: skupują oni próżne butelki po „monopolce“ (wódce) rosyjskiej, a nawet z Rosyi je sprowadzają i napełniwszy amerykańską wódką z kukurydzy, zwaną „Wiski“ puszczają w obieg z firmą rosyjską.

Lekarstwo przeciw opilstwu. Lekarze w Paryżu podobno odkryli surowicę leczniczą, która zastrzyknięta pod skórę nałogowym pijakom, wywołuje w nich obrzydzenie trunków. Odkrycie to, byłoby istotnie wielkiem dobrodziejstwem dla ludzkości lleż to w Galicyi przydałoby się tych wstrzykiwań.

Popłoch przy pogrzebie. Podczas pewnego pogrzebu w kościele Carmaux (we Francyi) zapaliła się od świec trumna ustawiona przed głównym ołtarzem. Najpierw spłonęły wieńce, ułożone na trumnie. a w końcu trumna sama zaczęła się palić. Publiczność, zwłaszcza kobiety i dzieci we wielkim przestrachu zaczęły uciekać z kościoła. Powstał niesłychany ścisk, w którym 10 osób doznało obrażeń śmiertelnych.

Prawo ułaskawienia we Francyi. We Francyi prawo ułaskawienia przestępców, skazanych na śmierć, przysługiwało dotąd prezydentowi państwa, który też w pełnej mierze z prawa tego korzystał i prawie nigdy nie dopuścił do wykonania egzekucyi nad skazanym.

Obecnie socyalistyczny poseł Berry zamierza przedłożyć parlamentowi francuskiemu wniosek, według którego prawo ułaskawienie, przysługujące prezydentowi republiki, przeniesione ma być na osobną komisyę, składającą się z 6 senatorów, 6 posłów i 6 członków najwyższego sądu fracuskiego. Przewodniczącym komisyi byłby minister sprawiedliwości.

Sami więc socyaliści dążą do tego, aby częściej wykonywano wyroki śmierci, gdyż ułaskawienia skazańców rozzuchwalają coraz więcej różnych zbrodniarzy.

Uprowadzone dziecko miliardera. Z Nowego Jorku donoszą, że 10-cio letnie dziecko miliardera Fleischmana uprowadzone zostało z wózka, gdy służąca na chwilę się oddaliła. Jako podejrzaną o uprowadzenie aresztowała policya 18-to letnią Polkę Annę Bojarską, która niedawno przybyła do Ameryki. Okazało się, że Bojarska jest umysłowo chorą: umieszczono ją w lecznicy.

Dar 60 milionów. Z Dublina (Irlandya) donoszą, że nauczycielka O. Brine, po zmarłym swym wuju, który był znanym posłem angielskim, odebrała niedawno sumę 60 milionów koron jako spadek. Sumę tę podzieliła pomiędzy swych dwóch braci, którzy należą do zakonu Jezuitów.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.